

EWA ZDUNEK

WRÓŻKA MIMO WOLI

Ewa Zdunek

WRÓŻKA MIMO WOLI



Copyright © by Ewa Zdunek, MMXVII
Wydanie I
Warszawa, MMXVII

[Wróżka mimo woli](#)

12 lipca, wtorek

Przez ostatni tydzień pracowałam w kilku miejscach równocześnie, zastępując wyrzuconą przez ojca kolejną kandydatkę na pracownicę pralni, pomagając w biurze zakładu pogrzebowego, bo pani Danusia nie dawała sobie rady z zamówieniami, a poza tym usiłowałam rozwijać własny biznes. O wakacjach nawet nie było co marzyć. Mateusz Chłodny, syn pani Danusi, skupił się na pracy z nieboszczykami i nie było z niego pociechy.

Interes należący do mojego ojca i pani Danusi, jego obecnej żony, rozkręciliśmy z Beatą, kiedy uruchomiłyśmy pierwszy na świecie wirtualny salon usług pogrzebowo-pralniczych. Współpracując z ponad tysiącem różnych zakładów pogrzebowych, przygotowaliśmy kompleksową ofertę, która bardzo szybko zyskała uznanie na rynku. Nikt oprócz naszej firmy nie dysponował tak bogatą kolekcją trumien z każdego rodzaju drewna, wyściółek z każdego rodzaju materiału, wieńców uplecionych z każdego rodzaju kwiatów każdego kształtu i wielkości, z możliwością oprawy muzycznej ceremonii z każdego rodzaju ścieżką dźwiękową oraz z udziałem celebriansów każdego wyznania. Nie zapomnieliśmy uwzględnić w ofercie konsolacji, ubrań, zarówno dla zmarłych, jak i dla żałobników, i wszystkich innych bardzo ważnych szczegółów. Śmiało mogę powiedzieć, że jeśli chodzi o ten obszar, to my dyktowałyśmy modę.

Później okazało się, że Beata to wieloletnia pacjentka Jacka, w dodatku uciekiniarka z zakładu dla nerwowo i psychicznie chorych. Zastąpiła ją więc Roksana, z której też nie było pociechy, bo nieoczekiwanie wyjechała.

Tymczasem mój ojciec zwolnił kolejną osobę. Znow więc muszę siedzieć za ladą i obsługiwać klientów pralni. Odkąd Roksana udała się do Australii, nikt ojcu nie pasuje. Kolejne kandydatki i kandydaci są nieodpowiedni, ale nawet nie wiem, pod jakim względem. Zastanawiam się, czy nie wrócić do wróżenia, żeby wypaść w oczach ojca na osobę równie nieodpowiednią do metkowania brudnej bielizny.

Kiedy to było, gdy czyniłam mocne i nienaruszalne postanowienie, że usamodzielnę się i zacznę się realizować na wszystkich polach? Praca wróżki przyniosła mi pieniądze, ale doszłam do wniosku, że nie jest moim powołaniem rozkładać karty, by odpowiedzieć na pytanie, czy sąsiedzi docenią to, że ktoś posadził sobie na balkonie ładny bukszpan. Syndrom wypalenia. U mnie pojawił się bardzo wcześnie, wypaliłam się po niespełna dwóch latach pracy. Owszem, zależy mi, żeby móc wykorzystywać wrodzone umiejętności, ale niekoniecznie przy wykonywaniu rytuałów białej magii i odganianiu złych snów.

Roksana, jeszcze przed wyjazdem, wpadła na pomysł, żeby założyć internetowe biuro matrymonialne. Pary kojarzyłyby się najpierw same, jak na zwykłym portalu randkowym, a ja mogłabym zerkać w moje karty i decydować, którzy spośród kandydatów i kandydatek są dla siebie najbardziej odpowiedni oraz kiedy i gdzie zorganizować im spotkanie. Później wszystko działałoby się już zwyczajnie. Randki, podpowiedzi dla nieśmiałych i niezdecydowanych.

Zastanawiałam się także nad poradnictwem, które polegałoby na kojarzeniu wszystkiego ze wszystkim i wszystkich ze wszystkimi. Pomysł był prosty: każdy czegoś szuka. Albo kogoś. Ja byłabym tylko pośredniczką. Zgłaszałiby się do mnie samotni,

których kojarzyłabym w sieci, odzywiliby się chętni, żeby kupić coś niezwykłego i niepowtarzalnego, których łączyłabym z twórcami niszowych projektów, pisaliby niezdecydowani, którym pomagałabym podjąć decyzję, zawężając obszar rozważanych argumentów do minimum, wreszcie tacy, którzy z czystego lenistwa nie chcieli niczego wymyślać, mogliby kupować ode mnie mniej oczywiste pomysły na wszystko.

Praca ta wymagała jedynie dostępu do internetu. Niestety, łatwiej wpaść na pomysł niż go zrealizować. Wyjazd Roksany nastąpił tak szybko i nieoczekiwanie, że nie zdążyłam się nawet zastanowić nad tym, że to ja będę musiała zastąpić ją w pralni, a wówczas nie będę miała czasu na rozkręcanie nowego biznesu. Mój ojciec odnalazł swoje powołanie – jako prawa ręka pani Danusi przesiaduje całymi dniami w zakładzie pogrzebowym. Za każdym razem, gdy go spotykam, powtarza, że najlepszy klient na świecie to nieboszczyk. Nie narzeka, nie wyklóca się, spokojnie czeka na swoją kolej. Ale ja znów utknęłam tam, skąd tak bardzo chciałam się wyrwać. W niszy pralniczej, gdzie nic ciekawego nie może się wydarzyć.

Roksana wyjechała w połowie czerwca, ale do dziś nie dała znaku życia. Podróż na drugi koniec świata, do osoby, którą poznała zaledwie kilka miesięcy temu, w dodatku przez internet. Nawet nie zdążyłam postawić jej kart, a już siedziała w samolocie. To dało mi sporo do myślenia, jeśli chodzi o planowany biznes – ludzie zbyt szybko podejmują decyzje w sprawach, które z założenia wymagają czasu. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić, łatwo w takiej sytuacji popełnić błąd.

Roksanę zachwyił mężczyzna, który przedstawił się jako Maurycy, potomek polskich emigrantów, którzy – zanim osiedli w Australii – przemierzili cały świat. Pomieszkiwali w Niemczech, potem we Francji, w Szkocji, Stanach Zjednoczonych, Algierii, żeby wreszcie osiąść na antypodach. Internetowa randka trwała, z przerwami, niecałe dwa dni i Maurycy, zachwycony Roksaną, oświadczył się jej za pomocą Skype'a. Oświadczyzny były bardzo nietypowe, bo Roksana nie zna angielskiego, Maurycy nie mówi po polsku, a w okienku dialogowym widać było tylko czubek jego głowy i wielki portret jakiejś czarnoskórej damy w tle. Absztyfikant wysłał też wirtualny bukiet czerwonych róż, a jakże! Swoje zdjęcie na tle farmy strusi, którą rzekomo prowadzi, dołączył w charakterze wirtualnego bileciku miłosnego.

Skąd miała pewność, że te zdjęcia są prawdziwe? Dlaczego tak szybko uwierzyła, że Maurycy pisał prawdę? Wielokrotnie zadawałam jej takie pytania. Ona odpowiadała, że należy wierzyć w ludzi i ludziom, w przeciwnym razie człowiek zapętlony się we własnych obawach i zamknie się na zawsze w świecie strachu. Trzeba także podejmować wyzwania, bo tylko nowe, niezbadane dotąd doświadczenia ubogacają i rozwijają człowieka. Roksana wprowadziła w życie teorie, które kładli jej do głowy podczas kursu pogłębiającego otwartość na świat. Uważam jednak, że to zbyt wielkie ryzyko. No cóż, jest dorosła, pozostaje mi tylko czekać na wieści od niej i wierzyć, że znalazła wreszcie swojego księcia z bajki. Przynajmniej ona.

15 lipca, piątek

Chyba nieprecyzyjnie opisałam na stronie internetowej swoje usługi, bo jedna dziewczyna zapytała, czy odczyniam uroki na nakłonienie obiektu pożądania, by się nią zainteresował. To się nazywa „spętanie”. Nie praktykuję spętania, ani dosłownie, ani

w przenośni.

Jeden pan chciał, żebym mu powiedziała w kilku zdaniach, jak poderwać dziewczynę, nie wychodząc z domu, a inny zapytał, czy wystarczy wysyłać kobiecie kwiaty w każdy poniedziałek przez cztery tygodnie, żeby zgodziła się na hotelowe spotkania.

Cieszy mnie, że moja propozycja – dość prosta i powierzchowna – aby pomagać ludziom w dobieraniu się w pary, zyskuje coraz większe zainteresowanie i rozlewa się na tak różne obszary współżycia, bo sądzę, że wystarczy lepiej dopracować ofertę.

Ojciec oczywiście kręci nosem, że znów wdam się w jakieś podejrzone awantury i zaniedbam pralnię. Czasem rzeczywiście robi się gorąco, w pralni pojawiają się klienci, a jednocześnie ktoś wysyła do mnie wirtualną wiadomość. Myślę, że z czasem, gdy ta działalność się rozwinie, znów wrócę do pracy w moim mieszkanku, znów przed ekranem komputera i znów z telefonem i talią kart w dłoniach. Ale już nie jako wróżka, lecz drużka. I tak nazwałam swój portal: *Porady Drużki Emilii*. Może to właśnie jest moim przeznaczeniem? Pomagać ludziom, towarzyszyć im w drodze do szczęścia?

Notuję jako ciekawostkę: jeden pan poprosił o pomoc w skojarzeniu jego papużki z jakimś przystojnym panem papugą w celu matrymonialnym. Oczywiście zapytałam Bolusia, moją papużkę, co on na to. Popatrzył na mnie, pokręcił dzióbkiem i powiedział:

– O szlag!

18 lipca, poniedziałek

Zaczynam działać. Kolejny etap to poszukiwania klientów. I opracowanie oferty. Firmie patronować będzie Kupała, ta z obrazu Wojciecha Gersona, albo jeszcze lepiej swatka Gerrita van Honthorsta. Uśmiechnięta, zalotna, intrygująca kobieta, która trochę wróży, a trochę zachęca.

Muszę unowocześnić swoją stronę. Przejrzałam oferty różnych firm, które w internecie proponują taką usługę. Oczywiście wszystko rozbija się o szczegóły. Formularze zgłoszeniowe żądają ode mnie informacji, których nie mam, choć może powinnam. Na przykład, w jakim oprogramowaniu chcę mieć tę stronę. Nie mam pojęcia. Chyba w tradycyjnym, powszechnie używanym... Gdy zatelefonowałam do jednej z takich firm (co nie było wcale proste, bo na stronie widniał tylko formularz kontaktowy i musiałam się chwilę potrudzić), pan, który ze mną rozmawiał, także domagał się podania tych informacji.

- Jaki pani ma program? – zapytał sucho.
- Nie wiem, zwyczajny.
- To proszę ustalić i dopiero dzwonić!
- Ale jak mam ustalić? Nie znam się na tym!
- Proszę ustalić i dopiero dzwonić!

Nawet moja papuga nie jest taka zawzięta. Nic nie ustaliłam, nic nie załatwiłam. Wieczorem zadzwonił pan Przemek i mimo moich zapewnień, że już nie wróżę, zapytał, dlaczego tak mu się nie wiedzie w interesach. Spytałam go, czy na swojej stronie internetowej ma formularz kontaktowy, czy też podaje tradycyjnie numer telefonu. Odparł, że formularz, bo tak jest prościej.

– Nie dla wszystkich prościej, proszę pana – zgańłam go. – Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że istnieją klienci, którzy preferują kontakt bezpośredni, a nie za pośrednictwem formularzy. Mogą mieć potrzebę dopytania o coś niestandardowego, a tu skucha, bo w formularzu nie ma stosownej rubryczki. I już traci pan klienta! Należy pamiętać też o tych, którzy są bardziej retro!

Pan Przemek nawet nie podziękował i się rozłączył. A ja jak nie miałam nowoczesnej strony, tak nie mam...

19 lipca, wtorek

Przy opracowaniu strony internetowej pomógł mi Jurek. Stale mnie zaskakuje, tak wiele potrafi. Zdecydowałam się na kolory zielony z niebieskim i na razie, oprócz krótkich haseł opisujących, czym się zajmuję, umieściłam taki tekst, który również przygotował Jurek:

Praktyczny, bo krótki poradnik dla przyszłego uwodziciela

Jesteś nieśmiały, kontakt z dziewczyną kojarzy ci się z wizytą u dentysty, chciałbyś przeżywać miłosne uniesienia i uprawiać niezwykły seks, ale niekoniecznie z panią z agencji towarzyskiej?

Skorzystaj z kilku prostych rad, które zamieszczam poniżej:

Znajdź pomysł na siebie. Nieważne, kim będziesz: Rumcajsem, Piotrusiem Panem, Supermanem czy Panem Żółtą Rączką. Wymyśl sobie, co lubisz, czego nienawidzisz, jaką chciałbyś mieć dziewczynę, co chciałbyś z nią robić. Nie ma nic gorszego niż facet, który odpowiada pytaniem na pytanie w stylu: a ty co wolisz?

Nie bądź ani zbyt gadatliwy, ani zbyt milczący. Przygotuj sobie na spotkanie kilka tzw. żelaznych tematów, np. o sporcie, o pogodzie czy o kobiecych fryzurach. Najlepiej o sporcie, bo to do wszystkiego pasuje. Kiedy dziewczyna pyta na przykład, gdzie ostatnio byłeś na wakacjach, możesz odpowiedzieć, że nad morzem, gdzie wspaniale można uprawiać sporty wodne. Gdy zapyta, co lubisz jeść, odpowiesz, że jesteś sportowcem w stanie spoczynku, zatem jadasz niewiele, ale sport pozwolił ci odkryć, że to, co jesz, jest niezwykle ważne. A gdy powie: „ładną mamy dziś pogodę”, możesz pociągnąć temat, że każda pogoda jest świetna, żeby uprawiać sport. Nie martw się, już po dwóch zdaniach dziewczyna zacznie mówić za siebie i za ciebie, ale podsumuje cię jako niezwykle elokwentnego rozmówcę.

Powiedz dziewczynie, że ma podniecający głos (to w rozmowie przez telefon). Nawet jeśli już później niczego nie powiesz, ona i tak będzie uważała cię za zabawnego gadułę.

Nie bój się być niezdarnym, kobiety uwielbiają takich biedaczków, których trzeba poprowadzić za rękę. Ważne: nie pchaj od razu rąk w okolice majtek, nawet niezdarnie.

Jeśli jakaś dziewczyna tak bardzo ci się podoba, że najchętniej skonsumowałbyś ją od razu na przystanku, nie mów tego na pierwszym spotkaniu, najbezpieczniej powiedz o tym chwilę później, przez telefon. Zaoszczędzisz sobie bólu policzka, a niewykluczone, że wzbudzisz w dziewczynie ciekawość i zaproponuje ci spotkanie szybciej, niż myślisz.

Przed wszystkim pamiętaj: praktyka czyni mistrza. *Kamasutrę* nie po jednej

nocy napisano!

Jurek jest zdania, że tekst wzbudzi zainteresowanie i ludzie chętniej będą pytać, czym naprawdę się zajmuję. No cóż, zobaczymy...

23 lipca, sobota

Ksiądz Rafał zaproponował, aby Jurek przeczytał dziś, podczas cyklicznego, sobotniego spotkania na plebanii, kilka swoich utworów. Byłam ogromnie zaskoczona, ponieważ Jurek zaprezentował nie prozę, ale swoje wiersze. A deklamację poprzedził stwierdzeniem:

– Napisałem w życiu około dwustu wierszy, z czego osiemdziesiąt jest bardzo dobrych, czterdzieści zupełnie niezłych, pięćdziesięciu się nie wstydzę, a nad resztą się umartwiam.

Wszystkim bardzo się te wiersze spodobały, lecz na razie nie ma szans na wydanie ich drukiem. Może kiedyś, gdy Jurek będzie już sławnym pisarzem. Na razie trzeba się cieszyć, że wydawca chętnie przyjmuje do druku kolejne powieści, a czytelnicy i krytycy nieustannie chwala twórczość Jurka.

Ogromnie mi miło, że jego książki tak dobrze się sprzedają. Powieść o rodzinie wampirów przez kilka miesięcy nie schodziła z listy bestsellerów i Jurek przyznał, że nieoficjalnie wiadomo, iż zostanie przetłumaczona na język angielski. Byłoby wspaniale, gdyby zyskał międzynarodową sławę.

Na zakończenie spotkania ksiądz Rafał zaprosił wszystkich obecnych do uczestnictwa w chórze kościelnym. Do Jurka zwrócił się ponadto z prośbą, żeby opracował kilka średniowiecznych utworów, które chór mógłby później zaprezentować. Spotkanie zapoznawcze w najbliższy piątek wieczorem.

Roksana wciąż się nie odezwała. Nie mam podstaw, żeby zawiadamiać policję, bo nie jest przecież moją rodziną i uprzedzała, że wyjeżdża na dłużej, być może na zawsze. Martwię się jednak. Postawiłam karty i wyszło mi, że towarzyszy jej jakieś brzemię, trudności, wysiłek, zmartwienie, że nie jest szczęśliwa. Ale wracać nie chce. Nic z tego nie rozumiem. Przydałaby mi się pomoc pani Zosi, ale ona ostatnio stała się jakaś dziwna. Twierdzi, że nawiązała kontakt z energią kosmosu, która dyktuje jej wzory nowego stworzenia świata. Nazywa to macierzą stworzenia.

1 sierpnia, poniedziałek

W naszym życiu czasem zdarza się coś, co skłania nas do głębszej refleksji. Do czego doszłam, co osiągnęłam, do czego dążę, w którym miejscu jestem. Czy moje życie ma sens? Pogrzeb kogoś, kto jeszcze niedawno ścisnął mi rękę i życzył powodzenia, obudził we mnie potrzebę dokonania podsumowań. Zastanowienia się, kim jestem.

Pan Ryszard zginął nagle, w wypadku samochodowym. Nieuważny kierowca, nadmierna prędkość, śliska jezdnia i człowiek przestaje istnieć. Ułamek sekundy wystarczył, żeby budowana przez lata postać stała się cząstką przeszłości. Cały wysiłek włożony w jego wychowanie, wykształcenie, nauczenie wszystkiego, co jest potrzebne, by poprawnie funkcjonować w społeczeństwie. Ogromne koszty emocjonalne

i ekonomiczne, lata pełne wyrzeczeń, trosk i obaw, czuwanie przy chorym dziecku, zdenerwowanie towarzyszące pierwszym egzaminom, rozczarowania i spełnienie oczekiwań. Wreszcie zdobywanie wyższego wykształcenia, praktyka, praca i osiągnięcia na polu zawodowym. Czyżby naprawdę niefrasobliwe zachowanie jednej osoby mogło wziąć górę nad tym wszystkim? Dlaczego w dobie osiągnięć technologicznych nie potrafimy uruchomić instynktu, który chroniłby nas przed przypadkiem? Dlaczego mimo że stworzono tyle udogodnień życia codziennego, nie skonstruowano dotąd czujnika zapobiegającego śmierci przez nieuwagę? Dlaczego tak zwany czynnik ludzki wciąż jest przyczyną tylu wypadków? A może należałoby wyeliminować człowieka i wówczas świat zanotowałby kolejny postęp cywilizacyjny? Wszak wszystkie zwierzęta poza człowiekiem radzą sobie z przypadkowością i padają ofiarą nienaruszalnych praw natury, a nie lekkomyślności czy zaniedbania. Chyba że pozostawały pod opieką człowieka.

Pani Zosia twierdzi, że umierający zwalnia miejsce dla nowej duszy, która zdecydowała się pojawić na tym świecie. Ksiądz Rafał powiedział, że widocznie Pan Bóg potrzebował grafologa u siebie, na miejscu. Czyżby chciał weryfikować cyrografy podpisane własną krwią? Może w tych czasach nie można ufać nawet diabłom i znakomity specjalista z doświadczeniem był nieodzowny.

Ceremonię zorganizował zakład pogrzebowy Zacisze, a jakże. Tym razem pani Danusia osobiście zadbała o wszystkie szczegóły. Trumna tonęła w kwiatach. Nabożeństwo odprawił ksiądz Rafał. Żałobnicy mieli tylko symbolicznie rzucić po garści ziemi do grobu, ponieważ pan Pawełek i reszta i tak musieli później wydobyć trumnę, żeby zawieźć ją do kremacji – zgodnie z życzeniem zmarłego. Życie pisze jednak własne scenariusze, jak zwykle. Na cmentarzu pojawiło się bardzo wiele osób i gdy każdy sypnął symbolicznie, trumna zniknęła z pola widzenia. Na dobrą sprawę można było przykryć ją płytą i po kłopotcie. Ale pani Zosia się na to nie zgodziła. Pan Ryszard podobno stanowczo żądał – za życia, rzecz jasna – żeby po śmierci go skremować. Wystarczyłaby krótka ceremonia w zakładzie pogrzebowym. Ksiądz Rafał przekonał jednak panią Zosię, żeby zgodziła się zorganizować tradycyjny pogrzeb i pochować męża w trumnie. Dla zasady. Już po wszystkim mogłaby dyskretnie wydobyć zwłoki z grobu i skremować je w zaciszu zakładu pogrzebowego. W wyniku nieporozumienia grabarze zaczęli odkopywać nieboszczyka zaraz po jego pochowaniu, zanim jeszcze żałobnicy rozeszli się do domów.

Nad grobem biednego Rysia rozgorzała dyskusja pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami spopielania zwłok. Ktoś zawiadomił telewizję i w wieczornych wiadomościach obejrzelśmy fantastyczny materiał, z którego wynikało, jakoby telewizyjne wróżki urządziły sobie sabat przy grobie niedawno zmarłego człowieka. Wyszło również domysł, że być może śmierć pana Ryszarda też nie była przypadkowa. Wszystko razem miało podobno służyć rozreklamowaniu zakładu pogrzebowego – jakby to kiedykolwiek było grabarzom potrzebne – oraz sprowokowaniu władz Kościoła. Do czego? Tego nie powiedzieli. Narrację okraszono fragmentami pieśni śpiewanymi przez nasz chór parafialny. Istna szopka. Trumnę więc znów zasypano i wszyscy się rozeszli.

Pracownicy zakładu pogrzebowego Zacisze z panem Pawełkiem na czele udali się

pod osłoną nocy na cmentarz, żeby jednak wypełnić wolę zmarłego i wydobyć trumnę z grobu. Tej nocy księżyc był w nowiu. W ciemnościach grabarze stanęli cztery metry dalej, niż należało. Grób, który zaczęli kopać, miał zaledwie tydzień, ktoś inny zmarł w tym samym czasie i został pochowany niedaleko, co w świetle dnia byłoby nietrudno stwierdzić, jednak padający kilka dni temu deszcz, a potem wysoka temperatura sprawiły, że ziemia zamieniła się w kamień, utrudniając właściwe rozpoznanie terenu. Świtało już, gdy zziębnięci mężczyźni wydobyli trumnę na powierzchnię. Szybko przenieśli ją do karawanu i nie przejmując się rozkopanym grobem, odjechali. Tego samego popołudnia nastąpiła kremacja, a prochy umieszczono w eleganckiej urnie, która stanęła na półce w salonie wdowy, pani Zosi.

3 sierpnia, środa

Jest afera, i to spora. Policja prowadzi dochodzenie w sprawie rozkopanego grobu i wykradzonych zwłok. Rodzina doniosła. Podobno ktoś od nich pojawił się na cmentarzu, żeby omówić sprawę pomnika, i zauważył, że grób jest pusty. Najgorsze jest to, że trumna z zawartością została już skremowana, więc nie może być mowy o zwrocie zmarłego. Ojciec w przypiływie paniki zaproponował, że dostarczą inne zwłoki, równie świeże, co wywołało całą lawinę pytań. Policja od wczoraj nie wychodzi z zakładu Zacisze. Nawet pani Danusia przestała się słodko uśmiechać, nie jest wesoło.

Później

Rodzina mężczyzny skremowanego przez pomyłkę domaga się zwrotu nieboszczyka. Też są dobrzy! Jak zwrócić im ciało, skoro zostało ono potraktowane tysiącem stopni Celsjusza? Ojciec zareagował odruchowo: zniszczone, to odkupimy. Podobno był to jakiś znamienity profesor, ukochany dziadek, niezwykle pobożny i rodzina za wszelką cenę chce zachować jego szczątki, i nie życzy sobie nawet słuchać o całopaleniu. Ale heca!

5 sierpnia, piątek

Negocjacje trwają. Pani Zosia jest skłonna oddać urnę z prochami. Ciało pana Ryszarda wciąż przebywa w grobie, zaledwie powierzchownie przysypane ziemią. Cała sytuacja przestaje już być groteskowa, a zaczyna być makabryczna. Ojciec wyjechał dziś z propozycją, że rodzina pana profesora będzie mogła dożywotnio korzystać z usług zakładu pogrzebowego. Uznali, że to kpiny, i zagrozili ojcu sądem. Nie mam pojęcia, jak to wszystko się zakończy. W dodatku wszystkim upał doskwiera, a oględziny na cmentarzu to istna tortura!

6 sierpnia, sobota

Sprawa pomyłonych nieboszczyków wciąż pozostaje nierozwiązana. Policja jednak najprawdopodobniej umorzy dochodzenie wobec braku dowodów, w końcu z ciała pozostały tylko prochy. Pan Pawełek zaproponował, żeby zawartość urny przesypaną do pięknej trumny i pochować na cmentarzu. Rodzina tego profesora jest okropnie zawzięta. Ciało i ciało! Tylko skąd je wziąć! Zamówić przez internet?

7 sierpnia, niedziela

Ksiądz Rafał wygłosił dziś wzruszające kazanie na temat nieba i piekła. Bardzo ciekawy wykład na temat walki dobra ze złem, która kończy się zwycięstwem życia nad śmiercią i zostaje nagrodzona wiecznym życiem w raju.

– Gdy człowiek złoży swoje ciało w grobie, wie, że podczas sądu ostatecznego powstanie i podąży za swym Stwórcą – powiedział ksiądz Rafał.

Momentalnie poczułam wiele par oczu skierowanych na mnie i na mojego ojca oraz panią Danusię. Najgorsze było to, że ksiądz kontynuował wątek, potępiając wszystkich, którzy zakłócają spokój zmarłych na cmentarzu.

– Następnym razem zajmiemy miejsca na chórze – szepnęłam ojcu do ucha. Był tak bardzo zdenerwowany, że zgodził się natychmiast. Przypuszczam, że w tej chwili zgodziłby się nawet na miejsca pod dachem, na belce, byleby tylko uniknąć tych świdrujących spojrzeń. Po południu kilka osób zadzwoniło z pytaniem, czy zajmuję się wywoływaniem duchów i czy kontaktuję się ze zmarłymi w zaświatach.

8 sierpnia, poniedziałek

Policja oficjalnie zakończyła dochodzenie w sprawie, ale nieoficjalnie dowiedziałam się, że pokrzywdzona rodzina domaga się, by sprawę przejęła prokuratura. Czyli to jeszcze nie koniec. Pocieszałam ojca i panią Danusię, że wszystko kiedyś się kończy, takie historie także. Marna pociecha, bo sama mam świadomość, że to dopiero początek kłopotów. Wydawać by się mogło, że gdzie jak gdzie, ale w zakładzie pogrzebowym zwłok nie może zabraknąć, jednak wszyscy nieboszczycy, których Zacisze obecnie obsługuje, mają przynależne im rodziny, które z kolei pilnują ich jak dawniej płaczki na marach. Chyba któremuś z nas przyjdzie położyć się do tej trumny!

9 sierpnia, wtorek, okolice domu Emilii

Jurek wracał od wydawcy. Dziarskim krokiem pokonywał odległość dzielącą go od domu, nie zważając, że jest to spory kawałek drogi. W myślach prowadził niezwykle interesującą dysputę pomiędzy dwoma głównymi bohaterami. Jeden z nich domagał się od drugiego, by ten przestał się złośliwie upierać i zgodził na rozwód z własnej winy. A gdy to już nastąpi, powinien honorowo opuścić wspólny dom, zabierając ze sobą jedynie szczoteczkę do zębów. Niestety, ten drugi prezentował całkowity brak klasy i poziom moralny bliski rynsztoka. Zapierał się, że nie tylko nie ustąpi, ale będzie wręcz czynił na każdym kroku trudności i gotów jest raczej podpalić dom niż pozostawić go niewiernej żonie i jej gachowi.

Z początku spokojna, rzeczowa dyskusja szybko przerodziła się w kłótnię z prawdziwego zdarzenia. Obaj panowie prawie rzucili się sobie do gardeł, gdy nagle...

– Nie wie pan, czyj to pies? – Kobięcy głos nie pasował do żadnego z energicznych panów. Zastygli z pięściami w górze i popatrzyli najpierw jeden na drugiego, a potem gdzieś w przestrzeń. Zdradzany mąż odezwał się pierwszy: – Pan to powiedział?

– A skąd! – odparł natychmiast kochanek. – Co mnie obchodzi pański pies!

– Pana nic nie obchodzi! – podchwycił natychmiast mąż. – Ani pies, ani dziecko, ani nikt!

– Jakie dziecko? – zapytał nieufnie amant. – Ja nie mam żadnego dziecka!

– No proszę! – zatriumfował mąż. – Dziecka też się pan wypiera! Ładne z pana ziółko! Najpierw použíwał, a potem alimenty to niech dzieciak sam na siebie płaci!

– Nie wmówisz mi pan żadnych alimentów! – odwarwnął kochanek. – Ja w ogóle nie chcę mieć z tym nic wspólnego! To nie są moje dzieci, widocznie pańska żona utrzymuje kontakty z kimś jeszcze, ale to już nie mój kłopot, drogi panie mężu! Sam pan sobie chowaj cudze dzieci, ja dziękuję! Ja się wycofuję!

– Aha! – Mąż tupnął nogą. – Teraz się pan wycofuje?! O nie, drogi panie Casanova! To ja się wycofuję! Nie moje dziecko i nie mój pies!

– Dlaczego pan krzyczy? Przecież spokojnie zapytałam. – Kobięcy głos wyraźnie się zdenerwował. – Co za ludzie, jak pragnę wszystkiego. Nawet zapytać nie można, bo od razu chcą nóż wyciągać! A biedna psina tu siedzi i siedzi!

Jurek ochłonał nieco i zdał sobie sprawę, że rozmawia z żywą osobą, a nie bohaterką swojej powieści. Konkretnie z panią, która mieszkała w budynku po lewej stronie. Pochylała się teraz nad niewielkim psem rasy york, który warował obok męskiego buta. Gdy pani dotknęła zwierzęcia, podniosło na chwilę pyszczek i oboje, pani z bloku po lewej i Jurek, dostrzegli bezgraniczną rozpacz malującą się w jego oczach.

– Moje biedactwo – załkała pani. – Ktoś go chyba porzucił! Ludzie są bez serca!

– Może się zgubił? – wyraził przypuszczenie Jurek i pogłaskał psa. Zwierzak westchnął ciężko i położył łebek na bucie. – Ciekawe, czyj to but.

– But, nie but, psa trzeba ratować. Niech go pan weźmie! – rozkazała nagle pani z bloku po lewej. – Ja nie mogę, bo mam koty. Przecież nie zostawi go pan na pewną śmierć!

Jurek zawahał się. Z jednej strony psiak wzbudzał w nim sympatię i współczucie, z drugiej – odezwał się zdrowy rozsądek. W domu czekał na niego Synek, dog angielski, który rozmiarami dorównywał małemu cielakowi. Jak zareaguje na pojawienie się psiej konkurencji? Ten maluch nie miałby w starciu z Synkiem najmniejszych szans. Poza tym być może pies istotnie się zgubił, a wtedy należało raczej odnaleźć właściciela. Jurek zamyślił się, pochylony nad psem i butem, którego pies pilnował, i nie zauważył, że pani z bloku po lewej odeszła, przekonana, że spełniła miłosierny uczynek.

– Słuchaj, kolego – zwrócił się do psa. – Zrobimy tak: ja teraz pójdę do domu, bo muszę wyprowadzić na spacer innego psa. Potem przyniosę ci coś do zjedzenia i zastanowimy się, co dalej, dobrze? Nie ruszaj się stąd.

Jurek wstał i ruszył do domu. Odwrócił się dwukrotnie. Za każdym razem widział psa leżącego obok buta. Po niedługim czasie podjął męską decyzję...

Wieczorem tego samego dnia, fragment maila do Roksany

Nigdy nie posądziłabym Jurka o taką wrażliwość, a nawet romantyzm. Dziś po południu przyprowadził do domu nowego psa. Jest to suczka rasy york, młodzietka, najwyżej dwuletnia, prześliczna. Babcia Jurka oraz Synek zakochali się w niej bez pamięci. Jurek twierdził, że psinę znalazł w pobliżu naszego domu, leżała na chodniku w towarzystwie męskiego buta i wyglądała jak sto nieszczęść.

Jurek nie od razu zabrał ją do siebie, lecz poszedł, żeby wyprowadzić na spacer Synka i zastanowić się, co zrobić z zagubionym psiakiem. Tymczasem nasz pupil, gdy tylko wyszedł za próg, wypatrzył maleństwo i pobiegł w jego stronę. Jurek przestraszył

się, że Synek zrobi yorkowi krzywdę, ten jednak obwąchał malucha, a następnie szturchnął go nosem. Piesek podniósł się i w towarzystwie Synka i Jurka obszedł pół osiedla. Gdy wrócili pod dom, znów położył się obok buta.

– Chodź, Synek, przyniesiemy małemu coś do zjedzenia – zaproponował Jurek. Obaj wrócili zatem do domu, pozostawiając pieska samego. W tej samej chwili zagrzmiąło. Zbliżała się ostatnia w tym sezonie burza. Za oknami pociemniało, wiatr ucichł. Synek zbliżył się do okna i zawył przeciągle.

– Jasne, stary, zaraz go przyprowadzę – bezbłędnie zrozumiał przyjaciela Jurek.

Zarzucił na plecy kurtkę, bo pierwsze krople uderzyły w parapet. Otworzył drzwi do mieszkania, a wtedy Synek wyprysnął obok niego i z prędkością torpedy ruszył przed siebie. Jurek biegł za nim. Na dworze lało już jak z cebra. Potężne krople wybijały dziurki w ziemi, na chodnikach pojawiły się spore kałuże. Jurek nałożył kurtkę na głowę i pobiegł w kierunku, gdzie powinien znajdować się pies. Nie było go. Rzęsista ulewa utrudniała rozglądanie się. „Gdzie on się podział?” – pomyślał Jurek, wypatrując także Synka, który pomknął gdzieś przed siebie.

Zaczął przywoływać swojego pupila. Padało coraz mocniej, błyskawice przeszywały granatowosine niebo, grzmoty rozlegały się tuż nad głową. Przemoczony do suchej nitki Jurek obiegił dwukrotnie teren wokół domu, jednak psów nigdzie nie było. Zmartwiony popatrzył jeszcze gdzieś w dal, wykrzyknął kilka razy imię Synka, po czym zawrócił do domu. Wszedł po schodach, ocierając zupełnie mokrą twarz. Gdy otworzył drzwi mieszkania, w progu stała jego babcia w towarzystwie dwóch zwierzaków.

– Nie za późno na takie spacery? – zatroskała się babcia. – Deszcz pada, zmokłeś.

– Jak te psy tu się znalazły? – zapytał Jurek, zdejmując mokre ubrania. – Przecież ich szukałem.

– Synek przyprowadził koleżankę – poinformowała Jurka babcia. – W burzę nie należy wychodzić na dwór, bo to jest niebezpieczne. Psy wróciły przed deszczem, dlatego ty nie zdążyłeś? Musiałeś iść tak daleko?

Z Jurkiem mieszkają teraz dwa psy: Synek i jego koleżanka, którą dog traktuje jak swoją młodszą siostrę. Udostępnił jej swoje poślanie oraz podzielił się z nią zawartością swojej miski. Następnego dnia oprowadził małą po całym mieszkaniu, prezentując wszystkie ważniejsze skrytki. Najciekawszego odkrycia Jurek dokonał rano. Oto na stole w kuchni znalazł męski but, którego pilnowała sunia.

11 sierpnia, czwartek

Po psa nikt się nie zgłosił. Historia się powtarza. Jurek rozwiesił ogłoszenia ze zdjęciem małej suczki jeszcze we wtorek, ale jak dotąd cisza. W schronisku dla zwierząt oraz w okolicznych lecznicach weterynaryjnych nikt nie poszukiwał małego yorka. Suczka jest grzeczna, trochę nieufna, lecz spokojna. Zamieszkała tymczasem w kartonowym pudle, gdzie zasypia w towarzystwie męskiego buta. Synek jest uszczęśliwiony. Przypomina małego chłopczyka, który oczekiwał od rodziców, że na urodziny zamiast roweru prezentują mu braciszka albo siostrzyczkę. Obawiam się, co będzie, gdy właściciel suczki się znajdzie, a Synek tak mocno się do niej przywiąże, że rozłąka okaże się niemożliwa. Czy właściciel przygarnie ich oboje?

Na razie szukamy. Ja sumiennie przesiaduję w pralni, żeby nie martwić ojca. Jak na

ironię, popularność zakładu Zacisze ogromnie wzrosła ostatnimi czasy. Aż czasem sobie myślę, że ludzie zaczęli umierać tylko dlatego, żeby skorzystać z naszej placówki. Być może mówią sobie tam, w świecie nieboszczyków: „Wiesz, mnie chowali ci, no wiesz... ci, od tego jednego, którego potem ukradli i skremowali. Ale zrobił gość karierę! Dużo większą po śmierci niż za życia!”.

15 sierpnia, poniedziałek

Bez namysłu udaliśmy się na spotkanie chóru.

Chór o wdzięcznej nazwie Ament rozśpiewywał się przed występem z okazji święta. Siostra Joanicja, która zastąpiła dawnego organistę, uśmiechnęła się na nasz widok i gestem wskazała nam miejsce w szeregu. Pani Danusia i ja dołączyłyśmy do sopranów, mój ojciec do basów. Ktoś udostępnił nam nuty.

– Dobrze, kochani – powiedziała słodkim głosem siostra. – Zaczynamy rozgrzewkę. Uwaga, rozciągamy się...

– Musi się pan posunąć, bo ja się tu nie rozciągnę. – Usłyszałam głos ojca. – Za mało miejsca.

– Rozciągamy mięśnie twarzy – objaśnił stojący obok wysoki mężczyzna. – A potem będziemy rozciągać struny głosowe. Nie musi pan kucać.

– Uwaga – wydała komendę siostra. – Robimy dzióbki i buziaczki.

Wszyscy ściągnęli posłusznie usta i zaczęli cmokać na różne strony. Było to dość zabawne i zapewne służyło nie tylko rozgrzaniu stosownych mięśni, ale przede wszystkim powszechnemu rozluźnieniu i odprężeniu się przed śpiewaniem. Kątem oka zobaczyłam ojca, który odwracał się zniesmaczony od innego mężczyzny, który właśnie na niego cmokał.

– A teraz pomurczymy – zaproponowała siostra Joanicja i wydała z siebie przeciągły pomruk. Za jej przykładem poszli wszyscy chórzycy, z wyjątkiem mojego ojca.

– Co to za wygłupy! – zaczął marudzić. – To jest chór czy kabaret?

– Proszę pana, tak rozgrzewamy się do występu. Aparat mowy musi się rozluźnić, w przeciwnym wypadku nie zaśpiewa pan ładnie – wyjaśniła cierpliwie siostra. Ojciec skrzywił się, ale posłusznie zamruczał razem z innymi. – Teraz coś trudniejszego. Uwaga! Miauczmy!

Nie wiem, czy ojciec wytrzymałby w chórze, gdyby nie świadomość, że na dole gapie znów skupią swoją uwagę na nas, a nie na księdzu. Przeczekał więc miauczenie, klekotanie językiem, ziewanie i popiskiwanie. Gdy ksiądz wkroczył, chór Ament zaintonował pieśń, w której jeden męski głos wybijał się ponad wszystkie.

16 sierpnia, wtorek

Dziś rano, gdy robiłam zakupy w zaprzyjaźnionym warzywniaku, dowiedziałam się, że kilka dni temu jakiś mężczyzna zasłabł w pobliżu naszego domu i pogotowie zabrało go karetką do szpitala. Podobno mężczyzna zmarł. Dwie klientki wybierające pietruszkę odsunęły się ode mnie i zaczęły szeptać z bezpiecznej odległości.

– Jest wyjątkowo gorąco. – Udawałam, że nie widzę szeptuch. – Nie ma jeszcze dziesiątej, a już jest ponad dwadzieścia pięć stopni. Osoby starsze trudniej znoszą takie upały.

– To podobno był młody człowiek. – Sprzedawczyni pokręciła głową. – Wyszedł na spacer z psem i się przewrócił. Dwa dni później już nie żył. W poniedziałek będzie pogrzeb.

– Robili mu sekcję? – zainteresowałam się.

Szepczące porzuciły pietruszkę i pospiesznie wyszły.

Nie miałam wątpliwości, że na osiedlu pojawią się nowe plotki na temat mojego udziału w śmierci tego człowieka.

– Na pewno – przyznała sprzedawczyni. – Ale przecież wyników nie ogłoszą w prasie. Jednak nikt nie wie, co stało się z psem i... – tu sprzedawczyni zniżyła głos, jakby za chwilę miała mi wyjawiać tajemnicę wagi państwowej – zginął mu but!

– Jaki but? – zapytałam odruchowo.

– Prawy – odpowiedziała sprzedawczyni. – Prawy męski but. Zabrali mu. I psa też. To na pewno sataniści!

17 sierpnia, środa

Narada wojenna odbyła się na zapleczu zakładu pogrzebowego. Nie ulegało wątpliwości, że sprzedawczyni mówiła o właścicielu zagubionej suczki, która z taką czułością pilnowała buta swojego – jak się okazało – zmarłego pana. Pan Pawełek dramatycznym szeptem poinformował nas, że nieboszczyk miał tylko siostrę, która na stałe mieszka w Bydgoszczy i chciałaby jak najszybciej załatwić formalności pogrzebowe. Sekcja zwłok miała wykazać zawał serca, co siostry nie zdziwiło, bo podobno jej brat prowadził bardzo niespokojny tryb życia. Przejawem tego niepokoju miał być fakt, że sprawił sobie niedawno psa, choć przez całe życie żywił nieskrywaną niechęć do zwierząt. Pies zginął, prawdopodobnie uciekł, i siostra nie zamierza się nim przejmować. Fakt, że zginął również jeden but, też nie miał dla niej żadnego znaczenia. Widocznie pielęgniarze stracili, gdy ładowali brata do karetki.

Siostra chce szybko pochować brata, wszystko jedno gdzie, na pogrzebie pewnie nie będzie, bo musi wracać do Bydgoszczy, godzi się nawet na kremację. Prowadzi salon fryzjerski i ma poumawiane klientki. Płaci gotówką i chce mieć problem z głowy. Czyli mamy bezpieczeństwa nieboszczyka!

Pan Pawełek referował wszystko w taki sposób, że atmosfera zrobiła się co najmniej jak z horroru. Obecni, czyli mój ojciec, pani Danusia, Jurek i ja, poczuliśmy, że ciarki przechodzą nam po plecach.

– No i co z tego? – wymamrotał ojciec. – Co nas obchodzi ta siostra i jej but? To jest, chciałem powiedzieć, jej brat? Pochowamy go i z głowy!

– No właśnie! – podchwycił pan Pawełek nieco głośniejszym głosem i wszyscy odruchowo uciszyli go gestem, jakby spiskowanie na zapleczu zakładu pogrzebowego było surowo zabronione. – Mamy zwłoki!

– Chcecie wcisnąć tego faceta rodzinie profesora? – upewnił się Jurek. – Myślicie, że się nie zorientują? Nie było ciała i nagle jest? Trochę czasu już upłynęło...

– A co mamy zrobić, skoro się tak uparli? – Pani Danusia wzruszyła ramionami. – Jak taki dziki osioł na pastwisku. Zaprze się i rób, co chcesz.

– Można spróbować – zaczęłam ostrożnie. – Może nie będą się upierać przy oglądaniu zwłok. Zobaczą trumnę, w trumnie ciało, pochowa się je z honorami

i z głowy. Poza tym powiemy im, że przy takim upale ciało nie wygląda ładnie, więc nie ma na co patrzeć.

– A co będzie, jeśli zajrzą? – zaniepokoiła się pani Danusia. – Nie możemy tego wykluczyć.

– Zrobimy mu charakteryzację – zdecydował pan Pawełek. – Założy się na łeb perukę, doczepi siwe brwi i brodę, narysuje kilka zmarszczek i z głowy.

– Szkoda, że nie wiemy, jak ten profesor wyglądał – zauważyłam. – Postaram się gdzieś znaleźć jego zdjęcie, żeby upodobnić do niego tego trupa.

– Pośpiesz się, bo jutro trzeba go pochować – ostrzegł mnie pan Pawełek. – Najpóźniej do południa musi być gotów. Rano zawiadomimy rodzinę; lepiej, żeby nie mieli zbyt wiele czasu na niepotrzebne pretensje. W końcu w taką pogodę trzeba szybko chować zwłoki!

Kiwnęłam głową na zgodę i na tym narada produkcyjna została zakończona. Pod osłoną zmierzchu rozeszliśmy się do domów, tylko pan Pawełek pozostał w kostnicy.

18 sierpnia, czwartek

Podobizny profesora Potasińskiego nigdzie nie znalazłam. W internecie wyszukałam zdjęcie, na którym znajdował się gdzieś w tłumie, przynajmniej napis pod spodem o tym informował. Fotografia prezentowała samych starszych mężczyzn w togach profesorskich podczas jakiejś inauguracji, przyjęliśmy więc, że był to człowiek siwy, z brodą i wąsami. Pan Pawełek wykonał stosowną charakteryzację i pozostawało jedynie mieć nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Rodzina zmarłego zgromadziła się na cmentarzu punktualnie o godzinie dwunastej. Ksiądz Rafał nie był wtajemniczony w cały nasz plan, ale pojawił się, żeby dopełnić ceremonii. Pani Danusia w ramach rekompensaty zaoferowała najdroższą z posiadanych w ofercie trumien oraz kilka wieńców wykonanych z samych róż.

– Zgromadziliśmy się tu, nad grobem naszego brata, by pożegnać go, zanim wyruszy w swoją ostatnią podróż – zaczął uroczyście ksiądz Rafał. – Poprośmy Pana naszego, żeby przyjął do siebie tę zbłąkaną duszę. Jeśli rodzina chce pożegnać zmarłego, jest to najważniejszy i ostatni moment.

Mrugnęłam niespokojnie na pana Pawełka. Tymczasem ksiądz Rafał, zupełnie nieświadom tego, co robi, pokazał gestem, że należy otworzyć trumnę. Mój ojciec dostał nerwowego kaszlu, a pani Danusia pobladła tak bardzo, że sama mogłaby wystąpić w roli nieboszczki. Rodzina profesora otoczyła trumnę i pochyliła się nad podnoszonym wiekiem. Pan Pawełek zrobił to bardzo szybko. Podniósł i opuścił je w takim tempie, że było niemożliwe, aby ktokolwiek mógł cokolwiek zobaczyć.

– Nic nie widziałam – zgłosiła pretensję wysoka, szczupła kobieta w czerni. – Pan tak szybko zamknął!

– No właśnie – podchwyciła inna, dużo starsza i zasłonięta woalką. – Niech pan porządnie otworzy! Ludzie chcą popatrzeć!

– A co tu oglądać? Nieboszczyk jak nieboszczyk – sprzeciwił się pan Pawełek i znów błyskawicznie podniósł i opuścił wieko. Jeden ze stojących obok mężczyzn pochylił się i oparł ręką o krawędź trumny i gdy pan Pawełek zaczął machać wiekiem, tamten o mały włos nie stracił palców. Kiedy się wyprostował, uderzył w nos stojącego za nim

innego mężczyznę. Ten odruchowo zrobił krok do tyłu, wpadając na stojącą tuż obok damę w woalce. Kobieta zachwiała się, a welon spadł jej na plecy, tworząc dziwne czarne – jakby musze – skrzydła.

– Co to za zwyczaj! – oburzyła się kolejna kobieta w woalce. – Dlaczego pan tak nas pogania jak do pożaru! Nieboszczyk nie zajac, nie ucieknie, można otworzyć trumnę na dłużej.

Nagle znalazło się ich kilka, wszystkie podobnej postury i wzrostu; ubrane w czarne sukienki do połowy łydek i przyozdobione gęstymi czarnymi woalkami, wyglądały niczym zawodowe płaczki.

– Proszę w tej chwili otworzyć dziadka! Dziecko chciało popatrzeć!

Zastęp zawoalowanych żałobnic rozstąpił się i podprowadzono do trumny dziecko, może czteroletnie. Towarzyszył mu dość tęgi mężczyzna w niedopinającym się garniturze.

– Widzisz, Karolku, to jest trumna. W niej znajduje się dziadek Mieczysław – powiedział grubas do dziecka. – A tam jest grób, w którym zaraz go pochowamy. Chcesz zajrzeć?

Dziecko chciało. Zaglądało tak intensywnie, że jego gruby opiekun, który trzymał je pod pachy, mocno pochylony do przodu, zachwiał się i chwilę później zjechał na tyłku do środka i pan Pawełek i reszta grabarzy musieli go wyciągać. Incydent wywołał lament wśród woalek, które zgodnie orzekły, że to zły znak, jeśli ktoś za życia kładzie się do grobu.

– Zatem, kochani, pożegnajmy naszego brata – rozpoczął znów ksiądz Rafał, ale wysoka, szczupła kobieta natychmiast mu przerwała. – Przecież właśnie chcemy to zrobić. Otwierać trumnę, ale już!

Pan Pawełek podniósł wieko, a stojący najbliżej żałobnik przytrzymał ją, uniemożliwiając zamknięcie. Kilka głów pochyliło się nad nieboszczykiem. Przyglądałam się temu niespokojnie, czekając, podobnie jak pozostali członkowie konspiracji, co się wydarzy. Rodzina profesora na dłuższą chwilę zamilkła. Pierwszy odezwał się gruby jegomość.

– Dziadek był łysy i nie nosił zarostu – powiedział gdzieś w przestrzeń. – Zawsze miał przy sobie doskonale zaostrzoną brzytwę. Pamiętam, bo kiedyś mnie nią skaleczył.

Pani Danusia wydała zdławiony okrzyk, ponieważ pan Pawełek zaopatrzył trupa w bujną, siwą perukę i równie obfity zarost, który sięgał aż do piersi.

– Nieźle wygląda jak na dziewięćdziesiąt osiem lat – dodał ten, który trzymał wieko. – W dodatku prawie trzy tygodnie po śmierci. Nie dałbym mu więcej niż czterdziestkę.

– Tu jest znakomita ziemia, a włosy rosną po śmierci jeszcze przez jakiś czas – wtrąciłam szybko. – Ciała niektórych świętych nawet po sześciuset latach od pochowania były doskonale zachowane. No i ta susza...

– Teść był łysy od czterdziestego roku życia – powiedziała sucho szczupła kobieta. – Wyłysiał po nieudanej terapii importowanymi lekami. Po śmierci odrosły mu włosy? Jakim cudem?

– Przecież mówimy, że tu jest znakomita ziemia – przerwał szybko pan Pawełek. – Widocznie pory się odblokowały. Napatrzyl się państwo już? Można zamykać?

– Dlaczego dziadek ma dziurę? – wtrąciło się nagle dziecko.

Wszyscy odruchowo znów spojrzeli na nieboszczyka. Usłużny chłopczyk wskazał na duży palec u nogi zmarłego, który wystawał dumnie z czerwonej dziurawej skarpetki. Drugą stopę przysłaniał but.

– Ostatnio trochę się nachodził – wyrwało się panu Pawełkowi. – Wychodził i wracał. Do zaświatów kawałek drogi. No dobrze, zamykamy kramik. Proszę księdza, do dzieła!

Widok ogołoconej stopy w czerwonej skarpetce z dziurą na dużym palcu wstrząsnął rodziną profesora do tego stopnia, że nikt już się nie odezwał. Ksiądz Rafał szybko poświęcił trumnę, którą grabarze umieścili w grobie i zakopali z taką starannością, jakby osobiście im zależało, żeby nieboszczyk już nigdzie nie zabłądził. Położyliśmy wieńce, bąknęliśmy niewyraźne kondolencje i oddaliliśmy się szybkim krokiem.

W domu pani Danusia zaparzyła herbatę. Ulga, jakiej doznaliśmy, była ogromna, wreszcie ta makabryczno-groteskowa historia dobiegła końca. Gdy oddychaliśmy odprężeni, zatelefonowała pani Zosia z pytaniem, co ma zrobić z urną z prochami profesora.

20 sierpnia, sobota

W mieszkaniu pani Zosi poczułam uspokajający przypływ dobrej energii. Nie było ono zbyt duże, składało się z trzech pokoi i kuchni, ale dla niej samej i jej męża, pana Ryszarda, była to wystarczająca przestrzeń.

Całość zaaranżowano w tonacji błękitno-beżowo-białej z granatowymi i fioletowymi dodatkami. Okna w salonie, w którym pani Zosia zazwyczaj urzędowała, zasłonięto grubymi fioletowymi zasłonami, w rogu pokoju paliła się tylko nieduża lampka, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się tajemnicze i niezwykle. Dla wzmocnienia efektu zostały zapalone dwie grube świece, przypominające gromnice.

Gdy weszłam do środka, pani Zosia usiadła na swojej ulubionej granatowej kanapie i wzięła do ręki naszyjnik z jaspisów. Popatrzyła na mnie z uwagą.

– Masz fioletową aurę – powiedziała po chwili, kładąc wyraźny akcent na słowie „fioletową”. – Sprawdzę ci czakry.

Nie protestowałam, w końcu fioletowa aura nie kojarzyła się dobrze. Od razu wyobraziłam sobie, że gdzieś w środku jestem też zielonkawo-siną, a może brunatną, czy – o zgrozo! – czarna.

– Bo ja pomagam teraz w zakładzie pogrzebowym – powiedziałam. – Pani Danusia musiała pojechać na pogrzeb kogoś z rodziny i zastępuję ją w biurze. Dziś rano siedziałam tam, wysłuchując wynurzeń pewnej wdowy, która ogromnie miała za złe swojemu mężowi, że umarł, skoro przez całe życie utrzymywał, że nic mu nie jest. Jak stwierdziła: „Nigdy nie można było polegać na jego słowie!”.

Pani Zosia zamknęła oczy i przez chwilę świszczła, oddychając przez nos. Nie cierpię, kiedy ludzie tak świszczą, od razu wyobrażam sobie, że mają w nosie takie suche farfocle.

– Czakra Korony ma kolor fioletowy – zaczęła pani Zosia. – Czakra Trzeciego Oka ma kolor ciemnoniebieski, Czakra Gardła – błękitny w złote cętki, Czakra Serca – brązowy, Czakra Słoneczna – bładoniebieski, Czakra Seksualna – fioletowy, Czakra Podstawy – czerwony. Powinnaś się znów zakochać! Człowiek ma dążyć w swoim życiu do harmonii, która stanowi doskonałość w palecie barw, od czerwonej do fioletowej,

a tobie tego brakuje. Wyraźnie Czakra Serca i Czakra Seksualności nie są w dobrej kondycji. Uzupełnij energię i działaj, bo tak być nie może!

Przyjęłam przekaz pani Zosi z pokorą, jak zawsze, choć nie mogłam uwierzyć, że zaprosiła mnie do siebie tylko po to, żeby mi uświadomić to, co od dawna dobrze wiedziałam. A nawet gdybym nie wiedziała, wiele osób z mojego najbliższego otoczenia – z ojcem na czele – od razu by mi o tym przypomniało. Nie miałam jednak głowy do kolejnych romansów. Po historii z Markiem, który okazał się zwykłym bandytą, oraz wieloma innymi potencjalnymi kandydatami na tego jedyne go zawiesiłam swoje poszukiwania drugiej połówki na kołku.

– Tak, wiem. – Pokiwałam głową. – Ale jakoś nikt się nie trafia. Albo mnie nie chcą, albo nie ma w pobliżu nikogo odpowiedniego. Na siłę nie będę przecież przeżywać miłości!

– Na siłę nie – zgodziła się pani Zosia. – Ale dla zdrowia? Czemu nie. W końcu chłop to chłop, prawda, Ryszardzie?

Nie zdziwiło mnie, że zwróciła się bezpośrednio do swojego zmarłego męża. W końcu pracowałam w zakładzie pogrzebowym, oswoiłam się więc z tym, że bliscy jeszcze długo po śmierci ukochanej osoby zachowują się tak, jakby ta osoba wciąż żyła. Czekałam spokojnie, co będzie dalej.

– Zgadza się, masz rację, jak zawsze – kontynuowała pani Zosia. – Ludzie zwykle nie dostrzegają tego, co mają tuż przed nosem. Dobrze, powiem jej. Myślę, że zrozumie. Kto? Jak się nazywa? Aha, dobrze, podeślij go do mnie, przygotuję mu macierz rozwoju osoby. Tylko mam prośbę, Rysiu, nie przestrasz go, jak tego młodego ostatnio. Chłopak miał zawał serca!

Pani Zosia mówiła gdzieś w przestrzeń, a ja spokojnie siedziałam i słuchałam. W pewnej chwili gospodyni wstała, podeszła do dużej komody i wzięła z niej urnę z prochami profesora. Stała, trzymając ją w objęciach, i co rusz kiwała głową, milcząc się z kimś zgadzając. Scenę tę przerwał dzwonek domofonu. Ponieważ pani Zosia w dalszym ciągu konwersowała z niewidzialnym panem Ryszardem, poszłam otworzyć. Ku mojemu zaskoczeniu, w drzwiach pojawił się pan Przemek.

Wieczorem tego samego dnia, fragment maila do Roksany

Wyobraź sobie, że pan Przemek korzysta z usług pani Zosi! Dziś pojawił się u niej i był wyraźnie niezadowolony z faktu, że się spotkaliśmy. Przywitał się ze mną dość chłodno i wyraźnie oczekiwał, że sobie pójdę. Tak też zrobiłam. Pożegnałam się i wyszłam. Nie mogłam przecież omawiać kwestii pozbywania się prochów profesora w jego obecności. Jutro porozmawiam z panią Zosią, bo istotnie wola pana Ryszarda wciąż nie została wypełniona i może on zgłaszać uzasadnione pretensje. W grobie profesora pochowany jest jakiś facet bez buta, w urnie, w której miały się znajdować prochy pana Ryszarda, przebywa skremowany profesor, a pan Ryszard spoczywa w grobie, na szczęście swoim własnym, ale nie takie było jego życzenie. Gdy pomyślę, że znów przyjdzie nam rozkopywać groby, ogarnia mnie przerażenie. To może się przerodzić w jakąś fobię, a jeśli znów nas ktoś na tym przyłapie, to ani chybi zamkną nas wszystkich w zakładzie karnym.

Wtedy Bolusiem będzie musiał się zaopiekować Jurek. Biedak troszczy się o swoją

babcie i utrzymuje dwa psy. Wygląda na to, że przygarnięta psinka zostanie u niego, skoro jej właściciel zmarł. Jest to niezwykle sympatyczna i ujmująca istotka. Wcale nie dziwię się Synkowi, że pokochał ją jak młodszą siostrzyczkę. Suczka ma słodkie czekoladowe oczka, maleńki, lekko zadarty nosek i blond sierść. Oszacowaliśmy jej wiek na rok, dwa latka, zatem maluszek. Pozostała jeszcze kwestia imienia. Jak do tej pory padły następujące propozycje: Pegi, Koko, Lili, Mała (to oczywiście mój ojciec), Joki, Kusia (skrót od Jorkusia). Ale malutka nazywa się chyba inaczej, bo Synkowi żadne z tych imion nie przypadło do gustu, i gdy proponowaliśmy jej małej suni, to trącał ją nosem, jakby mówił: „Nie zgadzaj się, brzydkie”.

A jak ty byś ją nazwała? Roksi? Może teraz głaszczesz jakiegoś małego strusia i mówisz do niego czule: „Chodź, moje maleństwo, mamusia chwilkę cię powysiaduje, jak w jajeczku”.

21 sierpnia, niedziela

Pan Przemek zatelefonował z samego rana. Dawno się nie odzywał, już myślałam, że o mnie zapomniał. Rozmowę zaczął od pretensji, że go prześladuję. Jego zdaniem celowo pojawiłam się wczoraj u pani Zosi, żeby zepsuć mu nastrój. Odkąd przestałam wróżyć, większość moich dawnych klientów korzysta z jej usług, nie przypuszczałam jednak, że pan Przemek także. Przecież nie kto inny, tylko on właśnie po powrocie z podróży dookoła świata oświadczył, że wróżby, karty, talizmany i inne gusa oraz wiara w zjawiska nadprzyrodzone, w tym wiara w Boga, to jedynie banalny sposób na uciekanie od problemów.

– Ludzie wierzą, bo w ten sposób mogą uzasadnić swoje liczne życiowe niepowodzenia – przekonywał mnie. – Kwestia, w co wierzą, jest drugorzędna. Jedni wierzą w Boga i swoje żale wylewają przed ołtarzem, inni wierzą w rytuały i odwiedzają wróżki, a jeszcze inni w jedno i drugie. A prawda jest taka, że to bujda na resorach, wymyślona tylko po to, żeby łatwiej sterować ludźmi.

– Nie zaprzeczy pan, że są dowody na istnienie Boga! – kłóciłam się z nim. – Udokumentowane przypadki cudów, których żadna teoria naukowa nie zdołała wytłumaczyć, wydarzenia, których przebieg można wyjaśnić tylko ingerencją siły wyższej, niewytłumaczalne zjawiska, niemożliwe do wywołania przez człowieka!

– To jest tylko kwestia braku wiedzy – utrzymywał pan Przemek. – Ludzkość zatrzymała się w rozwoju cywilizacyjnym na poziomie żelaza. Prawdziwy postęp technologiczny ostatni raz odnotowaliśmy w dziewiętnastym wieku, a teraz pielęgnujemy iluzję doskonalenia naszych umiejętności. Prawda jednak jest taka, że od czasów Einsteina nie zrobiliśmy kroku naprzód. Dlatego też nie potrafimy wytłumaczyć wielu zjawisk i towarzyszących im zdarzeń. To kwestia braku wiedzy, powiadam, a nie działania sił boskich czy nadprzyrodzonych. Zastanawiam się, komu zależy na tym, żeby ten brak wiedzy podtrzymywać! Niech pani sobie przypomni, jak długo utrzymywano, że Ziemia jest płaska, choć od dawna ludzie zauważali zjawiska, które przeczyły tej teorii. Mało tego, starożytne cywilizacje rozwinęły wiedzę z zakresu matematyki i fizyki na poziomie nawet teraz nam niedostępnym. Czy byli to ludzie inaczej ukształtowani anatomicznie niż my? Mieli większe mózgi, dwie głowy? Wmawia się nam, że jesteśmy cywilizacją doskonałej technologii. Tymczasem nie

wynaleziono niczego, co można byłoby porównać z wynalazkami dziewiętnastowiecznymi czy nawet tymi z epoki kamienia łupanego. Telefon komórkowy? To ma być osiągnięcie technologiczne? Ile węgla należy spalić do jego wyprodukowania? A ile energii się pożytkuje, żeby niepotrzebny aparat zutylizować! Nowoczesne linie produkcyjne, które zastąpiły ludzkie ręce, tak naprawdę pozbawiły ludzi podstawowej potrzeby, jaką jest praca, i przyczyniły się do powstania jeszcze większych różnic w zakresie posiadania. Czy zagospodarowano związaną z tym frustrację? Otóż w tak zwanych lepiej rozwiniętych społeczeństwach rozwinięto sieć opieki socjalnej, jeszcze bardziej dezaktywując społeczeństwa, rozleniwiając je i przyzwyczajając do opiekuńczej roli państwa. Czy takie postępowanie może zrodzić potrzebę poszukiwania nowego rozwiązania? Potrzebę rozwoju? Potrzebę dociekania? W żadnym wypadku. Rodzi natomiast frustrację, którą masy rozładują podczas nabożeństw i rytuałów. Poszukiwanie innego, równoległego świata, w którym każdy z nas będzie miał przypisaną określoną rolę, to potrzeba, która wpływa coraz jaskrawiej, jeśli przyjrzyć się temu, co jest teraz modne.

– To prawda – zgodziłam się. – Dlaczego więc korzysta pan z usług wróżek?

– Bo jestem dzieckiem swoich czasów. – Pan Przemek powiedział to takim tonem, jakby mówił o pogodzeniu się z tym, że cierpi na nieuleczalną chorobę. – Świat równoległy jest mi potrzebny, żeby od czasu do czasu móc znaleźć swój punkt odniesienia. A dlaczego zrezygnowała pani z wróżenia? Czy to zamiana jednego rodzaju rytuałów na drugi? I chadza pani teraz do konkurencji, żeby szpiegować dawnych klientów?

– Nie, nie dlatego – odparłam, udając, że nie dosłyszałam ostatniego pytania. – Lubię pomagać, ale ta praca mnie przerosła. Ludzie zgłaszali się do mnie i zalewali mnie swoimi problemami, frustracjami, pretensjami do całego świata. Oczekiwali, że zniweluję wszystkie ich zmartwienia: popatrzę w karty i podpowiem, co mają zrobić, żeby przejść przez życie bez wstrząsów. Czynili mnie odpowiedzialną za swoje osobiste porażki oraz za wady osób, z którymi mają do czynienia. Nie mogłam dłużej tak pracować.

– Przecież to pani stale powtarzała, że człowiek powinien wykorzystywać własny potencjał i rozwijać się na tym polu, na którym czuje się najlepiej. Pomimo przeciwności i przeszkód – wypomniał mi pan Przemek.

Przyznałam mu rację. Podejmując decyzję o wprowadzeniu radykalnych zmian w swoim życiu, uczyniłam założenie, że wystarczy znaleźć pomysł na siebie. Określić swoje potrzeby i oczekiwania i konsekwentnie dążyć do celu. W dalszym ciągu uważam, że to było właściwe, jednak zabrakło jeszcze jednego elementu: poczucia, że to, co robię, mnie cieszy. Uczynienie z hobby zawodu sprawiło, że to, co kiedyś uwielbiałam, stało się moim przekleństwem. Uzależniłam swoją egzystencję od innych ludzi, przechodząc w istocie od jednego schematu do drugiego, odbierając samej sobie możliwość spojrzenia na całość z szerszej perspektywy. Bo tej perspektywy już nie było. Nie istniała. Przecież zrobiłam to, co sobie zaplanowałam. Jakże mogłam przyznać się do porażki?

Rezygnacja z wróżenia doprowadziła mnie znów do krzeselka za ladą w pralni wymienianego na krzesło za biurkiem w zakładzie pogrzebowym. Lecz bynajmniej nie

oznaczało to, że moje marzenia, by nadal pomagać ludziom, wykorzystując przy tym swoje niezwykle umiejętności, i by zarazem móc się z tego utrzymać, zniknęły. Dlatego powołałam do życia firmę Drużka.

– Ludziom potrzebna jest nadzieja. Bez niej zatraciliby się w swoich lękach i smutkach – odpowiedziałam panu Przemkowi, chociaż chyba bardziej chciałam przekonać samą siebie. – Osobom, które wierzą w Boga, jest dzięki temu łatwiej przetrwać, bo świadomość, że istnieje gdzieś tak potężny sprzymierzeniec, niejednego podźwignęła z kolan.

– Gdyby ludzie byli lepiej wyedukowani, nie potrzebowałiby fałszywej nadziei – stwierdził pan Przemek. – Wieloletnie zaniedbania dają o sobie znać. Ludzie wracają do zabobonów.

– Śmieszne, że pan to mówi. – Zaczęłam się denerwować. – Poza tym nie da się ukryć, że kościoły pustoszeją!

– Kościoły tak – powiedział z naciskiem pan Przemek. – Ale gabinety wróżek nie. Przeciwnie. Zauważyła pani, ilu nowych, wybitnych znawców tarota pojawiło się w internecie? A jaka bogata oferta temu towarzyszy? Rozkłady partnerskie, wykresy zdrowotne, przepowiednie kwartalne, karty miłości, anielskie, cygańskie, opiekuńcze, mądrości ukrytych królestw, przesłania, porady, rozkłady, rytuały, zwalnianie blokad. Tyle tego, a ludzie wciąż błędzą!

– Pan też do nich należy! – wytknęłam mu kolejny raz.

– Owszem – przytaknął. – Żeby móc coś skrytykować, należy się z tym najpierw zapoznać. Ja jednak różnię się od innych, bo nie wypytyuję wróżek o błahostki. Wierzę, że we wszechświecie znajduje się odpowiedzi na wiele pytań, ale by je właściwie odczytać, trzeba znać ten język. Język wszechświata. Dlatego szukam osoby, która dobrze nim włada.

– Pani Zosia jest taką osobą?

– To się okaże. Skoro pani nie chce nią być.

Gdy się rozłączył, po raz pierwszy, odkąd się znamy, pomyślałam, że rozmowa z nim nie sprawiła mi przykrości. Po raz pierwszy także zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czym on się zajmuje zawodowo, i zaciękało mnie to. Rozłożyłam karty. Jako karta wyjściowa pojawił się król mieczy. Czyli umysł analityczny, niezależność, pragmatyzm życiowy, wszechstronność, dominacja pierwiastka uczuciowego nad rozumowym. Potem miecze: chłodny wojownik!

22 sierpnia, poniedziałek

Pani Zosia przyjechała do zakładu pogrzebowego w godzinach pracy. Przywiozła ze sobą urnę z prochami profesora. Jak stwierdziła, pan Ryszard nie był zadowolony z faktu, że po jego śmierci przetrzymuje ona w domu obcego faceta. Oświadczenie to wygłosiła w chwili, gdy w biurze obecna była klientka.

Kobieta popatrzyła na panią Zosię, wskazała palcem urnę i powiedziała stanowczo:

– Proszę pani, mężczyźni zawsze pozostaną mężczyznami, nawet po śmierci. Mój mąż nieboszczyk zaraz po ślubie oświadczył, że mogę spotykać się wyłącznie z kobietami, a mężczyzn zapraszał do domu tylko wtedy, gdy wcześniej się z nimi zaprzyjaźnił. Wiedział dobrze, że mam swoje zasady i z przyjacielem domu go nie

zdradzę. Pod koniec życia miał już tylu znajomych, że kiedy organizowaliśmy imieniny, to gości trzeba było spraszać w trzech terminach, jak na turnusy wakacyjne, bo wszyscy jednocześnie by się nie pomieścili w naszym mieszkaniu. A mój mąż z natury był odludkiem i nie znosił tłumów! Umarł, bo chciał wreszcie zostać sam.

– Ale ja wcale nie chcę, żeby ten mężczyzna był przez cały czas w moim domu. – Pani Zosia wzruszyła ramionami. – Nie znam go. Dlatego go przyniosłam, niech stoi gdzie indziej.

Urna stanęła na biurku. Wszystkie trzy patrzyłyśmy na nią przez dłuższą chwilę. Mnie przyszło do głowy skojarzenie z lampą Aladyna, tyle że tu w charakterze dzina mógł wystąpić skremowany pan profesor.

– A to nie jest pani mąż? – zdziwiła się klientka. – A po czym pani poznała?

– Po głosie – odparła pani Zosia. – Przemówił do mnie i stanowczo zażądał, żebym usunęła obcego mężczyznę z domu.

– Ten? – Klientka wskazała palcem urnę. – Ten do pani przemówił? Z urny?

– Nie, ten z grobu – wyjaśniła spokojnie pani Zosia. – Mój mąż leży w grobie i domaga się kremacji. A tego pana nie znam wcale!

– To po co go pani wzięła?! – Klientka patrzyła raz na mnie, raz na panią Zosię bardzo dziwnym wzrokiem.

– Bo myślałam, że to mój mąż – westchnęła pani Zosia. – Gdy poszli, żeby wyciągnąć go z grobu, nie przypuszczałam, że przyniosą innego nieboszczyka, choć z drugiej strony powinnam była się domyślić. Poprzedniego dnia śniły mi się owłosione łydki, których ktoś dotykał w rękawiczkach. Jedna z rękawiczek opadła na mrowisko i łydka, czyli noga, weszła w to mrowisko.

– A co to znaczy? – chciała wiedzieć klientka.

– Trudności, kłótnie, niepowodzenie w jakiejś sprawie i same kłopoty. – Pani Zosia westchnęła ponownie. – Potem widziałam mojego zmarłego męża, który siedział w piżamie w jakiejś poczekalni. Czekał i czekał, a wszyscy inni, którzy pojawiali się później, dużo szybciej załatwiali swoją sprawę. A on wciąż czekał...

– Aha. – Klientka nagle wstała i ruszyła do drzwi. – To ja się jeszcze zastanowię – rzuciła na odchodnym. – Przemyślę ten pogrzeb i w ogóle. Bo mój mąż to raczej chciał być pochowany tak normalnie, bez poczekalni i takich tam. Ludzie prawdę mówili, że tu jest dom wariatów. Do widzenia!

Kobieta wyszła w takim pośpiechu, jakby się paliło. Tymczasem pani Zosia przesunęła urnę w moją stronę i powtórzyła z naciskiem:

– Nie chcę tego faceta w domu, zróbcie z nim coś!

Przywołany pan Pawełek po chwili namysłu stwierdził, że można urnę włożyć do czyjejs trumny przy okazji następnego pogrzebu. Pomysł, by ponownie odkopywać profesora, nawet jeśli ktoś tylko go udawał, wydał nam się niestosowny, podobnie jak odgrzebywanie ciała pana Ryszarda.

– Powiedzą, że naprawdę jesteśmy jakąś sektą – rzekł pan Pawełek, kręcąc głową z niesmakiem, bo pani Zosia nalegała, by wydobyć zwłoki jej męża i je skremować. – To może zniszczyć interes pani Danusi, a teraz jest ruch jak nigdy!

– Ryszard jest niezadowolony i ma rację! – naciskała pani Zosia. – Powiedział mi wczoraj, że gdyby został skremowany, uzyskałby ciało astralne, a tak to musi obnosić

się ze swoim, ziemskim, którego już nie lubi. Musimy coś zrobić! Przecież obiecałam mu, że zostanie skremowany po śmierci!

– Dobrze. – Pan Pawełek machnął ręką. – Szefowa wróci, to się naradzimy.

Pan Zosia oddaliła się niezbyt rada, ale nic innego na tę chwilę nie mogliśmy postanowić. Należało poczekać do wieczora.

Wieczorem

Pani Danusia omal nie dostała ataku serca, kiedy powitałam ją informacją, że pan Ryszard stanowczo domaga się, by go ekshumowano i skremowano, bo nie może przybrać ciała astralnego w zaświatach. Mój ojciec nic nie powiedział, ale wiem dobrze, że swoją opinię wyrazi w odpowiednim czasie.

– Pani Zosia była tu po południu – tłumaczyłam im. – Ona czuje wewnętrzne zobowiązanie, przecież to było życzenie pana Ryszarda, by skremowano go po śmierci. Wola zmarłego jest święta!

– I jak to sobie wyobrażasz? – zapytał sucho pan Pawełek. – Mamy tam tak po prostu pojechać i go wykopać?

– Przecież stale coś robicie na cmentarzu! – wytknęłam. – Nikt się nie zorientuje, czy wyciągacie akurat trumnę z ziemi, czy ją tam chowacie. W końcu kiedy stawia się nagrobek, wykonuje się różne prace!

– Ale nie ekshumacyjne – odparła pani Danusia z westchnieniem. – A to był taki spokojny interes... Teraz wszystko się skomplikowało!

– No dobrze – zgodził się pan Pawełek. – Zmarły ma prawo domagać się, żeby jego wola została spełniona. Pojutrze z samego rana pojedziemy, wyciągniemy go, skremujemy, a potem obu zakopujemy w jednym grobie i niech mi nikt nie mówi, że dwa umarlaki się nie pogodzą, bo sam zaczę straszyć po nocy!

Mój ojciec oświadczył, że żaden z jego klientów – a miał na myśli pralnię – nie był tak uciążliwy jak zmarły pan Ryszard. Nie zmienia to jednak faktu, że wola nieboszczyka powinna być wypełniona. Ustaliliśmy, że w środę ekipa pana Pawełka pojedzie na cmentarz i zaraz po pogrzebie jednej pani wyciągną trumnę z ciałem pana Ryszarda, zabiorą ją do prosektorium, potem uroczą się ją skremuje i prochy pochowa w grobowcu. Szczegóły zostały omówione. Przy okazji znów powstał problem, kto usiądzie na zastępstwo w pralni. Mój ojciec nie chciał zostawiać pani Danusi samej w zakładzie, a ja wolałam dopilnować, żeby grabarze naprawdę wykopali i skremowali pana Ryszarda.

– Musimy kogoś przyjąć – oznajmiłam ojcu stanowczo. – Nawet jeśli wciąż będę tam pracować, to zawsze druga osoba się przyda. Przecież stać nas na to.

Ku mojemu zdumieniu ojciec się nie sprzeciwił, tylko popatrzył na mnie dziwnie i powiedział cicho:

– Jest już ktoś. Zacznie od środy. Załatwiłem to. Przyjdź jutro wieczorem do nas na kolację, to ją poznasz.

Tego samego dnia późnym wieczorem, fragment maila do Roksany

Odczuwam ostatnio narastające przygnębienie. Wszyscy mają jakiś cel w życiu, realizują swoje pasje, które potrafią doskonale połączyć z wykonywanym zawodem,

a ja motam się we własnej niemocy. Nie wiem, jak Tobie się układa, ale wierzę, że doskonale. Jurek pisze bestsellery, ojciec i pani Danusia znaleźli wspólny język i doskonale się ze sobą czują. Jacka ostatnio nie widuję, bo odkąd awansował na ordynatora oddziału, nie wychodzi z kliniki. Skończy się tym, że sam zwariuje. Przystanie odróżniać rzeczywistość od iluzji i podąży śladem swoich pacjentów, którzy wybrali życie w lepszym świecie.

Przyłapałam się na tym, że brakuje mi narzekań pana Przemka i docinków ojca. Ostatnie wydarzenia związane z feralnymi pogrzebami tylko na chwilę przyćmiły mój smutek. Nawet Boluś nie jest w stanie mnie pocieszyć. Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Wiem, że powinnam się skupić na rozwijaniu własnego biznesu, ale to też ostatnio średnio mi wychodzi. Zupełnie straciłam zapał. Odzywają się klienci, którym zależy na szybkim znalezieniu kandydatki na żonę, kucharkę, sprzątaczkę i damę do towarzystwa w jednym. Kobiet jest zdecydowanie mniej. Padają nawet propozycje, żeby skojarzyć sprzedawcę wełny jagnięcej ze sprzedawcą kierpców góralskich. Takie to wszystko nudne i przyziemne! Brakuje mi Ciebie i Twoich zwariowanych pomysłów. Ciekawe, na jaki kurs zapisałaś się tego lata? Może na kurs zacierania śladów przestępstwa?

23 sierpnia, wtorek

Synek opiekuje się małą suczką, jakby była jego młodszą siostrzyczką. Odstąpił jej swoje wygodne pościelenie, obie miski i wszystkie zabawki. Na dworze chroni małą niczym najdroższy diament, a w domu oka z niej nie spuszcza. W końcu wiele ich łączy – oboje komuś zaginęli i odnaleźli u Jurka nowy dom. Mała szybko stała się ulubienicą nas wszystkich, a najbardziej babci Jurka.

– Trzeba ją jakoś nazwać – przypomniałam, gdy Jurek przyszedł do mnie, żeby pożyczyć słownik polsko-angielski. – Jeśli dłużej będziecie nazywać ją „małą”, to tak już zostanie.

– Nie mogę się zdecydować – przyznał Jurek i pokręcił głową. – Żadne imię do niej nie pasuje. Odnoszę wrażenie, że ta mała usiłuje nam powiedzieć, jak się nazywa, ale nie możemy jej zrozumieć. A ona chciałaby, żeby wołać na nią tak samo, jak robił to poprzedni właściciel.

– Zapytaj Synka! – Roześmiałam się. – On ci powie.

Jurek też się roześmiał. Powieść o wampirach przekładano na angielski i tłumaczka poprosiła go o skonsultowanie kilku sformułowań. Jego kariera literacka z każdym dniem nabierała większego rozmachu. O Jurku pisano już w wielkonakładowych gazetach, określając go mianem debiutanta roku, największego literackiego odkrycia ostatniej dekady, królem powieści fantastycznej. Krążyły plotki, że otrzyma nominację do najbardziej prestiżowej nagrody – Tabliczek Kaliopie.

– Tak zrobię – przytaknął. – Ale teraz wyprowadzę psiaki na dwór. Babcia się położyła, więc mogę spokojnie wyjść.

Wieczorem tego samego dnia, fragment maila do Roksany

Od jutra pralnią będzie dowodzić niejaka Gabriela Kłosek, daleka kuzynka pani Danusi. Dwudziestolatka, która od października rozpoczyna studia na wydziale lekarskim Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Bardzo ładna brunetka o fiołkowych oczach

i mlecznej cerze. Uroda iście przedwojenna, przypomina Gretę Garbo. Wysoka, szczupła i mocno uduchowiona. Podobno pisze wiersze. Zamieszka w mieszkaniu ojca, który na dobre sprowadził się już do pani Danusi.

Przy okazji chciałam Cię zapytać, czy zastanawiałaś się nad wynajęciem swojego mieszkania? Pani z warzywniaka poszukuje lokalu w tej okolicy dla swojego znajomka, który także przyjechał niedawno do stolicy. Być może w tej chwili w ogóle nie troszczysz się o pieniądze, wydaje mi się jednak, że dobrze byłoby, aby ktoś opiekował się mieszkaniem. Ja zaglądam tam od czasu do czasu, żeby podlać kwiaty. Proszę, odpowiedz do końca tygodnia, bo facet mógłby zamieszkać od pierwszego września.

Jutro rano zatem wprowadzę uduchowioną Gabrielę w tajniki biznesu pralniczego, a zaraz potem pobiegnę na cmentarz. Tym razem zajmiemy się panem Rysiem. Należy go wykopać, skremować i ponownie zakopać. Profesorowi do towarzystwa. Na wieczność chyba lepszy taki towarzysz niż żaden, nie uważasz?

24 sierpnia, środa

Gabriela pojawiła się w pralni punktualnie. Oprowadziłam ją po firmie, wyjaśniłam nasz system przyjmowania i wydawania zleceń, przygotowałam cennik wraz z opisem i powiadomiłam, że pojawię się po południu. Zaznaczyłam też, że w razie jakichkolwiek kłopotów niech szuka ojca w zakładzie pogrzebowym pani Danusi.

– Zakłady pogrzebowe to siedlisko zarazków – stwierdziła Gabriela i skrzywiła się. Należała do tych osób, które nawet wówczas wyglądają pięknie. – W życiu nie chciałam tam pracować! Co innego pralnia. Tu wszystko musi być czyste, po prostu musi!

– Zanim stanie się czyste, jest brudne – zauważyłam.

Gabriela tylko wzruszyła na to ramionami.

– Dobrze, muszę już iść – rzekłam po chwili. – Poradzisz sobie?

– Oczywiście – oświadczyła dziewczyna. Jej wymuszony uśmiech mnie nie przekonał, ale w tej chwili nie mogłam się nad tym zastanawiać. Od blisko godziny pan Pawełek i jego koledzy powinni pracować na cmentarzu.

Upalne lato przypomniało sobie, że czasem może spaść deszcz. Oczywiście stało się to akurat wtedy, kiedy z całego serca życzylibyśmy sobie suchego i bezwietrznego dnia. Gdy dotarłam na miejsce, padało już porządnie. Z daleka zobaczyłam grupkę przemokniętych mężczyzn, którzy stali nieruchomo i patrzyli w ziemię. Pełna najgorszych przeczuć zbliżyłam się do nich i też popatrzyłam. W ziemi ziała ogromna, pusta dziura.

– No. – Trąciłam pana Pawełka łokciem. – Gdzie trumna?

– Nie ma – padła głucha odpowiedź. Przez chwilę przemknęło mi przez myśl, że ją odkopali i pozostawili na deszczu, czekając, aż się rozpuści.

– Jak to: nie ma? A gdzie jest?

– A cholera wie – warknął pan Pawełek. – Pieprzę taką robotę! Znikające trumny, wędrujące trupy! Ja jestem porządny grabarz, a od tego może się w głowie poprzesuwać!

Zastygłam w tej samej pozycji co grabarze. Lekko pochylona nad rozkopanym grobem, wpatrując się tępo w czarną ziemię. Długo nie ustałam, bo deszcz padał coraz mocniej,

a poza tym nie miałam łopaty, o którą mogłabym się oprzeć. Kiwnęłam na pozostałych i wszyscy poszliśmy w stronę karawanu. W środku panowie wyjaśnili mi, że gdy przyjechali, grób już był rozkopany.

– Najpierw pomyślałem, że to ty się pośpieszyłaś – powiedział pan Pawełek – i omal mnie szlag jasny nie trafił na miejscu. Ale potem przyszło nam do głowy, że może trumna jednak tam jest, tylko niżej. Mietek i Kacper weszli do środka i zaczęli kopać. Deszcz się rozpadał, zrobiło się błoto, a trumny nie ma. Chłopaki wyleźli na zewnątrz i kombinowaliśmy właśnie, co robić. Wtedy przyjechałaś.

Ta nowa zagadka bardzo nas zaskoczyła. Nasuwało nam się jedno logiczne wytłumaczenie: pani Zosia, nie mogąc dłużej czekać na spełnienie ostatniej woli swojego męża, przyjechała tu z inną ekipą i zabrali trumnę. Wszyscy po kolei wyrazili swoje zdanie na jej temat, po czym odjechaliśmy, na śmierć zapominając o odsłoniętej i niczym niezabezpieczonej dziurze w ziemi na cmentarzu.

25 sierpnia, czwartek

– Ten psiak cały czas mamrocze coś pod nosem – poskarżyła się babcia Jurkowi podczas śniadania. – Nic nie mogę zrozumieć. Trzeba zaprowadzić małą do logopedy!

– Dobrze, babciu – zgodził się Jurek, dopijając kawę. – Po południu, gdy wrócę z wydawnictwa, umówię ją na wizytę.

– Zapytaj przy okazji, jak długo ona będzie sikać do buta – dodała babcia. – To mała dziewczynka, ale może warto już wprowadzić nocnik?

Jurek podniósł się, pocałował babcię w policzek i spojrzał na yorka leżącego u jej stóp. Psia dziewczynka nie sprawiała żadnych kłopotów. Synek także złagodniał przy niej, stał się spokojniejszy i bardziej posłuszny. Wszystko byłoby idealne, gdyby nie fakt, że psina nie ruszała się nigdzie bez męskiego trzewika. Za każdym razem, kiedy Jurek wyprowadzał psie towarzystwo na dwór, musiał zabierać kontrowersyjne obuwie ze sobą. Starał się nie zwracać uwagi na oglądających się za nim przechodniów, gdy szedł i trzymał w jednej ręce dwie smycze, a w drugiej trzewik. Domyślał się bowiem, że but należał do poprzedniego właściciela suczki i stanowił dla niej bezcenną pamiątkę. Spokojna psina dostała ataku szału, paniki i rozpaczy w jednym, gdy pewnego ranka Jurek zostawił go – przez nieuwagę – na koszu na śmieci. Na szczęście zdążył odzyskać trzewik, zanim trafił on w ręce bezdomnego, który przeglądał zawartość kosza.

– O, pan literat na spacerku – zawołał ktoś za plecami Jurka. – Widzę, że wyobraźnia pracuje. Nie tylko pieski pan wyprowadza, ale także buciki. Co? Parka się pokłóciła? Lewy się obraził i został w domu?

Jurek zatrzymał się i niechętnie spojrzał za siebie. Zbliżał się do niego siwy mężczyzna o twarzy tak okrągłej jak księżyc. Sąsiad z bloku naprzeciwko, niejaki pan Janusz Wawrzynowicz. Z niezrozumiałych przyczyn uznał on, że postać pana Drakulowskiego była wzorowana właśnie na nim. Przy każdej okazji nagabywał Jurka, czy powstaną kolejne książki na jego temat i że on sam nigdy by się nie spodziewał, że będzie dla kogoś inspiracją. Jurek też tego wcześniej nie wiedział. Ścisnął mocniej but pod pachą i przyciągnął do siebie psy.

– Nie, to tak przy okazji – odrzekł krótko. – Już wracamy, pogoda chyba się psuje...

– Ale co pan opowiada! – Wawrzynowicz zmarszczył brwi. – Lato jak ta lala! Trochę popadało, ale cały czas ciepło. A tak à propos. Co pan teraz pisze? Bo ja mam fantastyczną historię dla pana! Niech pan posłucha: grupa nieznających się wcześniej ludzi jedzie pociągiem, w którym dochodzi do morderstwa. Śledztwo prowadzi światowej klasy detektyw, który, zupełnie przez przypadek, podróżuje w tym samym przedziale co ofiara. Okazuje się, że nie można ustalić jednego sprawcy, bo każdy mógł zabić. Co pan na to?

– Już ktoś napisał taki kryminał, zresztą całkiem niezły – burknął Jurek i znów pociągnął psy, które jak na złość niezwykle skrupulatnie obwąchiwały jakiś krzaczek.

– Tak? Cholerka, to mam inną. – Sąsiad był niezrażony. – Mąż wraca do domu, zjada pomidorową, którą ugotowała i podała mu żona, a po chwili fik i już nie żyje. Sekcja zwłok nie daje jednoznacznej odpowiedzi, jak umarł, więc policja przyjmuje, że w sposób naturalny. Ale żonka wkrótce potem kupuje luksusowy jacht i dom z basenem. Wtedy okazuje się, że facet zaledwie miesiąc wcześniej odziedziczył spory spadek po ojcu. Zaczynają ją obserwować i okazuje się, że zadała się z pewnym farmaceutą, który dostarczył jej środek powodujący zawał serca, który neutralizuje się w organizmie po dwóch godzinach. Nie do wykrycia. Zdradza ich...

– Tę historię już nawet sfilmowano – przerwał mu Jurek i pociągnął smycze mocniej. – Doceniam pańskie starania, ale mam już pomysł na nową książkę.

– To też było? – zdziwił się Wawrzynowicz.

Jurek szarpnął smyczą suczki tak mocno, że zaryła pyszczkiem w trawnik, wydając z siebie przeciągłe buczenie. Synek natychmiast do niej podszedł i trącił ją delikatnie nosem. Sunia znów zabeczwała, ale trochę mniej płacząc.

– A to? – Sąsiad dreptał za Jurkiem, który już prawie biegł, wlokąc za sobą buczącego yorka i zdenerwowanego doga. – Dwóch facetów postanawia okraść bank. Jeden się w nim zatrudnia, żeby we właściwym momencie wpuścić współnika do środka. Ale przez pomyłkę biegnie i otwiera nie te drzwi, co trzeba, a kolega tymczasem stoi jak ten osioł po drugiej stronie budynku i zauważa go przejeżdżający patrol policji...

– Tak, tak, bardzo dobra historia, ale ja muszę już iść – przerwał mu Jurek, kiedy Wawrzynowicz usiłował wejść z nim na klatkę schodową. – Porozmawiamy przy okazji, to mi pan więcej opowie!

– Bo mam jeszcze jedną! Znany grafolog wydaje ekspertyzę, w której potwierdza autentyczność podpisanego przez kogoś dokumentu. Papier może tego gościa zaprowadzić na długie lata za kratki. Grafolog wie o tym i udaje mu się uniknąć pierwszego zamachu, ale w drugim ginie. Sprawca pojawia się w jego domu i kradnie prawdziwą ekspertyzę, podrzucając fałszywkę. Istnieje jednak jedna kopia, której specjalista nie trzymał w domu. Powierzył ją komuś na przechowanie. Ten ktoś też umiera, ale wcześniej udało mu się zabezpieczyć depozyt...

– Fascynujące. – Jurek się uśmiechnął i zatrzasnął Wawrzynowiczowi drzwi przed nosem. Gdy się obrócił, odetchnął głęboko.

– Bu poskarżyła się, że bardzo źle potraktowałeś ją na dworze – powiedziała na powitanie jego babcia. – Jak mogłeś? Ona jest jeszcze malutka!

– Jaka bu? – chciał wiedzieć Jurek, który wciąż widział przy sobie gadatliwego

sąsiada. – O kim ty mówisz?

– O niej. – Babcia pokazała palcem na suczkę, którą przytulał Synek. – Bu.

– Dlaczego bu? – zdziwił się Jurek.

– Bo ona tak się nazywa – odpowiedziała babcia. – Bu. To jest jej imię. Przecież stale je powtarza! Tylko niewyraźnie, bo trochę sepleni, mówiłam ci, żebyś zapisał ją do logopedy!

26 sierpnia, piątek

Pan Przemek znów postanowił zawrócić mi głowę. Tym razem nie wypytywał już o kolejne kandydatki na kandydatki, ale zaczął się chwalić swoim ponadprzeciętnym intelektem. Widocznie w podróży dookoła świata coś przestawiło mu się w głowie, podczas zmiany stref czasowych jakaś komórka w mózgu połączyła się w inny sposób, niż powinna. Wysłuchałam więc wykładu na temat wyższości intelektu nad emocjami.

– Intelekt rozwija się dzięki nieustannej stymulacji komórek nerwowych i połączeń znajdujących się w mózgu – podkreślił pan Przemek. – Rozwój emocjonalny człowieka jest więc nierozzerwalnie związany z jego rozwojem intelektualnym. Postęp, rozwój cywilizacyjny nie mógłby się opierać tylko na efektach medytacji, potrzebne było działanie, będące z kolei rezultatem procesów myślowych. Dlatego te wszystkie modły, mantry, reiki, medytacje i inne bzdury nie mają innego celu, jak tylko spowolnić działanie umysłu, czyli człowieka uwstecznic!

– W takim razie dlaczego nasze mózgi złożone są z dwóch półkul? – zaoponowałam.

– W dodatku prawie równych. Gdyby było tak, jak pan twierdzi, półkula odpowiedzialna za intelekt byłaby dużo większa!

– Emocjonalność to przejaw słabości. Człowiek przywiązujący nadmierną wagę do uczuć staje się mniej uważny, popełnia oczywiście błędy, stanowi łatwy łup dla wszelkiej maści oszustów i krętaczy, bo łatwo nim manipulować. Niech pani zwróci uwagę, jak łatwo przekonać kogoś do największej bzdury, jeśli uderzy się w uczucia! Widok małych cierpiących dzieci otwiera portfele z prędkością światła, nie wzbudzając przy tym żadnej refleksji, czy to dziecko naprawdę istnieje i czy istotnie dzieje mu się krzywda. Opowieści o zrujnowanej planecie, którą czeka zagłada, powodują, że ludzie inwestują w urządzenia, które w ogóle nie są im potrzebne, ale ktoś im wmówił, że tak będzie lepiej dla środowiska. Tymczasem nikt się nie zastanawia, że aby wyprodukować jedno urządzenie do pomiarów tych wszystkich katastrof, trzeba spalić tonę węgla! Dwie tony, żeby poinformować o zbliżającej się zagładzie globu!

– Mimo wszystko człowiek potrzebuje uczuć, żeby prawidłowo funkcjonować. – Zdziwiająca dla mnie było to, że mówiłam bez przekonania. W słowach pana Przemka było dużo racji, ale czy musiałam to analizować? Jaki mam wpływ na świat? Żaden. Żeby udzielić dobrej rady klientowi, także potrzebuję telefonu, komputera. Czy w dzisiejszych czasach można zarabiać, zakochiwać się i rozwijać bez nowoczesnych narzędzi? – Musimy coś odczuwać, w przeciwnym wypadku zamienimy się w roboty!

– Już nimi jesteśmy! – zarechotał pan Przemek. – Mechanicznie wykonujemy powierzone nam zadania. Korporacje przeżywają rozkwit, choć jeszcze sto lat temu ludzkość walczyła z obszarnikami i właścicielami dużych zakładów przemysłowych. Ogromnym osiągnięciem było zniesienie niewolnictwa. A czy teraz go nie ma? A może

tylko usiłujemy go nie widzieć, nazywając to stażem, praktyką, przyuczeniem, wolontariatem, pomocą... Doczepiając emocjonalną etykietkę, już możemy z tym żyć. „Chleba i igrzysk!” – mawiali Rzymianie. Co się od tego czasu zmieniło?

– Człowiek dysponuje emocjonalnością, którą powinien zarządzać, korzystając z doświadczeń intelektu! – przerwałam mu. – Rozum ma stanowić naturalną barierę przeciwko naruszeniu równowagi zarówno w stronę nadmiernej emocjonalności, jak i w stronę nadmiernego pragmatyzmu. Harmonię stanowi ideał, a nie przewaga jednego nad drugim! Przecież świadomy wybór oznacza jednocześnie świadomość konsekwencji. Jeśli wybierzemy kreację, bazując na negatywnych emocjach: gniewie, złości czy niezadowoleniu, skutki tego będą odmienne od wyboru kreacji opartej na miłości, radości, zadowoleniu i szacunku do innych.

– Bzdura! – wykrzyczał pan Przemek. – Wszystkim steruje umysł. Nie istnieje coś takiego jak siła wyższa, los, który decyduje za nas. Odpowiednie przeanalizowanie wszystkich składników danej sytuacji daje wynik w postaci takiego lub innego posunięcia. Jedno wypływa z drugiego, więc nie może być mowy o przypadku. Kto tego nie rozumie, musi się pogodzić z życiowymi porażkami, które uzasadnia wola bożą, karmą, pechem lub przeznaczeniem. Wszyscy są winni, tylko nie sam sprawca, którego jedynym grzechem jest brak wiedzy!

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, że on sam zdobywa tę wiedzę, chodząc po wrózkach, bo się rozłączył.

Gabriela posprzątała pralnię. Wydaje się to niemożliwe, ale nasza stara pralnia jest teraz tak sterylna, że można tu wykonywać operacje na otwartym sercu. Z jednej strony dobrze, bo gdzie ma być czysto, jak nie w pralni, ale z drugiej – obawiam się, czy jej obecność tutaj nie przyniesie nam więcej szkody niż pożytku. Dziś usłyszałam, jak oświadczyła klientowi, że nie przyjmie do prania jego garnitur, bo... jest za brudny!

27 sierpnia, sobota

Próby chóru parafialnego odbywają się na plebanii. W pięknym pokoju, w którym znajduje się pianino, siostra Joanicja zamierza szlifować w pocie czoła nieokrzesane głązy, czyli nas, nowo przybyłych. Dotychczasowy skład mocno się wykruszył z powodu wysokiej umieralności wśród seniorów, zanotowanej w ostatnim miesiącu.

Koncepcja sobotnich spotkań, podczas których każdy opowiada o swojej pracy, wyczerpała się. Nowych osób nie przybywa, a stali bywalcy wiedzą już o sobie wszystko.

Dziś siostra Joanicja zaproponowała, żebyśmy przećwiczyli utwór śpiewany podczas uroczystości na cześć Maryi. Podzieleni jesteśmy na trzy głosy: sopran, alty i basy. Każda grupa śpiewa inną linię melodyczną. Zanim mój ojciec pogodził się z tym, że siedząca obok niego kobieta, pani Bożena, śpiewa inaczej, przez dobry kwadrans zwracał jej uwagę, że fałszuje. Pani Bożena przesiadła się w końcu, a jej miejsce zajął pan Wacek, jej mąż. Wtedy ojciec stwierdził, że celowo i złośliwie chcą go zagłuszyć, i zaczął śpiewać coraz głośniej, aż zupełnie ochrypl. Z kolei pani Krysia z sopranów obraziła się, że basy są niedopasowane, i oświadczyła, że ona włączy się do śpiewu, gdy nikt już nie będzie fałszował. Ponieważ do końca próby to się nie udało, przesiadła

ją w milczeniu, mocno nadąsana.

Ksiądz proboszcz uczestniczy w próbach w charakterze obserwatora i zachęcany przez siostrę, by też trochę pośpiewał, kręci tylko przecząco głową i powtarza, że to nie dla niego. Z kolei ksiądz Rafał śpiewa z zapałem i pełnym gardłem i czasem trzeba mu przerywać, klepiąc go po ramieniu, bo kiedy śpiewa, zamyka oczy.

Pojawiło się więc sześć nowych osób, w tym: mój ojciec, pani Danusia, pan Wacek z żoną Bożeną, pani Kasia i ja. Teraz chór parafialny Ament liczy sobie dwunastu członków. Z dotychczasowych członków pozostali: pani Malwina, Jolka, pani Kryisia, Adam oraz Basia i Patrycja, które są rodzonymi siostrami.

– Jak dwunastu apostołów – zauważyła siostra Joanicja i złożyła nabożnie ręce. – Pan Bóg będzie nas wspierał.

– To nie możemy już nikogo więcej przyjąć – orzekł pan Wacek, zakwalifikowany jako trzeci głos. Jego żona, która dołączyła do sopranów, dodała: – Trzeba ogłosić, że już jest komplet.

– Ależ, proszę państwa! – zgorszyła się siostra. – Każdy jest mile widziany i każdy jest potrzebny!

– Tak jest – przytaknęła Jolka, sopranistka z najdłuższym stażem. – W tłumie wszystko ujdzie. Nawet jeśli ktoś będzie wydawał z siebie przeciągły skrzek.

Mój ojciec odniósł to do siebie i natychmiast się obraził. Oświadczył, że on nie musi wcale śpiewać. Pani Danusia starała się go udobruchać, tłumacząc, że Jolka mówiła o kimś innym.

Gdy siostra rozdała nuty, ktoś zażartował, że potrzeba wiedzy tajemnej, żeby to rozszyfrować, i wtedy wszyscy spojrzeli na mnie, nie wyłączając księdza.

– Znów wróżysz?! – szepnął głośno ojciec, a kiedy zaprzeczyłam, dodał: – W domu się policzymy!

– Proszę państwa – zaczęła siostra Joanicja. – Będziemy śpiewać. Niech każdy trzyma się swojej linijki w nutach, a wszystko pójdzie dobrze. Wiemy, co oznacza krzyżyk i kropka, prawda? To śpiewamy!

– Co oznacza krzyżyk i kropka? – wyszeptał tym razem pan Wacek. Pochylił się nad Basią, która zakryła swój arkusz, jakby to była praca zaliczeniowa.

– To jest akurat kasownik – wyjaśniła wyczerpująco Jolka. – Trzeba śpiewać z kasownikiem.

– O czym oni mówią, do licha? – zdenerwował się ojciec. – To jak my mamy śpiewać?

– Proszę nie przywoływać złego, bo wtedy nic nam nie wyjdzie – upomniał go ksiądz Rafał. – Przecież nie będziemy odprawiać egzorcyzmów nad chórem!

– To może rytuał na dobre śpiewanie? – stwierdziła pani Kasia i uśmiechnęła się do mnie.

Nic nie odpowiedziałam, bo siostra Joanicja klasnęła w dłoń.

– Proszę państwa, śpiewamy czołem, siedząc na stojąco, oczy wytrzeszczone i gardło do ziewania!

– No to nam wyjaśniła... – ocenił ojciec. – Teraz to już betka.

– Po prostu śpiewaj, jak umiesz – poradziła pani Danusia z uśmiechem.

Ament dał głos. Za ścianą odezwał się ptak księdza Rafała, który odpowiedział na

zew wyjących z rozpaczny mew. Siostra, uosobienie cierpliwości i spokoju, uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- A teraz z większym zaangażowaniem poproszę!
- Jeśli my się bardziej zaangażujemy, to ten ptak umrze na serce – ocenił pan Wacek.
- Takie wycie duchy może przywołać.
- To śpiewaj czołem, tak jak siostra kazała! – zwróciła mu uwagę żona.
- Zaśpiewajmy tak, jakby ktoś wyciągał z nas dźwięk, z samego czubka głowy, strzykawką – podpowiedziała zakonnica. – Wszystko miejcie przed sobą!
- Nic dziwnego, że śpiewacy kończą wieloletnie studia, to wcale nie jest takie proste.
- Pani Kasia pokręciła głową. – Ja umiem śpiewać tylko buzią. Jak się śpiewa czubkiem głowy?
- Dźwięk przed sobą, dzióbki do góry i... – wydała komendę siostra. To, co wydobyło się z naszych gardeł, było do niczego niepodobne. – Na dziś wystarczy – poddała się siostra Joanicja. – Będziemy ćwiczyć, aż w końcu się uda.

Ale mnie się to podobało. Wspólne śpiewanie jednoczy ludzi, budzi poczucie silnej przynależności do grupy, rozładowuje wewnętrznie, wyzwala endorfiny i pozwala zneutralizować stres. I jest to chór amatorów, kto by się więc przejmował, że zniekształcamy lekko linię melodyczną? Może tylko siostra Joanicja.

Tego samego dnia wieczorem, fragment maila do Roksany

Nie odzywasz się, więc zadecydowałam za Ciebie: od września wynajmę Twoje mieszkanie niejakiemu Adamowi Diabłowi. Nazwisko ma okropne, ale dobrze mu z oczu patrzy, płaci gotówką za trzy miesiące z góry i nic nie chce zmieniać. Podziękujesz mi, gdy wrócisz.

Gabriela tymczasem wysprzątała mieszkanie ojca. Nie ostał się nawet jeden zarazek. Pół bakterii. Osłonka po wirusie. Zastanawiam się, kiedy zaczną sprzątać nasze osiedle. Do pralni przychodzi coraz więcej klientów, bo Gabriela nie pozwala odebrać prania, na którym pozostała nawet minimalna plamka. Terminy się wydłużają, ale klienci są zadowoleni. Ojciec powtarza, że takiej pomocy było mu trzeba. Szkoda, że nie zaangażowali Gabrieli w zakładzie pogrzebowym – zanim nieboszczycy trafialiby prosto do nieba, przeszliby wcześniej tu, na ziemi, gruntowne oczyszczenie.

Pani Zosia zatelefonowała dziś do mnie z pytaniem, co dzieje się z panem Ryszardem. Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, bo przecież nic się nie dzieje. Albo może lepiej napisać, że nie wiemy, co się dzieje, bo trumna z ciałem zniknęła. Pan Pawełek zawiadomił policję. Przyjechał ten sam komisarz, z którym miałam poprzednio do czynienia, i z miejsca zapytał, czy to jest teraz taka nasza nowa rozrywka o zabarwieniu nekrofilicznym. Na koniec dodał zgryźliwie, że przecież znany w mieście psychiatra to mój dobry znajomy.

Obawiam się, że podejrzewa nas, iż celowo urządzamy te hece ze zwłokami, żeby dostarczyć inspiracji Jurkowi. W przyływie rozpaczny pomyślałam, że dam ogłoszenie, że szukam pana Ryszarda uwięzionego w zaświatach, względnie jego ciała, które się nieoczekiwanie zdematerializowało. Znów nie było czasu, żeby skupić się na firmie, choć zauważyłam kilka nieprzeczytanych wiadomości.

Poszłam więc na skróty, ale moje karty chyba zardzewiały. Udzieliły mi takiej

odpowiedzi, że nikt by nie zrozumiał: rozwiązanie jest pod ręką, wystarczy po nie sięgnąć!

1 września, czwartek

Do mieszkania Roksany wprowadził się nowy lokator: Adam Diabeł. Teraz mamy już komplet, była wróżkę, uduchowioną Gabriele, twórcę wampirzej rodziny i prawdziwego Diabła. Ojciec powiedział tylko tyle: „Tak to jest, gdy pozwala się córce studiować filozofię!”.

Adam Diabeł to mężczyzna dość przystojny i bardzo tajemniczy. Staralam się wy badać, czym się zajmuje, ale on tylko uśmiecha się w taki męski sposób. Zaintrygował mnie. Może to ten z protekcji pana Rysia, ten, o którym mówiła pani Zosia? Byłoby miło, gość akurat w moim guście. Niestety nie mam zbyt wielu okazji, by z nim rozmawiać. Wychodzi z mieszkania z samego rana i wraca dość późno. W weekendy w ogóle go nie widuję. No cóż, zobaczymy później, jak sytuacja się rozwinie.

Wracając do wiadomości, które czekały na mnie w skrzynce mailowej, zgłosiła się do mnie dziewczyna, która poszukuje mężczyzny do prac domowych. Skojarzyłam ją z pewnym panem „złotą rączką”, tak się przedstawiał. Potem się okazało, że on ma prawdziwą złotą rączkę, czyli protezę dłoni. Dziewczyna nie odbiera ode mnie telefonów ani nie odpowiada na maile, więc nie wiem, czy była zadowolona.

Mogę zanotować także sukcesy: skojarzyłam dwa owczarki niemieckie. Co prawda dwóch samców, ale właściciele są zadowoleni, bo psy bardzo się polubiły. Myślę, że właściciele również, więc sukces jest podwójny. Na koniec ktoś kupił olbrzymią roślinę od osoby, która chciała się jej pozbyć. Skomunikowałam ich z właścicielem furgonetki, który szukał kursu w godzinach popołudniowych w okolicach szpitala położniczego. Jego żona zaczęła rodzić, a szef nie zgodził się, żeby kierowca wziął dzień wolny. Napisali mi później, że gigantyczny fikus krążył wokół szpitala, wywołując zainteresowanie zarówno wśród pacjentów, jak i odwiedzających. Kilka osób zadeklarowało chęć kupna kwiatka i w ten sposób posypali mi się następni klienci. Gdy dziecko wreszcie przyszło na świat, szczęśliwy ojciec zupełnie zapomniał o roślinie, furgonetkę zaparkował pod domem i nowy właściciel musiał taszczyć fikusa do siebie na plecach. Na szczęście nie było to daleko.

Gabriela doprowadziła dziś do szału jedną z naszych stałych klientek. Uparła się, żeby kobieta poprawnie złożyła prześcieradła, zanim zostaną one przyjęte do prania!

2 września, piątek, kawiarnia Chwilowa Zaduma

Pani Zosia patrzyła podejrzliwie na wręczoną jej przed chwilą wizytówkę. Obracała w palcach biały kartonik z tłoczonymi na nim złotymi literami.

– Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w podobnym przedsięwzięciu – przyznała. – Zwykle przyjmuję klientów u siebie w domu, jest to bardziej komfortowe. A taki pokój hotelowy... sama nie wiem...

Mężczyzna, który wręczył jej wizytówkę, poprawił się na siedzeniu. Bardzo starał się ukryć zdenerwowanie i zniecierpliwienie. Spotkanie z panią Zosią trwało już dobre trzy kwadransy, a on śpieszył się do firmy. Ponadto przed kawiarnią, w której rozmawiali,

czekała na niego taksówka. Mężczyzna usiłował nie myśleć, że licznik bije przez cały czas oraz ile go to będzie kosztowało. Sięgnął po szklanę z wodą, wypił z niej duży łyk i uciekł się do ostatniego argumentu, który mu pozostał.

– Wróżka Proszula także się zastanawia – powiedział niedbale, jakby od niechcienia. W każdym razie bardzo mu zależało, by tak właśnie to zabrzmiało. – Ale ja wolałbym, żeby to była pani.

Podstęp się udał. Wahająca się wciąż pani Zosia nagle się wyprostowała, rumieniec zagościł na jej twarzy. Spojrzała wyniośle na siedzącego przed nią mężczyznę i powiedziała zdecydowanie:

– Zgadzam się, panie Archaniol. Proszę przesłać mi projekt umowy i dokładne informacje, gdzie i kiedy. Nie wypada, żeby tak zacne grono było narażone na podejrzane praktyki jakiejś oszustki! Mogłoby to się dla nich bardzo źle skończyć!

Mężczyzna odetchnął z ulgą i tym razem napił się, żeby ochłonać.

– Ma pan kłopoty z prostatą. Zamiast pić wodę, powinien pan zaparzyć sobie ziółek – poradziła mu na odchodnym pani Zosia. – Proszę się do mnie zgłosić, przygotujemy macierz wzvodu.

Tego dnia Michał Archaniol dotarł do biura w stanie lekkiego wstrząsu. Każdemu, kto pytał go, co się stało, mówił tylko:

– Nie pytajcie!

5 września, poniedziałek

Dziś postanowiłam, że przestanę dziwić się czemukolwiek. Właściwie poczyniłam to postanowienie już dawno, bo w drugim dniu nowego roku, ale trudno było mi w nim wytrwać. Za każdym razem, gdy obiecywałam sobie, że teraz już na pewno się nie zdziwię, choćby mojemu ojcu wyrosły zajęcze uszy, rzeczywistość przerastała moje oczekiwania tak dalece, że zdziwieniom nie było końca. Dlatego uroczyście ogłaszam, że od dziś nie będę się dziwić, i postaram się konsekwentnie tego trzymać tak długo, jak to możliwe, a przynajmniej do końca tygodnia.

Gdy tylko napisałam te słowa, zaterkotał telefon. Istne przekleństwo współczesności, urządzenie, które doskonale wie, kiedy się odezwać, żeby zepsuć komuś humor, przynieść złe wieści, wytrącić z równowagi niespodziewaną informacją lub przyprawić o zawał. Nie zmienia to jednak faktu, że naprawdę niewiele osób potrafi dziś się obyć bez telefonu komórkowego. Sądzę, że za kilka milionów lat ludzie będą się rodzić z komunikatorami stanowiącymi część ich anatomii.

– Kochana, czy możesz podjechać do mnie na chwilkę? – Usłyszałam miły głos pani Zosi. – Bardzo potrzebuję twojej rady, bo nie wiem, co zrobić. Przyjedź, proszę.

– Mojej? Pani?

Byłam zdziwiona. Pani Zosia była najlepszą wróżką i medium, o jakiej słyszałam. Potrafiła zobaczyć jednocześnie przeszłość i przyszłość, w dodatku w kilku wymiarach, i opisać to wszystko tak, że człowiek widział kolory, wachał zapachy i odczuwał ból. O swoich decyzjach mówiła zawsze, że podjęła je już w poprzednim wcieleniu, a teraz przyszedł czas na realizację, bo świat materialny złożony z atomów porusza się zbyt wolno. To ja zwykle zwracałam się do niej po radę, a gdy kończyłam zadawać pytanie, już było ono nieaktualne. Aura pani Zosi działała bowiem w taki sposób, że w jej

obecności myśli same spływały do głowy, ogarniały człowieka przyjemna błogość i spokój, a po wyjściu z jej mieszkania czuło się tak duży przypływ energii, że bez większego wysiłku można byłoby umyć Pałac Kultury szczotką ryżową. Od fundamentów po iglicę.

Wyszłam, tak jak stałam. Byłam bezbrzeżnie zdumiona tym, że pani Zosia oczekuje ode mnie pomocy w jakiejś sprawie. Przez ostatnie dni nie odzywała się, ja także, bo obawiałam się pytań w sprawie pana Ryszarda. Sprawa utknęła na razie w martwym punkcie. Policja ustaliła, że trumnę ukradziono niedługo po pogrzebie, około tygodnia temu, może dwóch, i tyle tylko wiedzieliśmy. Kto i po co to zrobił – to wciąż stanowiło zagadkę.

Dopiero w tramwaju zdałam sobie sprawę, że zapomniałam się normalnie ubrać. Dziś w pralni dyżurowała Gabriela; ja przez cały dzień siedziałam w domu przed komputerem w piżamie, na którą miałam zarzucony stary, ciepły szlafrok, z Bolusiem, moim wiernym ptasim przyjacielem, za pazuchą – udzielał mi co pewien czas wskazówek, skrzecząc lub skrzypiąc dzióbkiem.

Tramwaj nie był zatłoczony, mimo to zwracałam na siebie uwagę innych pasażerów. Udawałam, że nic mnie to nie obchodzi. Skoro tak lubię, to tak wyglądam. Jakieś nastolatki zrobiły mi zdjęcie telefonem. Włosy też zdaje się miałam upięte niezwykle elegancko – z czubka głowy wyrastał mi ogromny kok przypominający balon. Całe szczęście, że pani Zosia nie mieszkała daleko.

– Nie wiem, co robić, bo tam nie chodzi żaden autobus – zaczęła bez wstępów, gdy już do niej dotarłam. – Mam iść boso przez las czy jak? Bo iść powinnam, czeka mnie tam coś niezwykłego.

Usiadłam w fotelu przeznaczonym dla klientów. Był to niezwykle wygodny mebel, obity ciemnoniebieskim pluszem, który ustawiono pośrodku pokoju. Zawsze lubiałam w nim siadać, ale tym razem wystawa gromnic, która znajdowała się tuż za moimi plecami, trochę zbijała mnie z tropu.

– Dlaczego boso? – zapytałam głupio, usiłując dojrzeć kątem oka, czy włosy nie zapalą się od płomieni świec, gdy oprę się wygodnie. – To jest, chciałam powiedzieć, dlaczego przez las?

Pani Zosia wzięła do ręki odłożone na bok papiery i wręczyła mi je.

– Chciałam, żebyś mi doradziła, jak tam dojechać – wyjaśniła. – Bo to jest w lesie, a ja sprawdziłam w wizji, że tam nie dojeżdża żaden autobus.

– Coś się stało? – spytałam szybko, zadowolona, że nie poruszamy tematu pana Ryszarda. – Przez telefon wydawała się pani trochę zdenerwowana. O co chodzi z tym lasem?

Spojrzałam na papiery. Była to umowa na świadczenie usług ezoterycznych dla jakiejś firmy o wdzięcznej nazwie Michał Archanioł ezo. Wynikało z niej, że pani Zosia powinna stawić się jutro w hotelu Baba Jaga o godzinie dwudziestej pierwszej i pracować tam do północy. Adres hotelu nic mi nie mówił, ale domyśliłam się, że położony był za miastem, blisko lasu.

– Może należy wziąć taksówkę? – zapytałam.

Pani Zosia przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie mogę. Wizja pokazała, że taksówkarz, który by po mnie przyjechał,

oszukuje swoich klientów, bo ma przekreślony licznik. Zapłaciłabym za ten kurs jak za zboże!

– A dlaczego chciała pani iść boso? – Przypomniałam sobie nagle.

– Dziś wieczorem zacznie padać i będzie tak padać aż do piątku – wyjaśniła pani Zosia. – W tym lesie ścieżki nie są utwardzane, a najkrótsza droga do miasta wiedzie przez nieduże bagienko. Buty mi wciągnie i w rezultacie dotrę do domu boso.

– O rany! Dziś ma padać, a ja w szlafroku! – Poderwałam się.

Ostatecznie stanęło na tym, że poproszę o pomoc Jurka. Jeśli się zgodzi, zawiezie panią Zosię na miejsce, a potem przyjedzie po nią o umówionej godzinie. Gdy główny problem został rozwiązany, pani Zosia zrobiła kilka wizji dotyczących mnie samej. To, co zobaczyła, było tak niezwykle, że przestałam się dziwić. Po prostu zabrakło mi skali.

7 września, środa, hotel Baba Jaga

Pani Zosia stawiała się o umówionej godzinie w recepcji hotelu, odebrała klucz do pokoju numer sześć, po czym udała się na miejsce. Gdy szła korytarzem, światło w dwóch kinkietach zamigotało nagle, przygasło, a następnie zajaśniało mocniej niż poprzednio. Pani Zosia popatrzyła na lampy, zmarszczyła brwi, a wtedy wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Osoby idące korytarzem naprzeciw niej zwolniły, poczekały, aż pani Zosia zniknie w mroku pokoju hotelowego, i zaraz potem pomknęły do schodów.

Pani Zosia rozstawiła na stoliku świece i miseczki z wodą, zapaliła mirrę, którą okadziła całe wnętrze, wyłączyła telefon komórkowy, usiadła na położonej na podłodze poduszce i zamknęła oczy. Zgodnie z umową klienci powinni się pojawić od dwudziestej pierwszej, zatem pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Wystarczająco dużo czasu, żeby pomedytować, wyciszyć się, skoncentrować, połączyć z boską energią kosmosu. Trwanie przez dłuższy czas w jednej pozycji powoduje drętwienie kończyn. Nawet u kogoś tak świadomego własnego ciała jak pani Zosia. Otworzyła więc jedno oko, wyprostowała prawą nogę, potem lewą, otworzyła drugie oko i przyjrzała się świecom. Wypaliły się już prawie do połowy. Pani Zosia posiedziała przez chwilę w bezruchu, trochę pomyślała, a następnie sięgnęła po wyłączony telefon. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Pani Zosia położyła komórkę na komódce i utykając nieco, ponieważ jedna noga nie wyszła jeszcze z odrętwienia, skierowała się do wyjścia. Nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi, ale na korytarzu nikogo nie było. „Dziwne – pomyślała pani Zosia. – Ale co ma być, to będzie, poczekam”.

Zamknęła drzwi, odwróciła się i spojrzała na komódkę, na której położyła telefon, ale urządzenia tam nie było. Świece zamigotały niespokojnie. Pani Zosia zamyśliła się na chwilę. Kucnęła i zajrzała pod komódkę, za komódkę, pod łóżko, pod stolik, na którym stały świece, nawet go odsunęła. Telefon zniknął jak kamfora. „Karmiczna lekcja pokory – pomyślała pani Zosia. – Przekaz, by uwolnić się od ziemskich przyzwyczajęń. Dobrze. Godzinę sprawdzę w recepcji, widziałam tam zegar”.

Kobieta zgasła świece, wzięła torebkę, klucz do pokoju i wyszła. Na korytarzu było zupełnie ciemno, nie manewrowała więc kluczem w zamku, tylko zatrzasnęła drzwi i od razu skierowała się w stronę schodów. Nie znalazła ich jednak. Na końcu

korytarza, za rogiem, zamiast schodów pojawiła się ściana z oknem. Pani Zosia zatrzymała się, popatrzyła przez okno, za którym widniała tylko czerń lasu, zawróciła i znów stanęła przed pokojem numer sześć. Wzięła głęboki wdech, po czym ruszyła w przeciwną stronę. Ten odcinek korytarza był widoczny z daleka, nie załamywał się, więc pani Zosia, zgodnie z przewidywaniami, dotarła do następnej ściany.

– Rozumiem – powiedziała na głos pani Zosia. – Wrócę więc do pokoju, widocznie mój czas jeszcze nie upłynął.

Gdy otworzyła drzwi pokoju numer sześć, cztery osoby znajdujące się w środku, trzy kobiety i mężczyzna, w tej samej chwili odwróciły głowy i spojrzały na nią.

– Pani wróżka? My do pani – powiedziała jedna z kobiet. – Czekamy już od ponad pół godziny! Gdzie się pani podziewała?

Tłum gęstniał z minuty na minutę. Nieduży pokój hotelowy wypełniał się chętnymi do poznania swojej przyszłości, a pani Zosia, sama z obłędem w oczach, prawie mechanicznie odpowiadała na kolejne pytania:

– Pani wróżko, a co on w tej chwili o mnie pomyślał?

– Przypomniał sobie, że ma pani ładne włosy.

– I co jeszcze?

– I ładne zęby.

– Pani wróżko, a kiedy zajdę w ciążę?

– W styczniu.

– A dlaczego nie w grudniu?

– Bo w grudniu wyskoczy pani opryszczka na twarzy i żaden mężczyzna nie będzie chciał się do pani zbliżyć.

– A na ile procent wiadomo, że zajdę w ciążę?

– Na pięćdziesiąt.

– Pani wróżko, a czy widzi pani, jakie jest moje wnętrze? Jakie ono jest?

– Wątroba trochę nadpsuta, jelita poskręcane, płuca czarne od sadzy, ale ma pani ładny wyrostek robaczkowy.

– Pani wróżko, a czy Krzysztof jeszcze się do mnie uśmiechnie?

– Tak, za jakieś trzy miesiące, gdy wstawią mu nowe zęby.

– Pani wróżko, a poznam kogoś interesującego w sylwestra?

– Tak, niskiego blondyna z włosami na żel.

Pani Zosia nie rozróżniała już, kto zadaje kolejne pytanie, kobieta czy mężczyzna, brunetka czy blondynka. Gdy jakiś zegar w oddali wybił północ, zerwała się na równe nogi i donośnym głosem oświadczyła zebrany:

– Koniec! Fajrant. Na dziś wróżenie już zakończone!

Jej słowa wywołały istną lawinę pretensji, próśb i gróźb. Wyglądało na to, że pani Zosia pozostanie w hotelu Baba Jaga na zawsze. A przynajmniej na długo. Co najmniej do rana. Myśl, że przed hotelem na pewno czeka już na nią Jurek, z którym umówiła się poprzedniego dnia, podziałała dopingująco.

Pani Zosia, głucha na sprzeciwy zebranych, szybko chwyciła torebkę, machnęła ręką na dopalające się ogryzki świec i ruszyła stanowczym krokiem do wyjścia. Niezadowolony tłum podążył za nią. Kiedy przedarła się do drzwi, okazało się, że nie można ich otworzyć, bo na korytarzu czekają kolejni chętni, którzy stłoczyli się akurat

przy samej futrynie. Na chwilę skrzydło uchyliło się i wtedy ci z zewnątrz podjęli próbę wdarcia się do pokoju. Bodaj głowę tam wsadzić. Jednemu się udało i omal nie przypłacił tego życiem, bo drzwi gwałtownie się zatrzasnęły i delikwent w ostatniej chwili uniknął gilotyny. Pani Zosia poczuła nagły przypływ paniki, a jak wiadomo, panika dodaje człowiekowi sił i energii. Zamachnęła się mocno torbą – pani Zosia, nie energia – i wydobywając z siebie przeciągły wizg, ruszyła na drzwi. W danej chwili zupełnie nie przejmowała się faktem, że przecież otwierają się one do środka. Uderzyła w skrzydło z taką siłą, że całość łącznie z futryną opadła na czekających w korytarzu ludzi. Pani Zosia szybko się podniosła i pobiegła świńskim truchtem przed siebie, nie zastanawiając się nawet, dlaczego w miejscu, gdzie jeszcze dwie godziny temu była ściana, teraz znajdują się szerokie schody.

Zziajana, rozczochrana i okropnie czerwona na twarzy dopadła recepcji.

– Już pani skończyła? – Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej. – Szef, czyli pan Archanioł, zostawił kopertę z wynagrodzeniem. Proszę uprzejmie. Starał się rozreklamować panią wśród naszych gości, mam nadzieję, że przyszło kilka osób.

Pani Zosia zgmiotła kopertę w dłoń, bezmyślnie wetknęła ją do torby, przy okazji zarejestrowała fakt, że tkwi w niej telefon komórkowy, kiwnęła głową i natychmiast ruszyła w stronę wyjścia. Na schodach dał się bowiem słyszeć gwar zbliżającego się tłumu.

Jedyne wyjście z hotelu zostało wyposażone w eleganckie drzwi obrotowe. Pani Zosia wpadła w nie niczym tornado i wykonała kilka szybkich obrotów, kiedy nagle drzwi się zatrzymały. Nieszczęsna kobieta utknęła w połowie drogi, ponieważ w tym samym momencie do środka usiłował się dostać jakiś mężczyzna. On pchał do przodu, bo chciał wejść, a pani Zosia szarpała do siebie, bo zaplątała jej się torba. To wszystko nie trwało zbyt długo, ale jednak wystarczająco, żeby pojedyncze osoby z rozczarowanego tłumu zdążyły pojawić się w recepcji.

– Tam jest! – krzyknął ktoś. – Tam jest wróżka! Ucieka!

– To pani? Pani jest tą wróżką? – zainteresował się natychmiast mężczyzna, który blokował drzwi. – Z nieba mi pani spada! Umówimy się jakoś?

– Niech to wszyscy diabli! – wyszczała na to pani Zosia, bo torba zakleszczyła się jej na dobre. W tym momencie mężczyzna pchnął je mocniej, co uwolniło torbę pani Zosi i ją samą ze szklanej pułapki. Kiedy kobieta stanęła przed przeklętym hotelem, odetchnęła z ulgą. Coś jednak powstrzymywało ją od natychmiastowego udania się na parking i polecenia Jurkowi, by odjeżdżał stąd jak najprędzej. Odwróciła się i tuż za plecami zobaczyła owego mężczyznę. Był to wysoki brunet z oczami czarnymi jak dwa węgle.

– Cóż za wspaniały zbieg okoliczności! – rzekł i uśmiechnął się szeroko. – Pani pracuje dla pana Archanioła? To fantastycznie, doskonale się z nim znamy. Proszę pozwolić, że się przedstawię: Diabeł. Adam Diabeł. Do usług!

8 września, czwartek

Zauważyłam, że Jurek interesuje się Gabriellą. Nagle zaczął się pojawiać w pralni, tak często, jakby to było jedyne miejsce na ziemi, zainteresował się naszą pracą, o którą wypytuje raczej ją, a nie mnie czy ojca. Wykręcił się, że pisze kolejną książkę, której

akcja rozgrywa się w pralni, a główną bohaterką jest jej właścicielka. Do czego więc potrzebna mu Gabriela? Nie zaprzeczę: jest ładna i bardzo atrakcyjna, ale to jeszcze nie powód, żeby snuć takie idiotyczne intrygi! Jurek i Gabriela, też coś!

Lokator mieszkania Roksany zaatakował mnie dziś żądaniem pokrycia czarną wykładziną całego mieszkania. Zapytał też, czy ściany można wyłożyć czarnym sukrem. Tłumaczył, że jasny kolor ścian sprawia, że w lokalu jest za gorąco. On sam stale chodzi ubrany na czarno. Zawsze wydawało mi się, że czarny absorbuje światło i przez to czyni otoczenie cieplejszym, ale może pan Diabeł ma rację. Odpowiedziałam, że wykładzinę i sukno może położyć, ale w taki sposób, żeby można je było szybko i w miarę łatwo usunąć, gdyby Roksana wróciła. Bąknął coś o kosztorysie i na tym stanęło.

Do mojej firmy zgłosił się pewien mężczyzna z nietypowym żądaniem: szuka mianowicie prawego buta męskiego określonego koloru i rozmiaru. Odpowiedziałam mu, że się pomylił, bo ja kojarzę ludzi, a nie przedmioty, a on na to, że dwa takie same buty to para, więc wszystko się zgadza. Najśmieszniejsze jest to, że mogłabym z łatwością wykonać to zlecenie, bo dokładnie taki sam but znajduje się w mieszkaniu Jurka i stanowi amulet Bu. Coś jednak mnie powstrzymało i nie chodzi tylko o suczkę, której sprawiłabym przykrość. Sama nie wiem, o co chodzi, ale historia buta ma jakieś drugie dno. Czuję to.

Wieczorem, fragment maila do Roksany

Nie przestanę się dziwić, że jednak pojechałaś. W każdym razie odezwij się wreszcie, bo wszyscy się o Ciebie niepokoiimy.

Kilka dni temu chciałam poprosić panią Zosię, żeby w wywołanej wizji zobaczyła, co się z Tobą dzieje. Ale ona przeżywa teraz dziwny czas. Jest to, jak określiła, „stan zawieszenia między poziomami energetycznymi”. Dobijają się do niej na zmianę Archanioł i Diabeł. Wyobraź sobie, że panowie Michał Archanioł i Adam Diabeł prowadzą wspólnie firmę organizującą różne imprezy okolicznościowe. Pan Archanioł reprezentuje w niej branżę rozrywkową, czyli wesela, zabawy noworoczne, spotkania rodzinne, imprezy integracyjne i tym podobne. To człowiek niezwykle spokojny, nieco wycofany. Raczej małomówny. Pan Diabeł z kolei zapewnia oprawę wydarzeniom smutnym albo refleksyjnym: pogrzebom, stypom, odczytom, wieczorkom literackim, klubom dyskusyjnym. Ten z kolei to dusza towarzystwa, wesoły, energiczny i zabawny. Obaj zainteresowali się panią Zosią ze względu na jej rzadki dar jasnowidzenia i kontaktowania się z mocami pozaziemskimi. Ona sama dostrzega w tym szansę na doskonalenie się w poszukiwaniu wewnętrznej harmonii i dystansu do świata materialnego, cokolwiek to oznacza. W każdym razie od tej części świata materialnego, która definiuje się jako konkretne finansowe wynagrodzenie, zupełnie się nie dystansuje.

Może jednak odrobina treningu przyda się naszej kochanej pani Zosi. Jurek powiedział mi, że gdy pojechał po nią do hotelu, w którym pracowała jako wróżka, wypadła ze środka niczym pocisk i przez dłuższą chwilę nie mówiła o niczym innym, tylko o diabłach i aniołach, które ją tam napadły. Bał się, że zwariowała. Następnego dnia poprosił dyskretnie Jacka, żeby przyjrzał się przy najbliższej sposobności pani Zosi

i jako psychiatra ocenił, czy jest aż tak źle.

Z tej okazji zorganizowałam małe przyjęcie. Zaprosiłam na nie panią Zosię, Jacka, Jurka, Gabriele, pana Diabła oraz panią Danusię i mojego ojca. Pani Danusia wymówiła się koniecznością przygotowania pogrzebu dla jednego klienta, który niedługo przed śmiercią zarzekał się, że umrze dopiero na wiosnę. Jego żona wyzaliła się, że jej mąż zawsze był niecierpliwy. A ojciec nie przyszedł, bo uznał, że nie będzie nic dobrego do jedzenia. Tymczasem babcia Jurka przygotowała wyśmienitą sałatkę z różnych składników. Przypuszczam, że wrzucała do salaterki, co tylko wpadło jej pod rękę, ale całość smakowała wręcz nieziemsko.

Przyjęcie zakończyło się kłapą towarzyską, bo Jurek i Diabeł ruszyli jednocześnie w konkury do Gabrieli, prześcigając się w proponowaniu jej poczęstunku. Dziewczyna konsekwentnie odmawiała, prawdopodobnie, żeby ich nie urazić, i w rezultacie nie wzięła niczego do ust. Jacek wpadł jak po ogień, bo wieczorem był umówiony na jakąś prywatną konsultację. Tak się śpieszył, że zrzucił ze stołu talerzyk z herbatnikami. To natychmiast uruchomiło Gabriele, która zaczęła sprzątać, żeby nie doszło do inwazji zarazków na naszą planetę. Wówczas Jacek też spojrzał na nią z zainteresowaniem, pożałowałam więc, że nie nabawiłam się żadnych fobii.

A pani Zosia uciekła, gdy tylko zobaczyła pana Diabła. Nie mogłam jej wytłumaczyć, że Diabeł to jego nazwisko, a nie profesja. Zasłaniała się rękami jak przed zarazą i powtarzała w kółko, że to wysłannik piekieł. Ale byłaby heca, gdyby okazało się, że on na przykład urodził się w takiej miejscowości.

Kończę w nadziei, że wkrótce napiszesz, jak Ci się tam wiedzie, wśród strusi i kangurów.

9 września, piątek

Ten facet od buta zarzuca mnie wiadomościami. Zaczynam się go trochę bać, bo w żaden sposób nie daje sobie wytłumaczyć, że nie podejmę się tego zlecenia. Naprawdę, czego to ludzie nie wymyślą! Znajdź mu but do pary! Dlaczego po prostu nie pójdzie do sklepu i nie kupi sobie pary trzewików, z których jeden wyrzuci. Właściwie to sama mogłam na to wpaść. Problem w tym, że nie wiem dokładnie, jak ten but wygląda, znam tylko rozmiar i kolor. Nie zamierzam inwestować w męskie obuwie, które potem okaże się nietrafione. Choć z drugiej strony, może ten wariat dzięki temu się odczepi.

Pan Przemek uraczył mnie dziś SMS-em następującej treści: „Dokonuję pogrzebu złudzeń i starego życia. Świadomie i z determinacją. Człowiek został stworzony po to, żeby przetwarzać materię, a nie stawać się nią”. Czy ktoś zrozumie tego człowieka?

W domu pogrzebowym lekkie spięcie: starsza pani, która w środę pojawiła się, żeby zamówić dla siebie pogrzeb, dziś rano oświadczyła, że nie będzie umierać w tym samym czasie co jej znenawidzona sąsiadka. Musi odczekać przynajmniej do wiosny. Sądzę, że ojciec długo tam nie wytrzyma i wróci za ladę pralniczą. Wtedy przeżyje kolejny wstrząs, gdy zobaczy poukładane równiutko klipsy do bielizny, posegregowane wedle kolorów i kształtów.

10 września, sobota

Próby chóru parafialnego Ament weszły w nasz stały rozkład tygodnia. Każde sobotnie popołudnie planujemy tak, żeby pojawić się na plebanii i rozruszać gardło. Prawie wszystkich pamiętam już z imienia. Pan Wacek z panią Bożeną zawsze siadają pod oknem, ona z przodu, on trochę z tyłu. Mój ojciec i pani Danusia również siedzą obok siebie, bo obok ojca nikt nie chce usiąść. Pani Kasia siada dopiero wówczas, gdy pozostali członkowie chóru zajmą miejsca, bo ona musi być tuż przy siostrze Joanicji, jak prymas w pierwszej ławce.

Jolka zwykle wpada spóźniona, choć mieszka najbliżej z nas wszystkich. Pan Adam prawie się nie odzywa, zabiera głos tylko, kiedy śpiewa, a siostry Patrycja i Basia omawiają szeptem całą masę spraw, jak gdyby dopiero na próbach miały okazję się spotkać. Tymczasem pracują w tym samym biurze, jako księgowo. Biurko w biurko. Może tam obowiązuje nakaz milczenia?

Pani Krysia mówi bardzo cicho i gdy mówi, to nikt jej nie słyszy. Dlatego zawsze siedzi lekko naburmuszona, bo uważa, że specjalnie ją lekceważymy. Jolka natomiast to prawdziwy żywioł. Śpiewa z zaangażowaniem, prezentuje ogromną ekspresję i temperament. Na próby przynosi zawsze coś słodkiego. Pani Danusia uznała to za aluzję pod własnym adresem i teraz przed śpiewaniem, po nim i w trakcie przeżuwanie różne słodkości, przez co nasza interpretacja niektórych utworów bywa zaskakująca. Ksiądz Rafał pojawia się na próbach dość często, a gdy śpiewa, pozostali muszą krzyknąć, żeby się usłyszeć. Pani Malwina zaczyna śpiewać, kiedy pozostali już skończą, i zawsze się dopytuje, dlaczego tak się śpieszymy.

No cóż, do wspólnego występu podczas mszy pozostało jeszcze trochę czasu, a siostra Joanicja to człowiek ogromnej wiary. Gigantycznej, jeśli obiektywnie oceniać nasze możliwości wokalne.

11 września, niedziela

Niedobrze się robi. Jurek włóczył się dziś z psami po osiedlu prawie pół dnia, bo Gabriela postanowiła posprzątać okolicę. Chodziła i zbierała śmieci. Inicjatywa godna pochwały, tylko skąd nagle u Jurka takie zamiłowanie do porządku i czystości? Synek po powrocie z kilkugodzinnego spaceru po prostu padł, a Bu wydała z siebie tylko przeciągłe buczenie. Kiedy wieczorem mój przyjaciel gwizdnął na psy, te ze skowytem schowały się pod stół. Synek nie zmieścił się w całości, więc jego spory zadek wystawał na zewnątrz. Bu z wrażenia zapomniała o swoim bucie, którego nieustannie pilnuje. Swoją drogą, ciekawe, jak Jurek wyjaśnił Gabrieli konieczność spacerowania z trzewikiem pod pachą?

13 września, wtorek

Janusz Wawrzynowicz siedział na korytarzu. Był niezwykle podekscytowany. Wszystkie informacje, które uzyskał podczas ostatnich sesji, sprawdziły się co do joty. Nawet usługi i rytuały, za które zapłacił, przyniosły efekt natychmiastowy, z czego mężczyzna był niezwykle kontent. Dlatego tym razem postanowił zainwestować więcej i umówił się na nietypowy rytuał. Zabieg wskrzeszania umarłego. Rozrywka kosztowała niemało, ale przecież nie płacił za zwykłe machanie wahadełkiem.

W gabinecie maga przebywał obecnie inny klient, więc Wawrzynowicz czekał.

Czekał niecierpliwie. Nagle duże dębowe drzwi prowadzące do gabinetu otworzyły się i stanął w nich mag. Trzymał pod ramię bardzo bladego mężczyznę, który chwiało się lekko. Mag popchnął go przed sobą i powiedział:

– Proszę przyjść pojutrze, dziś nic więcej nie wskóram.

Mężczyzna pokiwał w milczeniu głową, a następnie wyszedł. Wawrzynowicz przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nie śmiał zapytać, z jakiej usługi skorzystał ten klient, ale mag umiał przecież czytać w myślach.

– Potężna klątwa pokoleniowa – powiedział jakby od niechcienia, a Wawrzynowicz natychmiast nadstawił uszu. – Dobrze! Jak dotąd do średniowiecza, jeszcze długa droga przed nim. Ale tak to już jest, jak dusza się zaniedba, powstają zaległości i potem nie da się, ot tak, wszystkiego pousuwać. Zapraszam. Pan na wskrzeszenie?

– Ja? Tak! Ale nie własne, rzecz jasna! – odpowiedział Janusz i nerwowo potarł palcem po nosie. – Miałem takiego jednego sąsiada, krąży plotki, że nie umarł do końca, i chciałbym wiedzieć...

Mag odwrócił się i nieśpiesznie wszedł do gabinetu. Był to dość duży pokój, zaciemniony, oświetlony jedynie kilkoma świecami. Wawrzynowicz, który był tu już wcześniej, wszedł za gospodarzem i zamknął za sobą drzwi, przez co w środku zrobiło się jeszcze ciemniej. Usiadł na krześle ustawionym na niewielkim podwyższeniu, które znajdowało się dokładnie naprzeciwko wielkiego fotela, na który opadł mag.

Janusz Wawrzynowicz czekał w napięciu. Wiedział, że mag koncentruje się przed seansem. Chwila ciszy się przedłużała. Nagle świece lekko zamigotały. Mag wyprostował się i spojrzał przenikliwie na swojego klienta.

– Zaczynamy. Co chcesz wiedzieć, bracie?

– Chcę przywołać do życia mojego sąsiada, tego, który był grafologiem – zaczął Wawrzynowicz. – Tego, którego w lipcu zabili.

– Chcesz go wskrzesić? – zapytał mag. Jego głos brzmiał inaczej niż przedtem, był niższy i jeszcze bardziej przenikliwy.

– Tak, niech wstanie z grobu – wykrztusił Wawrzynowicz.

Mag zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersi i zaczął deklamować jakieś zaklęcia w niezrozumiałym dla Janusza języku. Mówił coraz szybciej i coraz głośniejszym głosem. Nagle zamilkł. Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, po czym otworzył oczy i powiedział:

– Proces się rozpoczął. Siły ciemności rozpoczęły swoją wędrówkę, a anioł śmierci zgodził się na powrót tego umarłego. Ureguluj opłatę, bracie.

Mężczyzna poczuł się zawiedziony. Oczekiwał, że zmarły stanie obok niego i że on, Janusz Wawrzynowicz, wyprowadzi go na ulicę, a później wkroczy wraz z nim na ścieżkę sławy i chwały. Wszystkie polskie i zagraniczne media będą wymieniać jego nazwisko na pierwszych stronach, w pierwszych wiadomościach. Będą zapraszać go do radia i telewizji w charakterze eksperta, płacić mu bajorne sumy w zamian za opowieść, w jaki sposób tego dokonał. W końcu materiał ze zwykłego grzebania się w grobie pokazywali przez cały tydzień. A tu chała, nieboszczyka ani widu, ani słyhu, ani żywego, ani umarłego.

– Chwileczkę. – Wawrzynowicz pochylił się w stronę zamyślnego Maga. – Przecież nikogo tu nie ma! Gdzie ten wskrzeszony umarłak?

– Nie widzę zapłaty – odparł wolno Mag. – Na stoliku powinny leżeć banknoty.

Zapłać, bracie.

– Nie zapłacę, bo składam reklamację – obruszył się Wawrzynowicz i powtórzył: – Gdzie ten wskrzeszony?!

Mag poderwał się ze swojego fotela, aż peleryna zatrzepotała, a świece zgasły. W ciemności dał się słyszeć jego przerażający szept:

– Szukają go, ale znajdą ciebie, jeśli nie zapłacisz.

Janusz sięgnął szybko do kieszeni marynarki, wydobył z niej papierowy plik i upuścił go przed sobą, nie mogąc dojrzeć stolika. Ponieważ Mag nic więcej już nie powiedział, Wawrzynowicz wstał i z wyciągniętymi przed siebie rękami ruszył do wyjścia. Natrafił na ścianę, ciężką kotarę, wreszcie domacał się klamki.

– To jest toaleta. – Usłyszał gdzieś za sobą. – Kieruj się bardziej na prawo!

– Przepraszam – odparł odruchowo. Wymacał kolejną klamkę, nacisnął ją, niewielki pasek światła, który pojawił się w szczelinie między futryną a drzwiami, dodał mu odwagi, Janusz odwrócił się więc i zapytał szybko:

– A mogę o coś zapytać? W ramach tej zapłaty?

– Pytaj!

– Znajdzie się ten dokument, który grafolog ukrył?

– Tak. – Otrzymał po chwili odpowiedź. – Znajdzie się, jest niedaleko. W zasięgu ręki.

14 września, środa

Policja nadal nie rozwiązała zagadki zaginionego ciała pana Ryszarda, ale pani Zosia zdaje się zupełnie tym nie przejmować. No cóż, i tak pozostaje nam spokojnie poczekać na rozwój wypadków.

Jurek zauroczony jest Gabrielą do tego stopnia, że umył wszystkie parapety zewnętrzne przynależne do mieszkania mojego ojca. Gdy dziś przyszedłem, żeby posiedzieć z jego babcią, zauważyłam, że rondle w kuchni zostały poszeregowane od najmniejszego do największego i stoją zwrócone wszystkie w jednym kierunku. Stwierdził, że zrobił to odruchowo.

Sama Pani Gabriela Doskonała wprowadziła trochę „innowacji” w pralni. Między innymi zmusza klientów do segregowania rzeczy wedle kolorów i faktury materiału. Ponadto jeśli ktoś poda jej kwit, który jest choć trochę zagięty lub też – nie daj Boże! – pobrudzony, to ona odmawia wydania prania! Jednak najbardziej niezwykle jest to, że wcale nie ubyło z tego powodu chętnych, przeciwnie – pralnia nigdy tak dobrze nie zarabiała. Usłyszałam w warzywniaku, że ludzie polecają sobie nasz zakład, ponieważ pozostawione w nim ubrania nie tylko wracają do nich sterylne czyste, ale także idealnie złożone i posegregowane. Gdy Roksana wróci, będzie musiała pójść na specjalny kurs, a może nawet na dwa. Szkolenie dla idealnej pani z pralni.

W gruncie rzeczy nie dziwię się Jurkowi, Gabriela jest bardzo ładna. Pan Diabeł zerka na nią z rosnącym zainteresowaniem. Przyjęcie zakończyło się kłapą towarzyską, bo Jurek i Diabeł ruszyli jednocześnie w konkury do Gabrieli, prześcigając się w proponowaniu jej poczęstunku.

A ja przyglądałam się nowemu lokatorowi, który jest tak tajemniczy, że już bardziej być nie może. Zauważyłam, że codziennie wygląda tak samo – czarna koszula, czarne

spodnie i czarna marynarka do czarnych butów. Moja zmarła suczka Kora zakochałaby się w nim bez pamięci. Natomiast Synek go nie cierpi. Jest to zjawisko zupełnie dla nas nowe i niezwykle, bo Synek lubi każdego. To pies obdarzony niewyczerpanymi pokładami miłości do świata, gotów nawet najmniejszą istotkę przytulić do swojej obślinionej mordki. Jego reakcja na pana Diabła mnie zszokowała. Synek dostał jakiegoś ataku na jego widok, prawie oszalał, piana poszła mu z pyska. Ostatni raz widziałam go w takim stanie, gdy stanął w mojej obronie. Ale wówczas była ku temu przyczyna: napadł mnie jakiś facet, więc Synek zachował się prawidłowo. Rzucił się na napastnika i powalił go na ziemię, gdy tamten usiłował mnie porwać. Nie chcę wspominać tego wydarzenia. Do końca życia będę drzeć na widok łysiejących facetów. Dlaczego ten tajemniczy, a zarazem bardzo interesujący gość nie przypadł Synkowi do gustu? Nie rozumiem...

15 września, czwartek

Pan Przemek przyjrzał się krytycznie pani Zosi, która w zamyśleniu obracała w rękę zielono-fioletową kulę. Była to już kolejna wizyta, która miała doprowadzić do całkowitego oczyszczenia go z blokad i klątw, które stały na przeszkodzie do osiągnięcia pełnego sukcesu zawodowego i osobistego. Pan Przemek, choć na zewnątrz prezentował skrajny sceptycyzm, w głębi duszy wierzył, że istnieje jakaś bliżej niezidentyfikowana siła, która odpowiednio uaktywniona pomoże mu przenosić góry. Odrzucał wszelkie teorie, że czynią to anioły, bóstwa opiekuńcze, duchy zmarłych i inne mary. Uważał, że świat składa się z atomów, które odnajdują sobie podobne, by stworzyć z nimi parę. Kolejne pary łączą się, a powstała w ten sposób materia kreuje rzeczywistość. Zatem w pełni uzasadnione jest twierdzenie, że wszyscy samodzielnie pracują na swój los. Należało jednak ustalić metodę, wypracować schemat, wyznaczyć trasę, by dojść do celu szybko i skutecznie.

Pani Zosia posiadała moc ściągania energii kosmosu. Umiała wywoływać wizje i czytała w myślach. Także tych osób, które znajdowały się daleko. Poruszała się swobodnie wśród czasoprzestrzeni, stanowiła więc idealną przewodniczkę na drodze do poznania tajemnicy wiecznego szczęścia. Szkopuł leżał w tym, że szczęście wędrowało określną drogą i odnalezienie go wciąż napotykało jakieś przeszkody. Właśnie się okazało, że pan Przemek w poprzednich wcieleniach zajmował się sutenerstwem i lichwą, dlatego w obecnym odbierał lekcję pokory.

– Nie szanował pan kobiet, dlatego teraz jest pan dla nich podnóżkiem – odezwała się wreszcie pani Zosia. Od ponad kwadransa obracała w palcach magiczny kamień, a pan Przemek zaczynał się już trochę nudzić. – Musi pan jeszcze bardziej spokornieć. Odслужи swoje, wówczas przyjdzie zmiana.

– Jak to: odслужи swoje?! – oburzył się pan Przemek, bo nie to spodziewał się usłyszeć. Dotychczasowe sesje kosztowały go już parę ładnych setek, a wciąż otrzymywał ten sam komunikat, że ma czekać, godzić się z losem, nie zgłaszać pretensji. – To mało jeszcze zrobiłem dla tych przeklętych bab?! Ta ostatnia mnie oszukała i okradła! Kobiety są podłe!

– Tak samo wyrażano się o panu i o całym męskim rodzie, gdy był pan sułtanem w swoim osiemnastym wcieleniu – orzekła pani Zosia. – Weszłam na wrzeciono czasu

i wszystko zobaczyłam. Nie tylko zmieniał pan kobiety jak rękawiczki, ale także nimi handlował. I to przez kolejne sześć wcieleń! To jak pan to sobie wyobraża? Że kobiety będą panu za to wdzięczne? Że do nóg panu padną, bo teraz postanowił pan być lepszy? Trzeba swoje odchorować!

– To jak długo jeszcze? – warknął pan Przemek. – Jest szansa, że w tym życiu się ożenię i doczekam dzieci?

Pani Zosia pomasowała kamień i ponownie się zamyśliła. Tym razem trwało to trochę krócej.

– Tak, ale musi pan jeszcze zrozumieć kilka spraw. Pańskie ego jest nieco rozdęte i dopóki tak będzie, będzie pan obrywał po głowie.

– To już słyszałem – przerwał jej pan Przemek, mocno już zniecierpliwiony. – Pani stale powtarza to samo. Płacę trzy stowy za godzinę i za każdym razem wychodzę z niczym! Jeśli nie ma mi pani nic innego do zaproponowania, to będzie to nasze ostatnie spotkanie. Wszystkie wróżki to oszustki – dodał, podnosząc się z fotela.

Pani Zosia także wstała. Odłożyła kamień na stół i biorąc pana Przemka za rękę, powiedziała:

– Myślę, że powinien pan porozmawiać ze swoim przewodnikiem duchowym. Może on przemówi panu do rozsądku.

– A gdzie on jest? – zapytał szorstkim tonem pan Przemek.

Pani Zosia gestem pokazała mu, żeby usiadł. Zrobił to z wyraźnym ociąganiem. Wówczas ona także usiadła, zamknęła oczy i od razu zaczęła mówić:

– Anatanelu! Przywołuję cię, byś pomógł obecnemu tu Przemkowi zrozumieć jego powołanie życiowe. Przybywaj, proszę! Pomóż nam.

Pan Przemek pomyślał w duchu, że więcej jego noga tu nie postanie. Baba chyba zwariowała, sądząc, że on da się nabrać na te naiwne sztuczki. Przewodnik duchowy, też coś! Ciekawe, ile go będzie kosztowała ta rozmowa z zaświatami!

– Jam Anatanel, pytaj – odezwała się kobieta zmienionym głosem, a pan Przemek nadstawił uszu.

– Obecny tu Przemek nie może znaleźć odpowiedniej partnerki życiowej i nie rozumie, dlaczego tak się dzieje. Możesz mu to wyjaśnić?

– Jego opiekunem jest Uriel, jego pytajcie. Ale mogę powiedzieć tyle: Przemek jest człowiekiem małej wiary. To, w co wierzy, jest bardziej ulotne niż piasek na pustyni czy nasionko dmuchawca. Buduje zamki na piasku, szuka gruszek na wierzbie. Wszystko, co jest mu potrzebne do szczęścia, stoi przed nim, znajduje się w zasięgu jego wzroku. Ale niewidomy nie zobaczy, a głuchy nie usłyszy. Śpiący nie doświadczy, niemający rozeznania nie zrozumie.

– Czy Przemek pozna właściwą kobietę?

– Pozna ich wiele, ale ta, która będzie tą właściwą, pojawi się wówczas, gdy on sam będzie gotów. Czyż nieubrany poszedłby na przyjęcie? Czy brudny przyjmowałby gości? Czy owrzodzony proponowałby swoje towarzystwo? Ludzie nie widzą, że są odpychający dla innych. Nie zewnętrznie, lecz wewnętrznie. Ich energia jest czarna, niska, przykra, a chcą doświadczać uniesień. Chcą zbierać, skoro nie posiali, i zyskiwać, skoro nie zapracowali. Odnaleźć, skoro nie zgubili, i mieć, skoro nie posiadali.

– To będzie w końcu ta kobieta czy nie? – zniecierpliwiał się pan Przemek.

– Rzekłem – odparł spokojnie anioł ustami pani Zosi. – Nie rozumie ten, który zrozumieć nie chce, ale moje słowa trafią do ciebie z czasem. Pojmiesz moje przesłanie. Chcesz być bogaty, szczęśliwy i pozbawiony trosk, jak każdy. Ale czymże jest szczęście? Uwolnieniem od bólu? Uwolnieniem od głodu? Uwolnieniem od lęku? Uwolnieniem od zmęczenia? Czy nie tak? Jeśli tak, to po co ci drugi człowiek? Ktoś, kto może zachorować, umrzeć, okraść cię, narazić na niebezpieczeństwo. Czy człowiek szczęśliwy to nie ten, któremu nic nie zagraża? Dlaczego zatem nie ukryjesz się z dala do świata, który niesie ze sobą tyle złego, lecz zamiast tego masz do niego pretensje, że nie daje ci tego, czego sobie życzyłeś? Chcesz być wolny? Oswajaj swą samotność!

– Przecież istnieją dobrzy ludzie na świecie! – zaproponował pan Przemek. – Uczciwi, sprawiedliwi, godni zaufania. Kobiety także. Dlaczego nie mogę spotykać tylko takich?

– A do których ludzi ty się zaliczasz? Traktujesz innych z szacunkiem? Jesteś uczciwy, sprawiedliwy i godny zaufania? Swój szuka swego. Kruk zamieszka z krukiem, a wiewiórka z wiewiórką. Pomyśl, jak prowadzisz swoje interesy, jakim jesteś pracodawcą.

– To co innego! – odburknął pan Przemek. – Praca to nie dom, w niej trzeba być ostrym, stanowczym i wymagającym, żeby cokolwiek uzyskać. Gdy człowiek jest za miękki, to go zjedzą.

– A w życiu prywatnym jesteś inny? Łagodniejszy?

– Tak. Dlatego dałem się oszukać!

– Dałeś się oszukać, bo chciałeś żyć złudzeniem. Chciałeś utrzymać w sobie przekonanie, że jesteś wystarczająco inteligentny, żeby odróżnić oszusta od uczciwego człowieka. Wolałeś stracić niż przyznać się w porę do pomyłki.

– Nie chciałem być sam!

– Wolałeś zatem być oszukiwany. Dokonałeś wyboru. Skąd więc pretensja? Świat zaoferował ci to, na co złożyłeś zamówienie.

– Nieprawda! Szukałem kobiety skromnej, uczciwej, szlachetnej, a nie jakiejś oszustki!

– Prowadzisz swój interes, a więc znasz się na nim? Wiesz, jak ma wyglądać towar, który zamawiasz, prawda? Jeśli ma wady, odsyłasz go i żądasz zamiany. Twoja wiedza i doświadczenie zbierane latami dają ci pewność, że nikt cię nie oszuka. W miłości jest podobnie. Kiedy człowiek chce spotkać drugiego człowieka o określonym zestawie cech, musi wpieryw zrozumieć i poznać te cechy. W przeciwnym wypadku staje się łatwym łupem dla oszustów – tak samo łatwo oszukać można tego, kto nie zna się na pracy, której się podjął. Szukasz dobra, które nie jest złem. Szukasz prawdy, która nie jest kłamstwem. A tymczasem dobro to dobro, a prawda to prawda.

– Bzdura. Człowiek nie jest skazany na wieczne niepowodzenia, to kwestia braku czujności i być może trochę braku wiedzy.

– Bądź zatem czujny, bo wiedzę – jak uważasz – już masz. Korzystasz z porad wróżek, aby być sprytniejszym od innych, wiedzieć więcej, wcześniej, by ubiec pozostałych. Żeby być gotowym na ewentualny atak i nie dać się oszukać. Stale czujny i nastawiony na atak, nie dostrzeżesz szlachetności, miłości ani dobroci, choćby przeszły przed twoimi oczami. Bo one niczym się nie wyróżniają.

– Są wróżki, które bardzo trafnie definiują przyszłość i przewidują, kiedy ludzie się

zareczą albo stracą pracę!

– O tak, jest ich wiele. Bo energia nie zna czasu ani przestrzeni i płynie swobodnie. Nie jest istotne, kto po nią sięga, ale jak. W jakim celu. Chcesz, by ktoś umeblował twoją przyszłość? Ukierunkował twoją energię?

– Jeśli to doprowadzi mnie wreszcie do szczęśliwego związku, to tak! – odpowiedział stanowczo pan Przemek.

– W takim razie nic tu po mnie. Przekażę twoje życzenie Urielowi i stanie ci się wedle słowa twego!

16 września, piątek

Od rana się dzieje! U Jurka zjawiła się policja. Podobno się okazało, że mąż pani Zosi nie zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku, ale celowo został potrącony na przejściu dla pieszych. Pana Ryszarda potrącił samochód marki Skoda, ciemnozielony, a takim samym porusza się Jurek, który dokładnie w tym samym czasie wracał do domu, jest więc potencjalnym sprawcą. Nie wiem, czy to Jurek kierował tym autem ani czy to w ogóle to samo auto, ale policja podejrzewa, że tak.

Gdyby wyszło, że to Jurek stoi za śmiercią pana Rysia, musiałabym chyba zadomowić się na oddziale u Jacka. Przecież to nieprawdopodobne! Dlaczego Jurek miałby zabijać dobrego znajomego?! Chyba jedynie przez nieuważę...

Na razie nie wiemy, jak do tego podejść, ale fakt, że ciała pana Ryszarda wciąż nie odnaleziono, a Jurek podczas ostatniej konferencji prasowej pochwalił się, że pracuje nad wyjątkowo mrocznym kryminałem, stawia go w nieciekawej sytuacji.

Z drugiej strony wierzyć mi się nie chce, że mogłabym się aż tak co do niego pomylić. Czas pokaże, co będzie dalej. Ciekawe, co na to Gabriela?

Na marginesie: książki Jurka sprzedają się jak świeże bułeczki. Panie z warzywniaka twierdzą, że to taki chwyt marketingowy. Nie wierzę, że Jurek mógłby zabić dla sławy.

19 września, poniedziałek

Komisarz Ugryź, który prowadzi sprawę Jurka, może powinnam raczej napisać: sprawę pana Rysia, wezwał nas na przesłuchanie. Konkretnie mnie i jego babcię. Obawiam się, że z babci nie będzie wielkiego pożytku, a i ze mnie będzie mizerny, bo cóż ja mogę zeznać? Jurek ma samochód marki Skoda w ciemnozielonym kolorze. W dniu, kiedy zginął pan Ryszard, możliwe, że się nim poruszał, nie wiem, nie widziałam. Dlaczego mój przyjaciel miałby zabić męża pani Zosi? – nie mam pojęcia. Ot, i taki ze mnie świadek.

W zakładzie pogrzebowym wprowadzili nowość: trumny przypominające egipskie sarkofagi. Na wierzchu, zamiast zwykłej pokrywy, znajdowałby się odlew gipsowy twarzy lub ciała zmarłego. Na życzenie zwłoki można zabalsamować i wzorem mumii egipskiej owinąć w bandaż. To ostatnie to pomysł Gabrieli, która uważa, że chowanie do trumny ciała z zawartością sprawia, że grób jest potem strasznie brudny. Pomysł spotkał się z zainteresowaniem klientów, więc dołączył do oferty. Jest tylko mały szkopuł: nie wiadomo, co zrobić z wyjętymi wnętrznościami. Zakopać je pod trumną? I kiedy? Przed pogrzebem? Po? Zutylizować? Jakoś niezręcznie pytać rodzinę zmarłego, czy życzą sobie oddzielny pochówek dla serca i wątroby i oddzielny dla samej skóry.

W mojej skrzynce mailowej znalazłam taką oto wiadomość: „Szukamy pilnie kobiet chętnych do zabawy z satanistami. Dobrze płacimy, zwracamy wszelkie koszty. Strój niezobowiązujący”.

21 września, środa, fragment maila do Roksany

Nawet nie wiesz, ile atrakcji Cię omija. Dzisiejsze przesłuchanie na policji przejdzie do historii. Pojawiliśmy się tam we trójkę: Jurek, jego babcia i ja, punktualnie o dwunastej w południe. Komisarz Ugryź był czymś chwilowo zajęty, więc zajął się nami jego asystent, aspirant jakiś tam. Zanim zapisał na komputerze nasze nazwiska, wykasował pół bazy danych. Potem rozpoczął przesłuchanie naszej trójki. Wyglądało to tak, że zapytał mnie, czy Jurek posiada samochód marki Skoda, ciemnozielony, ja pokiwałam głową, że tak, a Jurek podyktował mu numer rejestracyjny. Później spytał Jurka, czy potrafił tym samochodem człowieka w dniu takim to a takim, na co Jurek, że nie, więc policjant zwrócił się do jego babci, co ona na to. Babcia Jurka zasnęła zaraz po tym, gdy usiadła, więc nic nie odpowiedziała. Aspirant, wpatrzony w ekran komputera, zapisał, że przesłuchiwana odmówiła złożenia zeznań.

Potem dowiedzieliśmy się, że chłopak, który zasnął pod śmietnikiem, umarł na zawał serca, ale w ogóle serce miał zdrowe. Jurek podpowiedział, że tego dnia była burza z piorunami i może chłopak tego tak się wystraszył. Wszedł na spacer z psem, burza ich zaskoczyła, może chłopak był strachliwy z natury. Policjant skrupulatnie to zapisał i zaraz potem zadał pytanie, skąd Jurek wiedział, że tego dnia była burza. Po chwili odnotował więc, że ciemne chmury wisiały nad miastem i grzmiało.

Dalej się okazało, że pan Ryszard przed śmiercią przygotował ekspertyzę grafologiczną w sprawie o spadek. Przedmiotem badań miał być tekst napisany odręcznie przez późniejszego spadkodawcę. Domyśliliśmy się, że chodzi o testament. Jednakże dokument źródłowy zaginął, ekspertyza też i wszystko opiera się jedynie na poszlakach. W dodatku podobno rodzina zmarłego, która kwestionowała wiarygodność testamentu, wycofała sprawę.

Zapytałam wówczas, skąd przypuszczenie, że to Jurek zabił pana Ryszarda, najprawdopodobniej sprowadzając na niego burzę z piorunami, które zabiły jednak tego chłopaka pod śmietnikiem. Pies przeżył. Aspirant uśmiechnął się chytrze i odpowiedział, że kluczem do zagadki jest zaginiony but jednej z ofiar. Policja ustaliła, że chłopak miał na sobie w chwili zasnąbnięcia kompletne obuwie, a potem prawy but zniknął. Być może chłopak był w zмовie z panem Ryszardem i ukrył ważne informacje w swoim bucie, a psa tak wyszkolił, żeby tego buta pilnował jak oka w głowie. I tu wszystko się dodaje, jak stwierdził policjant: Jurek zabił mężczyznę pod śmietnikiem burzą, żeby wejść w posiadanie buta z psem!

W tej chwili obudziła się babcia Jurka i stanowczo oświadczyła, że całe śledztwo jest niepotrzebne, bo ja przecież mogę im powróżyć z ludzkich wnętrzności i wszystko będzie jasne. Policjant natychmiast odnotował, że param się antropomancją oraz czarną magią połączoną z wudu. Potem chciał wiedzieć, skąd ja wiem, że chłopaka zabiła burza.

Babcia Jurka odpowiedziała za mnie, że nie burza, tylko zupa pomidorowa. Aspirant bezmyślnie to zanotował i wówczas dołączył do nas komisarz Ugryź. Ze zdumieniem

przywitał naszą podejrzaną trójkę i wysłuchał swojego asystenta, który odczytał mu nasze zeznania. Wynikało z nich, że pan Ryszard zginął potrącony przez samochód marki Skoda, ciemnozielony, który prowadził Jurek tego samego dnia, kiedy ja wywoływałam burzę z piorunami, która – w połączeniu z zupą pomidorową – stała się przyczyną śmierci drugiej ofiary. Wszystko to zrobiliśmy po to, by pozbawić chłopaka buta i psa.

– Państwu na dziś dziękujemy, będziemy w kontakcie – wychrypiął Ugryź, lekko oszołomiony. – Bardzo nam państwo pomogli.

Wstaliśmy i wyszliśmy, a już na korytarzu dał się słyszeć podniesiony głos komisarza, który wymyślał aspirantowi od tumanów, synów wiatru i kurzu, pochodzących z Tuman, którzy od jutra będą wystawiać mandaty za krzywy chód. Na marginesie: przesłuchujący nas aspirant naprawdę urodził się w miejscowości Tumany.

22 września, czwartek

Pan Przemek zakończył współpracę z panią Zosią. Zakomunikował mi to dziś w południe w charakterystycznym dla siebie stylu, a mianowicie zadzwonił i bez ogródek rozpoczął rozmowę tymi słowami:

– Wszystkie wróżki to oszustki, zwłaszcza te telewizyjne. Tylko kasę ciągną. Wymyślają jakieś bzdury, jakieś przesłania anielskie, jakieś połączenia z zaświatami, opiekunów astralnych. Dno. Świat opiera się na czystej energii, która przepływa, tworząc po drodze wiązania atomowe. To właśnie napędza działanie. Żadne kadzidełka i świece tego nie zastąpią. Czyste oszustwo!

– Cieszę się, że wreszcie dotarł pan do prawdy – wcisnęłam się w jego przemowę. – Skoro posiadał już pan mądrość tego świata, to do czego ja jestem panu potrzebna?

– Jeszcze nie posiadałem, ale jestem blisko – oświadczył pan Przemek. – Chcę, żeby poszła pani ze mną na takie jedno spotkanie. Organizuje je prawdziwy mag, człowiek pogodzony z energią, a nie jakaś nawiedzona hochsztaplerka. Ten gość ma moc!

– A ja tam po co? Do chrznanu tarcia? – To było zabawne, że pan Przemek nigdy nie zwrócił uwagi na mój ton: raczej szydery i nieprzyjemny.

– Nie chcę wyjść na głupka – poinformował mnie niewzruszony. – Tam będą już wtajemniczeni, a ja jestem nowy. Wyjaśni mi pani, jak się co nazywa, o co tam chodzi, bo na tym się pani zna. A potem może pani sobie iść.

– Dziękuję bardzo – odparłam. – Ile zamierza mi pan za to zapłacić?

– Zapłacić? A za co? Przecież to dla pani też może być ciekawe. Dowie się pani wielu nowych rzeczy!

Ostatecznie, po dłuższych targach, kiedy to zostałam nazwana „chciwą, pazerną materialistką, która niczym pijawka wysysa ciężko zarobioną krwawicę biednego pana Przemka”, ustaliliśmy wysokość mojego wynagrodzenia oraz kilka innych szczegółów. Między innymi to, że na miejsce dotrzemy każde oddzielnie, w środku zaś będziemy się komunikować za pomocą SMS-ów. Pan Przemek nie życzył sobie, aby ktoś go ze mną skojarzył. Na umówiony sygnał mam się zdematerializować.

23 września, piątek

Gabriela zakomunikowała wyniośle, że znalazła kogoś, kto zna się na preparowaniu

zwłok. Na studiach medycznych studenci obowiązkowo zaliczają zajęcia z anatomii oraz uczestniczą w prawdziwych sekcjach. Otóż jedna z osób prowadzących takie zajęcia zgodziła się przyjąć dodatkowe zlecenie, oczywiście dyskretnie. Przekazałam informację pani Danusi i mojemu ojcu.

Magiczny seans, na który wynajął mnie pan Przemek, odbędzie się 26 września, w pierwszy poniedziałek jesieni – czas, którym opiekuje się runa Uruz. Tak wynikało z opisu zamieszczonego na stronie internetowej opisującej przedsięwzięcie.

24 września, sobota

Na dzisiejszej próbie chóru nie stawił się ojciec z panią Danusią. Musieliśmy więc ćwiczyć bez nich. Prawdopodobnie wystąpimy w listopadzie, a na pewno w grudniu. Wydaje się, że czasu jest wystarczająco, by odpowiednio się przygotować, choć odnoszę wrażenie, że im dłużej razem śpiewamy, tym gorzej nam to wychodzi. Dotychczasowi członkowie patrzą na nas – nowicjuszy – z ukosa, co działa jeszcze bardziej deprymująco.

Zainteresowałam się, dlaczego chór nosi taką nietypową nazwę: Ament, zamiast po prostu „Amen”. Okazało się, że decyzja w tej sprawie zapadła tego samego popołudnia, gdy ksiądz proboszcz przejrzał dostarczoną pocztę i omal nie dostał zawału serca, kiedy okazało się, że sąd mylnie zarejestrował założone przez niego stowarzyszenie. Zamiast Stowarzyszenia Kanonistów Polskich otrzymało ono nazwę Stowarzyszenie Komunistów Polskich. Proboszcz zatelefonował w tej sprawie do biskupa. Akurat w tym momencie ówczesny założyciel chóru – organista – wszedł do gabinetu proboszcza z pytaniem, jaką nazwę ma obrać. Kiedy usłyszał „amen”, kiwnął tylko głową na zgodę. Zebrany podczas próby powiedział: „Ksiądz proboszcz zdecydowali, że ament, to będzie ament. Jak ament w pacierzu”. I tak już zostało. Przynajmniej nikt nas nie pomyli.

Ćwiczymy więc wytrwale, choć nie jest lekko. Dziś Jolka się obraziła, bo podobno pani Kasia złośliwie ją zagłuszała. Pan Adam nie śpiewał w ogóle, bo siostra Joanicja uczuliła go, że kiedy jest przy nucie kropka, to trzeba zrobić pauzę. Biedak otrzymał egzemplarz usiany kropkami, bo drukarka się zepsuła, więc co otworzył usta, to pauzował. Basia i Patrycja usiłowały stosować oddech wymienny, ale ponieważ to bliźniaczki, brały oddech w tym samym czasie i melodia się rwała. Panią Bożenę bolało gardło, więc tylko mruczała coś pod nosem, a to z kolei dekoncentrowało pana Wacka, który domagał się, żeby proboszcz ściszył radio, bo brzęczy.

Mnie nurtowała kwestia kasowników. Siostra Joanicja co chwilę powtarzała, żeby podczas śpiewania uważać na kasowniki. Zabrzmiało to bardzo groźnie i czułam się nieswojo, nie bardzo wiedząc, jak te kasowniki wyglądają i w jaki sposób można się przed nimi uchronić. Nie wiedziałam też, jakie będą konsekwencje, jeśli nie zauważę jakiegoś. Utnie mi język?

Na koniec czekało nas wielkie zaskoczenie.

– Czy widzą państwo klucze? – zapytała nagle zakonnica, a chór odruchowo skierował spojrzenie na ogromny pęk leżący na pianinie. – To bardzo ważne, żeby zerkać na klucze, wtedy łatwiej się śpiewa.

– Ja tam nie wiem, czy łatwiej, skoro mam patrzeć jednocześnie w kilku kierunkach i jeszcze śpiewać – poskarżył się pan Wacek. – Tu na kasownik uważaj, tu na tekst, na

nuty i jeszcze kluczy mamy pilnować. Nie można ich schować do jakiejś torby?

– Przestań! – uciszała go szeptem pani Bożena. – Siostra stoi tyłem, nie widzi kluczy, a to chyba jest cały komplet. Do plebanii i do klasztoru. Jak jej zginą, będzie spory kłopot.

– A dlaczego mają jej zginąć? Przecież tylko my tu jesteśmy!

– Daj spokój! – Pani Bożena była coraz bardziej zniecierpliwiona. – Zerkaj co jakiś czas na te klucze, korona ci z głowy nie spadnie!

– I jeszcze jedno. – Zakonnica przerwała nam śpiew. – Czy widzą państwo przekreślone „c”?

– Gdzie, jak rany! – Pan Wacek był tego dnia wyjątkowo zniechęcony. Żona uszczypnęła go w łokieć.

– Na początku – objaśniła siostra. – To oznacza, że możemy ten utwór śpiewać szybciej.

– Jeszcze szybciej? – upewniła się pani Malwina.

I tak śpiewaliśmy już dość energicznie, więc zwiększenie tempa trochę nas przeraziło.

– Tak – odparła z uśmiechem siostra Joanicja. – To wesoły utwór.

– O tak – mruknął pan Wacek. – Każdy odprawiający się ucieszy, nie będziemy długo śpiewać.

– Uwaga. – Zakonnica podniosła rękę. – Zaczynamy.

25 września, niedziela

Kolejne niedzielne popołudnie. Wizyta w kościele, po której następuje konsumpcja u pani Danusi. Następnie powrót do domu i bezmyślne siedzenie przed telewizorem. Czasem wpadnie Jurek, choć teraz zdarza się to coraz rzadziej. On woli wpadać do pięknej Gabrieli. Towarzystwa dotrzymuje mi Boluś, czasem Synek z Bu albo babcia Jurka. Co ja mam z życia? Gdzie te emocje, gdzie wspaniałe i ekscytujące życie, pełne miłości, szczęścia i wrażeń? Przecież nie zaliczę do nich przygód pogrzebowo-cmentarnych ani pomysłów pana Przemka. Gdybym miała bardziej urozmaicony żywot, nakichałabym na wszystkich Przemków, Jurków i innych panów Diabłów. Roksana rozkłada się na australijskiej plaży, Jacek żyje swoją pracą, nawet mój ojciec znalazł szczęście u boku pani Danusi, a ja znów sama, jak ten kołek w płocie. Nikt się mną nie interesuje, nie zaleca. Trudno. Widocznie nie każdemu pisana jest miłość.

Moja firemka rozwija się pomalutku. Cieszę się, ale nie czuję, aby w jakiś specjalny sposób pobudzało mnie to do działania, do rozwoju. Zastój to najgorsze, co może się przytrafić człowiekowi, który pragnie działać. Może wybiorę się do pani Zosi po radę?

26 września, poniedziałek, siedziba maga na warszawskim Targówku

Pan Przemek siedział w swoim samochodzie i przyglądał się przez uchyloną szybę osobom, które wchodziły do budynku oznaczonego numerem sześć. Ze względu na porę było to zaledwie kilka osób: jakaś starsza kobieta z dzieckiem w wózku, mężczyzna w średnim wieku, dwie dziewczyny niosące zakupy. Zostało ustalone, że z wróżką pan Przemek spotka się w lokalu. Miał jeszcze prawie dziesięć minut i wciąż się wahał. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby czym prędzej uciekał gdzie pieprz rośnie,

ale pan Przemek nie wierzył w głosy. Przez ponad trzydzieści lat trudnych, życiowych doświadczeń nabrał przekonania, że to człowiek jest kowalem własnego losu. Jeśli ktoś sam nie zadba o siebie i swoje sprawy, nie pojawi się nikt, kto chciałby zrobić to za niego.

Zdaniem pana Przemka świat opierał się na jasnych i bezwzględnych regułach handlu wymiennego: ty mnie, a ja tobie. Niektórzy, sprytniejsi, ludzie znali tę zasadę lepiej niż inni i na tym polegała ich przewaga. Pan Przemek bardzo chciał dołączyć do tej elitarnej grupy. Widział siebie w gronie tych szczęśliwców, których mag obdarzył wiedzą na temat zaklęć, rytuałów, mocą przyciągania korzystnych transakcji, hojnych ludzi i samego szczęścia. Spodziewał się, że udział w spotkaniu z magiem otworzy mu drogę do świata sukcesu. Domyślał się, że czarownik jest ludzką istotą, która posiadała wiedzę tajemną, dostępną tylko wybranym. I tylko z wybranymi osobami mógł się nią dzielić.

Liczył się z tym, że ponieważ tego typu usługa nie była powszechnie dostępna, nie mogła więc być tania. Dlatego nieco się zdziwił, kiedy przybył na miejsce: Targówek, mieszkanie w bloku... Spodziewał się raczej ukrytej w gęstwinie starodrzewu przepastnej willi, ewentualnie apartamentu na ostatnim piętrze najbardziej reprezentacyjnego wieżowca w Polsce.

Siedział więc teraz w swoim samochodzie i się rozglądał. Zostały jeszcze trzy minuty, więc zamknął okno, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł. Zamknął auto i nieśpiesznie ruszył w stronę drzwi wejściowych. Gdy znalazł się w środku, pomyślał, że nawet gdyby tego typu budynki pokryć złotem, wciąż będą razić swoją brzydotą.

Przed windą stał jakiś mężczyzna. „Siwy opasły gamoń, którego jedynym celem życiowym jest rozwiązywanie krzyżówek po obiedzie” – pomyślał ze złością – nie wiedzieć czemu – pan Przemek. Mężczyzna uśmiechnął się do niego szeroko, a gdy nadjechała winda, wszedł do niej pierwszy. Obaj prawie równocześnie wysunęli palce, by nacisnąć ten sam guzik.

– Oho, pan też na dwunaste! – ucieszył się grubas. – To tak jak ja, bo ja jadę na dwunaste!

– Tak, na dwunaste – mruknął pan Przemek, którego irytacja wciąż rosła.

Winda sunęła powoli w górę. Tłusty towarzysz uznał za pewne, że pierwsze lody zostały przełamane i można rozpocząć swobodną konwersację.

– Dwunaste to bardzo dobre piętro – trajkotał – bo jeszcze nie najwyższe – a wie pan, na najwyższym wieje od dachu – ale też nie najniższe, bo wtedy ciągnie od ziemi. Widok jest lepszy niż na przykład z piątego, ale z kolei gdy człowiek wyjdzie na balkon, to nie kapie mu na głowę jak tym z piętnastego!

– Ma pan rację – przytaknął od niechcienia pan Przemek. Mijali właśnie ósme piętro.

– Jest dużo czasu, żeby przygotować sobie klucze do mieszkania i nie gmerać potem pod drzwiami w kieszeniach – kontynuował grubas. – Ale z drugiej strony jeśli człowiek musi szybko iść za potrzebą, to dwunaste piętro nie jest wskazane.

– Można nasikać w windzie – rzucił pan Przemek. – Czasu akurat wystarczy, żeby podciągnąć spodnie.

– No co pan?! – oburzył się siwy. – Ja do pana grzecznie, a pan jak ten cham!

– No, no! – warknął pan Przemek. – Tylko nie cham! To nie ja zacząłem o tym

sikaniu!

– Panie! – Siwy się zdenerwował. – Ja nie jestem byle kto, żeby tak się do mnie zwracać! Ja jestem poważny człowiek, piszę książki i sobie wypraszam!

– To sobie pan wypraszaj! Co mnie to obchodzi!

Nie wiadomo, jak rozwinęłaby się ta sytuacja, gdyby panowie jechali na piętnaste piętro. Na szczęście dobili właśnie do dwunastego i obaj zamilkli, mierząc się wzrokiem. Gdy drzwi windy otworzyły się, obaj usiłowali wysiąść równocześnie. Było to niemożliwe, ponieważ zarówno pan Przemek, jak i siwy jegomość nie należeli do najszcziplejszych. Niewykluczone, że do dziś tkwiliby w wejściu do windy na dwunastym piętrze bloku numer sześć na warszawskim Targówku, gdyby nie popatrzyli na drzwi znajdujące się naprzeciw. Z pozoru nie było w nich nic szczególnego – drzwi jak drzwi. Jednak uwagę przykuwała tabliczka z napisem: „Wrota do Magii, czynne: poniedziałek–sobota 12.00–2.00, niedziela – zgodnie z wcześniej umówioną wizytą”.

– Panie, przesun się pan, bo ja wysiadam – wystękał pan Przemek, na co siwy jegomość odpowiedział głośnym sapnięciem.

Przepychanka doprowadziła do tego, że winda lekko się rozkołysała, w wyniku czego mężczyzna stracił równowagę i upadł jak długi, ryjąc nosem w wycieraczkę. Pan Przemek przeszedł nad nim, burcząc coś w stylu: „Czerwony dywan to to nie jest”, a następnie nacisnął klamkę drzwi opatrzonej tabliczką i wszedł do środka. Nie zwrócił uwagi, że kłopotliwy towarzysz z windy wstał, otrzepał się i podążył za nim do tego samego lokalu.

Było to trzypokojowe mieszkanie z kuchnią, która została zmieniona na poczekalnię. Wszystkie ściany zostały wyłożone czarnym aksamitnym suknom i przyozdobione kinkietami z abażurkami, a na podłodze leżał czerwony chodnik. Trzy pokoje w amfiladzie przerobiono tak, że po otwarciu przesuwnych drzwi mogły tworzyć jedną wielką salę.

Pan Przemek wszedł do środkowego pokoju i z niezadowoleniem stwierdził, że zamiast spodziewanej niewielkiej grupki wybrańców znajduje się tu już z pięćdziesiąt osób. Wszyscy stali, bo pod ścianą znajdowały się tylko trzy krzesła i nikt nie miał odwagi na nich usiąść. Skądś sączyła się dziwna, brzękliwa muzyka.

– Psiakrew – syknął przez zęby pan Przemek. – Znowu jakieś oszustwo! Tyle kasy za takie badziewie!

– Prawda? – dopowiedział ktoś za jego plecami. Pan Przemek spojrzał niechętnie, bo po incydencie w windzie nie miał ochoty na żadne nowe znajomości. Spojrzał i od razu zmienił zdanie. Na tę znajomość miał ochotę, nawet bardzo.

– Takie to trywialne, czarny i czerwony, świece w łazience. – Jej głos był równie aksamitny jak sukno na ścianach. – Spodziewałam się czegoś mniej oczywistego, a pan?

W tej chwili pan Przemek był gotów spodziewać się wulkanu wybuchającego z wnętrza podłogi i siedmiogłowego smoka, który witałby gości. Pomyślał tylko, że warto było poświęcić te parę stówek, skoro ledwo przekroczył próg tego przybytku, a jego marzenie już zostało spełnione. Dziewczyna mówiła coś jeszcze, ale on nic nie słyszał. W jego uszach rozbrzmiewały pienia anielskie, marsze weselne, dzwoniły dzwoneczki, grały fujarki, świat przed oczami wirował. Pan Przemek zakochał się na zabój. Jak rażony piorunem.

Tymczasem do pokoju wkroczył Mag. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, brunet o ciemnych, zagadkowych oczach. Klasnął w ręce, a gdy wszyscy umilkli, powiedział:

– Kochani! Witam was na spotkaniu inicjacyjnym, które stanowi pierwszy krok na drodze do poznania tajemnic wszechświata, by zawładnąć energią kosmosu. Odblokuję wam molekuly świadomości! Uwolnię pierwiastki samostanowienia! Dzięki mnie opanujecie metody pozwalające szybko i skutecznie przyciągnąć pieniądze! Przygotuję dla was afirmacje, które pozwolą oczyścić wasze umysły z wszelkich negatywnych myśli. Wasze życie odmieni się na zawsze!

Zgromadzeni zareagowali entuzjastycznie. Oklaskiwali co drugie zdanie wypowiedziane przez Maga, który krążył między nimi i kładł im ręce na ramionach, głowach, rękach. Gdy zbliżył się do pana Przemka, zatrzymał się na chwilę.

– Bracie, ciebie szczęście już odnalazło, wspaniale! – Zakrył rękami drżącą dłoń pana Przemka i odwrócił się do pozostałych.

– Popatrzcie! Oto człowiek wielkiej wiary! Ledwie dołączył do naszej wspólnoty, a już widzi rezultaty swoich działań! Nigdzie nie jest powiedziane, że na sukces trzeba długo czekać! Wystarczy wierzyć!

– Twój opiekun duchowy szepnął do mnie słówko. – Mag pochylił się w stronę pana Przemka i mrugnął porozumiewawczo okiem. – Rozumiemy się?

– Rozumiemy – wychrypiał pan Przemek. Przepelniała go radość wyróżnienia, euforia, jakaś magia, w którą teraz wierzył całym sercem. Obok stała dziewczyna, która biła mu brawo jak inni, lecz jej uśmiech wystarczał za uśmiech milionów.

– Przepraszam uprzejmie, a co z moją sprawą? – zaryczał nagle tęgi jegomość. Był to ten sam człowiek, z którym pan Przemek użerał się w windzie, więc złość na moment wróciła. – Bo ja się jeszcze nie doczekałem!

– Ach, ludzie małej wiary! – Mag wzniosł ręce i oczy. Wykonał teatralny gest wyrażający politowanie dla tych, którzy nie nadążają za rozumowaniem innych. Przez tłum przeszedł szmer dezaprobaty.

– Jedni wierzą jak dziecko, bez zastrzeżeń, i to oni doświadczają potęgi wszechświata, ponieważ pozwalają energii swobodnie przepływać. Inni – tu Mag znacząco popatrzył na grubasa – inni są niecierpliwi, żądają wszystkiego natychmiast, nie zastanawiając się, że być może nie są jeszcze gotowi na to, o co proszą!

– Ale ja jestem gotów! – nie ustępował mężczyzna. – Wawrzynowicz moje nazwisko, byłem na trzech seansach i oczyszczaniu energetycznym, zapłaciłem za wskrzeszenie nieboszczyka i miało być zaraz, a czekam i czekam!

Mag zamknął na chwilę oczy, westchnął głęboko, następnie podszedł do Wawrzynowicza, położył mu ręce na okrągłej twarzy w taki sposób, że zrobił się na niej pulchny dzióbek, i powiedział bardzo niskim tonem:

– Duchowi posłańcy działają. Jam jest Mag od magii białej i czarnej. Zaglądam w przeszłość i rozjaśniam ciemności przyszłości. Nie obawiaj się zatem i spokojnie czekaj. Twój wrogowie zostali wyprowadzeni na manowce, a sprawa, która cię zajmuje, zakończy się dla ciebie pomyślnie. Nie martw się, my troszczymy się o swoich braci i siostry, ale musisz wierzyć.

Wawrzynowicz nic nie odpowiedział, bo mag wciąż ścisnął mu twarz, za to odezwali się inni:

– Tak, mnie pomogli, mój narzeczony zerwał ze mną na trzy miesiące przed ślubem, ale uroki Maga sprawiły, że wrócił na kolanach i do dziś przeprasza!

– A ode mnie odgonił wszystkie złe sny! Teraz nawet zapachy czuję!

– Mnie też się sprawdziło. Szef dostał takich parchów, że go wyrzucili z pracy, bo jak to wygląda, żeby szef kuchni pokrywał się wrzodami, kiedy tylko spróbuje potrawy, którą sam ugotował!

– A mnie włosy zaczęły rosnać! O, proszę! Wprawdzie tylko na rękach, ale to dopiero początek!

Mag przechadzał się triumfalnym krokiem wśród swoich wielbicieli, kiedy nagle ktoś się odezwał:

– A co powiecie o wróżce Zofii? Ona też odprawia różne rytuały!

W mieszkaniu na chwilę zapadła cisza. Tylko nieliczni zauważyli czarny cień, który przemknął po twarzy Maga.

– Zofia to oszustka, co ona tam potrafi! Taka sama jak wszystkie inne!

– Nieprawda – odezwał się nagle pan Przemek. – Mnie pomogła. Może nie do końca, bo ona pewnych rzeczy nie robi, ale na pewno nie jest oszustką!

– Zofia kieruje zorganizowaną grupą przestępczą, która napada biednych i niewinnych ludzi, by następnie uwięzić ich w piwnicy i na siłę oraz pod groźbą pozbawienia genitaliów zmusić do wysłuchania jej wróżb. – Aksamitny głos przesądził sprawę.

Chociaż pan Przemek nie potrafił sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek Zofia groziła mu obcięciem genitaliów, jeśli nie podda się wróżeniu, w jednej sekundzie uznał, że to groźna okultystka.

– Wystarczy, moi drodzy, nie bądźmy zawistni, to negatywna energia. – Mag zajął jedno z trzech wolnych krzeseł. – Usiądźcie, proszę, na podłodze, gdzie kto może, a ja przybliżę wam teorię funkcjonowania macierzy planet astrologicznych. Dzięki temu łatwiej zrozumiecie swoją drogę i będziecie potrafili umiejscowić ją na mapie wrzeczona czasu.

– Otóż istnienie opiera się na twierdzeniu, że poprzez pracę własnego umysłu tworzymy materię, co oznacza, że nasz mózg kreuje rzeczywistość – rozpoczął swój wykład Mag. – Doświadczanie poprzez odczuwanie bólu, radości, szczęścia i miłości prowadzi nas do uświadomienia sobie, czym jest istnienie pod postacią ludzkiej istoty. Człowiek zbudowany jest z materii, dlatego materia potrzebna mu jest do życia. Dlatego wprowadzę was w tajniki przyciągania pieniędzy. Zapoznam was z rytuałami, dzięki którym nigdy już nie zabraknie wam gotówki.

– Czy możemy umówić się na kawę? – wyszeptał pan Przemek w ucho atrakcyjnej dziewczyny, która usiadła obok niego po turecku, a teraz lekko opierała swoją głowę o jego ramię.

On sam siedział w tak zwanej pozycji kucznej, z mocniej podkurzoną lewą nogą i było mu bardzo niewygodnie. Nie przyznałby się jednak do tego nawet wtedy, gdyby miała mu ta lewa noga odpaść. Najchętniej zapytałby piękną nieznajomą, czy mogą się już wybrać do pałacu ślubów, ale nie miał odwagi. Ta westchnęła lekko, od czego zakreśliło mu się w głowie, i cicho odpowiedziała:

– Tak, czemu nie. To po wykładzie, okej?

Od tej chwili czas płynął niezwykle wolno, można by rzec, ciągnął się jak flaki z olejem. Kiedy pan Przemek spisał już na straty swoją lewą nogę, Mag w końcu wstał, podniósł rękę jak do błogosławieństwa i powiedział:

– Kochani, będziemy się teraz spotykać w czwartki, bo czwartek to dzień narodzin pieniądza. Dostaniecie za chwilę od moich asystentów harmonogramy godzin spotkań, bo musimy się podzielić na grupy, jest nas za dużo. Każda grupa w kolejny czwartek, o określonej godzinie. Pamiętajcie o uiszczeniu wpisowego oraz opłaty inicjacyjnej. Kto chce, może to zrobić już dziś. Jeśli ktoś z was potrzebuje indywidualnej konsultacji, zapraszam po spotkaniu. Pozostałym dziękuję!

Mag wyszedł tak szybko, że niektórzy uznali, że zdematerializował się w magiczny sposób. Niepokieszony pan Wawrzynowicz żalił się stojącemu obok niego chłopakowi z długim warkoczem:

– No i sam nie wiem, co o tym myśleć. Zrobiłem tak, jak powiedział, zapłaciłem za wskrzeszenie tego człowieka i wciąż czekam. A sprawy przybierają zły obrót, bo policja wcale nie aresztowała tego pisarza. Nie wiem już, czy wierzyć, czy nie wierzyć...

– Słyszał pan, brak wiary opóźnia nasze starania.

– Tak, tak, ale ja nie umiem wierzyć, jeśli nie ma efektów!

– Jest pan niewiernym Tomaszem! – skwitował warkocz. – Dlatego panu nie wychodzi. Powinien pan skorzystać z rytuału oczyszczenia z niedowiarstwa i braku zaufania.

– Myśli pan? – Wawrzynowicz wciąż był nieprzekonany. – Może chociaż pieniądze jakieś by się pojawiły, bo to wszystko strasznie drogie, a kokosów też nie widać.

– Jak powtarza mistrz: pieniądź nie lubi tchórzliwych szaraczków – zacytował warkocz. – Pan go odstrasza swoimi lękami. Więcej pewności siebie. A poza tym dobra usługa musi kosztować. Tanie pieniądze i psi jedzą! Powodzenia i do zobaczenia!

Janusz Wawrzynowicz pokiwał warkoczowi ręką na pożegnanie i wciąż zmartwiony wyszedł z mieszkania Maga. Zaklął pod nosem, bo i tym razem na windę czekał ten kłótniwy typ, w dodatku w towarzystwie atrakcyjnej dziewczyny. Wycofać się już nie mógł, bo drzwi mieszkania zamknięto za nim na zamek. Ocierając się o ścianę, Wawrzynowicz przesunął się więc w stronę bocznego korytarza, który prowadził do innych mieszkań i na schody. I tam usłyszał niechcący kawałek rozmowy, który bardzo go zaniepokoił i zaniepokoił zarazem. Janusz zrozumiał, że przez absolutny przypadek mógłby się stać główną postacią grubszej afery, która mogłaby stanowić doskonałą kanwę dla jego przyszłej bestsellerowej powieści.

Tego samego dnia wieczorem, fragment maila do Roksany

Pojechałam pod adres, który przesłał mi pan Przemek. Na miejscu starałam się zachowywać bardzo dyskretnie, czego o nim nie można było powiedzieć, bo najpierw wywołał awanturę przed drzwiami lokalu, w którym odbywało się spotkanie, a później migdalił się z jakąś rudą wiewiórką. Obrzydliwość brała, kiedy robił takie cielece oczy, gdy ta wydra machała przed nim rżęsami. Mężczyźni mają chyba jakąś skazę ewolucyjną: ich mózg doznaje porażenia na widok obfitego biustu, krągłych pośladków, rybich ust i monstualnych rżęs. Żałosne, ale prawdziwe. Wysłałam mu kilka SMS-ów, w tym pytanie, czy mogę już sobie pójść, ale pan Przemek był zbyt

zajęty słuchaniem zmijowatego szczebiotu nowej ukochanej. Za jakiś czas ja będę wysłuchiwać jego lamentów na wiadomy temat.

Wychwalany przez pana Przemka guru to pan Diabeł we własnej osobie. Nie umiem powiedzieć, czy bardziej mnie to zaskoczyło, czy zmartwiło, bo cały jego urok osobisty przysł w ułamku sekundy. Przeprowadził bardzo sprawny show głównie z wykorzystaniem teatralnych gestów, sloganów wymawianych z naciskiem i mrocznej scenografii. Wszystko oparte na psychologii tłumu, manipulacji osobą na poziomie zjednoczenia z grupą.

Całość rozpoczynało niezwykle widowisko świateł i cieni, mroczna muzyka sącząca się ze ścian i Mag wkraczający na scenę niczym prawdziwy czarownik. Istotnie, pojawił się nie wiadomo skąd i jak, zupełnie jak gdyby wypłynął ze ściany.

Potem zaczął przed nami roztaczać katastroficzną wizję świata, który wali się na naszych oczach, i jest to nieuniknione. Tylko nieliczni wybrańcy – wtajemniczeni adepci szkoły uwalniania energii kosmosu – są w stanie uniknąć katastrofy. Ocalenie opiera się bowiem na wiedzy, którą guru zwany Magiem chętnie się podzielił za – biorąc pod uwagę okoliczności – symboliczną wręcz opłatą.

Następnie Mag opowiadał o rajskiej krainie, która czeka na tych, którzy podążą jego śladem. Roztaczał wizję życia wiecznego na innych planetach miodem i mlekiem płynących, życia pozbawionego wszelkich trosk i bólu, pełną nirwanę. Stan absolutnej wewnętrznej ciszy i doskonałości.

By taki stan osiągnąć, wystarczy drobiazg: należy zgłębić wiedzę przekazywaną przez Maga, zrozumieć jego przesłanie i zastosować je na sobie. Jeśli czynnik finansowy stanowi dla kogoś przeszkodę, nic straconego. Mag zaoferował rytuał przyciągania pieniędzy, który sprawi, że brak gotówki nigdy już nie będzie temu komuś doskwierał. Chętnych, rzecz jasna, dość szybko pojawiło się wielu, dołączyli więc do dotychczasowych członków, powołując kolejne grupy. Każda grupa w kolejny czwartek spotka się w tym lokalu o określonej godzinie, żeby wyczarować sobie dobrobyt. Jestem ogromnie ciekawa, jak to się odbywa, chyba więc odżałuję te pięćset złotych.

Przez cały czas kiedy tam byliśmy, z rąk do rąk krążyła duża plastikowa karta, przypominająca swym wyglądem menu restauracyjne. Był to cennik usług Maga. Ponieważ używanie podczas spotkania telefonów, aparatów fotograficznych i innych narzędzi utrwalających dźwięk i obraz było surowo zakazane, postarałam się jak najwięcej zapamiętać i później, gdy nikt nie patrzył, szybko sobie to zapisałam na niewielkiej karteczce.

Cennik usług Maga

Rzucenie uroku: 1500 zł

Kłątwa zwykła: 2300 zł

Kłątwa pokoleniowa: 4800 zł

Proroctwo: 4000 zł

Błogosławieństwo: 1400 zł

Wywołanie ducha osoby zmarłej: 1000 zł

Wywołanie ducha osoby żywej: 2000 zł

Odczepianie bytów i energii: 9000 zł

Wskrzeszanie zmarłych: doba po zgonie: 5000, później stawka rośnie – 10 000 za każdy kolejny miesiąc.

Przyszło mi do głowy, że zakład pogrzebowy Zacisze mógłby rozszerzyć swoją ofertę o cykliczne pokazy przywołań do życia oraz usługi szamańsko-zielarskie, na przykład: przygotowanie napoju miłosnego, odmłodzenie krwi, zmiana grupy krwi na życzenie, oczyszczanie pomieszczeń z brzydkich ludzi, rytuał odstraszenia bakterii i wirusów – tym ostatnim zajęłaby się Gabriela. A w gratisie lewatywa na stojąco.

Ale na spotkanie przywołujące bogactwo jednak pójdę, nie jestem przecież aż taka święta, żeby nie marzyć o kasie!

27 września, wtorek

Jurek zapytał mnie dziś zupełnie na poważnie, czy rytuały miłosne na przywołanie kochanej osoby są skuteczne i czy ja coś na ten temat wiem. Oczywiście, że są skuteczne, jeśli wykonuje je osoba parająca się czarną magią. Zwykle kończy się to mniejszym lub większym dramatem albo ewentualnie uzależnieniem duszy, ale to przecież drobiazg. Odpowiedziałam Jurkowi, że stanowczo mu tego odradzam, ale boję się, że może naprawdę zechcieć skorzystać z takich „metod” zdobywania dziewczyny. Jeśli ma na myśli Gabriellę, moim zdaniem wystarczy ją zaprosić na wspólne mycie okien.

Ksiądz Rafał zwierzył się pani Danusi, że najbliższy pogrzeb może być bardzo kłopotliwy. Siostra kobiety, która zmarła niedawno, oświadczyła, że jeśli jej krewna trafi do nieba, to jej noga tam nie postanie. Panie były od dawna skłócone i nawet śmierć nie załagodziła tego sporu. Podobno pan Pawełek prawie siłą wyprowadzał klientkę z kostnicy, gdzie zmarła leżała. Zamiast pomóc przy jej myciu i ubieraniu, jak pierwotnie deklarowała, zaczęła ubliżać swojej nieżyjącej siostrze. W progu odwróciła się jeszcze, żeby na nią napluć, ale trafiła w czoło jednej z pracownic. Ksiądz Rafał martwi się o przebieg nabożeństwa. Kiedy byłam dziś w zakładzie, zaproponowałam mu, że siostrze można podać późniejszą godzinę pogrzebu, niż zaplanowana. Gdy kobieta się pojawi, będzie już po wszystkim, więc co najwyżej będzie mogła napluć na grób zmarłej. Duchowny tylko się przeżegnał. Przy okazji powiedział mi, że następną próba chóru odbędzie się w kościele, po wieczornej mszy, bo na plebanii rozpoczyna się remont.

Do mojej firmy zgłosił się mężczyzna, który poszukuje osoby chętnej do przeprowadzania na niej eksperymentów ezoterycznych. Gdy zapytałam, o jakie eksperymenty chodzi, odparł oględnie, że kształci się na praktykującego maga i musi dużo ćwiczyć. Odmówiłam przyjęcia tego zlecenia. Gdyby taki uczeń czarnoksiężnika niechcący pozbawił kogoś duszy, to do kogo mieliby potem pretensje? Do mnie oczywiście!

28 września, środa, komisariat policji

Komisarz Ugryź nawijał na palec nitkę. Nawijał, a jednocześnie myślał bardzo intensywnie. Przed nim, na biurku, leżały zdjęcia zbezczeszczonego grobu, wykopanej

w ziemi dziury niedaleko nasypu kolejowego, zniszczonego nagrobka na cmentarzu oraz częściowo otwartej trumny, którą znaleziono w mieszkaniu zatrzymanego ostatnio handlarza antykami. Cztery sprawy, które jak na razie łączyło jedno: śmierć. Z rozkopanego grobu zniknął nieboszczyk, w wykopanej dziurze zidentyfikowano szczątki ludzkich narządów, nagrobek należał do zmarłego, który wciąż tkwił w ziemi, a w znalezionej u handlarza trumnie były ślady po nieboszczyku. Z materiałów zgromadzonych w aktach wynikało niewiele i Ugryzia dręczyła już myśl, że coś mu umyka, że ten wspólny mianownik, który pozamykałby wszystko za jednym zamachem, gdzieś jest, ale on, Ugryź, nie może go wyciągnąć.

– Szefie, mam dwie wiadomości: jedną dobrą, drugą złą! – zakomunikował od progu aspirant, który wkroczył właśnie do pokoju, niosąc pod pachą plik papierów. Drzwi otworzył z takim impetem, że odbite od ściany uderzyły go w łokieć, przez co kartki rozsypały się po podłodze. – Od której zacząć?

– Od dobrej – mruknął Ugryź. Jego palec stawał się coraz bardziej niebieski z powodu nawijanej nitki.

– Muszę od złej, bo nie mogę znaleźć ekspertyzy do tej dobrej – stwierdził aspirant i sapnął, usiłując wyciągnąć spod szafy jakiś papier. – Psiakrew, jak daleko poleciała!

– To po co głupio pytasz, synu – znów mruknął Ugryź. – Dawaj tę złą.

– Kartka mi tam utknęła – poskarżył się aspirant, który leżał teraz na podłodze i wyglądał tak, jakby chciał wcisnąć się pod szafę. Był to czterodrzwiowy dębowy mebel, na tyle wysoki, żeby mogło coś pod niego wpaść, a na tyle niski, żeby nie można było nawet zobaczyć, co wpadło. Chłopak przekręcał się z brzucha na plecy i z pleców na brzuch, rozważając, z której strony łatwiej mu będzie wydobyć kartkę. Ugryź przyglądał się temu w milczeniu, wciąż nawijając nitkę na palec.

– Synu, choćbyś pękł i szczeł, nie wleziesz tam, chyba że wpierw walec po tobie przejedzie – powiedział w końcu.

– Jak głowa wejdzie, to reszta człowieka też – sapnął w odpowiedzi aspirant.

– Twoja reszta człowieka nie wejdzie, ja ci to mówię. – Ugryź syknął, bo nitka zacisnęła się za mocno na palcu. – Przestań się wygłupiać i mów, jakie to wieści przyniosłeś.

– No, dobrą i złą – stwierdził chłopak, nie zmieniając pozycji. – Papier na dobre mi tam utknął.

– Nie wiesz, co było na nim napisane?

– Wiem – przyznał aspirant. – Ale to jest oficjalna ekspertyza, więc...

– Więc przestań robić z siebie żywy dywan i mów wreszcie, czego się dowiedziałeś! Cholera, mój palec! – zdenerwował się Ugryź, bo nitka się urwała. – Jaka jest ta zła wiadomość?

– To nie on, szefie. – Aspirant znów sapnął, wpychając rękę pod szafę aż po pachę. – To nie ten.

– Kto?!

– No, ten... jak mu tam... ten literat... kurczę, utknąłem...

– Mów jaśniej, synu, bo zaraz osobiście wepchnę cię całego pod tę szafę! – krzyknął Ugryź i wstał z miejsca. W tej samej chwili aspirant szarpnął ramię.

Szafa zakołysała się niebezpiecznie, co spowodowało, że jedno skrzydło drzwi się

otworzyło i na leżącego policjanta opadła papierowa lawina.

– To nie pisarz potrącił tego grafomana, jego samochód jest czysty – wybełkotał aspirant, wydostając się spod sterty papierów. – Na masce musiałyby zostać ślady, a w jego aucie nic nie było robione, malowane i takie tam. To nie on.

– Grafologa – poprawił odruchowo Ugryź. – A ta zła wiadomość?

– No właśnie ta zła jest taka, że znów szukamy.

– A ta dobra?

– Że to nie ten pisarz.

Komisarz bez słowa wyszedł z pokoju, starannie omijając rozrzucone papiery.

29 września czwartek, siedziba Maga

Adam Diabeł siedział przy stole i jadł obiad. Obok niego tkwiła młoda dziewczyna, która wypielegnowanymi paluszkami szybko stuknęła w klawiaturę laptopa.

– Teraz on pyta, czy dostanie ten spadek po stryжку – przeczytała dziewczyna. Mag przełknął kartofelka, popił sokiem z czarnej porzeczki i odpowiedział:

– Napisz, że tak. Ale jakaś kobieta będzie przeszkadzać.

Dziewczyna posłusznie wstuknęła odpowiedź. Po chwili znów przeczytała:

– On pyta, jaka kobieta.

– Palaczka. Dużo papierosów pali.

Mag pokroił kotlet na kawałki i dołożył sobie jeszcze surówki z białej kapusty. Dziewczyna wpisała odpowiedź, odczekała chwilę.

– On pisze, że nie zna żadnej palącej kobiety, do spadku powołani są tylko on i jego brat. A ta kobieta to synowa.

Mag znów popił zjedzoną porcję, po czym powiedział:

– Napisz, że czuję dym.

Dziewczyna wstuknęła co trzeba, a Mag mocniej pociągnął nosem.

– Naprawdę czuję dym, coś się pali.

– On pisze, że jego stryjek palił jak smok.

Adam Diabeł podniósł się energicznie, bo pomieszczenie, w którym siedzieli, stopniowo wypełniało się dymem. Mężczyzna podbiegł do czarnej zasłony, odsunął ją szybko i otworzył szeroko okno. Ogień buchnął jak na zamówienie.

– Pali się! – krzyknął Diabeł. – Zrób coś!

– On pisze, że jego stryjek dużo palił, ale już nie pali, bo nie żyje – relacjonowała dziewczyna, idąc za Magiem z komputerem. Zastygła z urządzeniem trzymanym oburącz, bo płomienie obejmowały już cały pokój. – Był nałogowcem.

– Napisz, że lepiej rzucić to świństwo niż się truć – rzekł Mag, krztusząc się. – Ludzie wolą umrzeć niż przestać palić. Napisz mu, że za tysiąc złotych zrobię mu oczyszczenie przed klątwą pokoleniową palaczy.

Dziewczyna ukłękła i kaszłąc, wpisała odpowiedź. Ogień trawił już obie zasłony. Diabeł, nie namyślając się długo, wybiegł na balkon, po chwili pojawiła się tam też dziewczyna.

– On pisze, że nigdy nie palił.

– Odpowiedz, że widzę w kartach okropny stan jego zdrowia, w ogóle całego organizmu, ale klęska nastąpi jeszcze nie teraz, dopiero za jakiś czas on się rozsypie.

Wtedy wskrzeszanie będzie droższe!

- O kurczę! – zawołała dziewczyna. – Straciłam zasięg. Ogień zniszczył router!
- Mimo wszystko postaraj się zawiadomić dzisiejszych kursantów, że zajęcia chwilowo są odwołane z powodu okoliczności od nas niezależnych – powiedział stanowczym tonem pan Diabeł. – Zaliczka nie podlega w związku z tym zwrotowi. Gdzie jest ta przeklęta straż pożarna?! To te cholerne świece!

Wieczorem

Zajęcia z szybkiego bogacenia się, zaplanowane na ten czwartek, odwołano, bo podobno cały lokal wszechmocnego Maga spalił się na popiół. Swoją drogą ogień pasuje do jego nazwiska. Zastanawiam się, czy teraz urządzi swoją magiczną pieczarę w mieszkaniu Roksany. Pewnie niebawem to się okaże.

Pan Przemek poinformował mnie, że wbrew przewidywaniom pani Zosi poznał miłość swojego życia i jest szczęśliwy. I bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ruda piękność wypełni cenny czas pana Przemka swoimi nadprzyrodzonymi wdziękami, dzięki czemu ja uwolnię się od niego raz na zawsze.

Z panią Zosią umówiłam się na jutrzejsze popołudnie. Pragnę ją trochę podpytać w związku z moimi rozterkami i wątpliwościami. Wciąż nie mam poczucia, że jestem na właściwym miejscu i że robię to, co powinnam robić. A może za dużo rozmyślałam na ten temat?

Jurka coś opętało, znów wypytywał mnie o uroki miłosne i ich skuteczność. Czyżby Gabriela była taka oporna na jego zaloty?

Nowe zlecenie: kielichy mszalne, katafalk i gromnice. Jeden taki napisał, że szuka kogoś, kto może je tanio odstąpić. Może skontaktować go z panią Danusią? Jakiś przechodzony katafalk by się może i znalazł, a gromnice można kupić w każdym sklepie z dewocjonaliami. Kielichy także. Ciekawe, do czego mu to potrzebne? Do czarnych mszy?

1 października, sobota

Pani Zosia jest teraz oblegana przez klientów. Niejaki pan Archanioł zleca jej co pewien czas obsługę imprez okolicznościowych, podczas których pani Zosia wróży z kart. Podobno w poniedziałek pracowała na czyichś urodzinach i jubilat dopytywał się, czy odniesie sukces jako pisarz. Z wróżby wyszło, że owszem, i to nawet dość spory. Niestety, będzie to powiązane z jakimiś poważnymi kłopotami, nieprzyjemnościami. Pytający zlekceważył drugą część przesłania i przez resztę wieczoru opowiadał wszystkim o swoim przyszłym potencjalnym bestsellerze. Pani Zosia pewnie puściłaby to mimo uszu, gdyby nie fakt, że mężczyzna podawał jako jeden z wątków swej przyszłej powieści tajemniczą śmierć grafologa, który wszedł w posiadanie wyjątkowo ważnych wiadomości. Stał się w ten sposób niebezpieczny dla pewnego grona ludzi, którzy postanowili na zawsze go uciszyć. Nie pomyśleli jednak, że grafolog zabezpieczył uzyskaną wiedzę, toteż jego śmierć okazała się niewystarczająca.

Po powrocie do domu pani Zosia wywołała wizję, w której zobaczyła mnie i Jurka. Nie udało jej się dowiedzieć nic więcej, bo widzenie znikło.

- Wszystko przez te telefony komórkowe – poskarżyła się, gdy do niej przyszedłam. –

Zakłócają przepływ energii i często zrywa mi połączenie. Ale wiem na pewno, że Rysio został zamordowany. Policja na razie błądzi po manowcach, lecz oliwa wypłyne na wierzch i wszystko się wyjaśni.

– A jaki jest mój udział w tym wszystkim? – zapytałam niespokojnie. Pani Zosia bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie wiem, kochana, ale ta sprawa ciebie też dotyczy. Anatanel powiedział mi, że powinnaś wykorzystywać swój wrodzony talent i rozwijać go. To niedobrze, kiedy człowiek wybiera drogę, która jest bardziej opłacalna ekonomicznie lub po prostu wygodniejsza, zamiast pomnażać otrzymane przy narodzinach talenty. Dostajemy je w darze, dlatego trwoniąc je lub co gorsza, zakopując w sobie, smucimy los. Jakie znaczenie mają wówczas inteligencja czy nabyte umiejętności? Bez talentu stajemy się zwykłymi wyrobnikami, rzemieślnikami, którzy mogą wyłącznie doskonalić coś, co już powstało, ale nie wykreują niczego nowego. A każdy człowiek powołany jest do tworzenia, rozwój wpisuje się w nasze życie, czy nam się to podoba, czy nie.

Nie zapytałam pani Zosi, czy aniołowi chodziło o wróżenie. Sądzę jednak, że to miał na myśli, bo jakież inny talent mogłabym marnować? Lecz jak to pogodzić: niechęć do pracy w charakterze wróżki, która to praca okazała się zbyt wyczerpująca, i wrodzoną umiejętność polegającą na sprawnym odczytywaniu kart?

Pani Zosia powiedziała mi jeszcze, że zbliża się czas próby, ale nie poznałam szczegółów, bo połączenie znów zostało zerwane. Swoją drogą, anioły mogłyby iść z duchem czasu i wynaleźć jakiś sposób na sprawne komunikowanie się z nami mimo tych przeszkód.

Na koniec usłyszałam, że moje duchy opiekuńcze nie pozostawią mnie bez pomocy i że pojawi się ona w najwłaściwszym momencie i w najbardziej adekwatnej formie. No cóż, lepiej wierzyć niż nie wierzyć.

Boluś siadł wczoraj wieczorem na lampie, która ma klasyczny abażur z wyciętym środkiem. Spalił sobie cały ogonek, który zbyt długo dotykał do rozpalonej żarówki. Kiedy Boluś zorientował się w sytuacji, zakrzeczał: „O, szlag!” – i pofrunął na szafę. Woń spalenizny rozniosła się po całym mieszkaniu, co przypomniało mi, że powinnam odwiedzić pana Diabła. Muszę się przecież dowiedzieć, czy będzie prowadził swoją działalność ezoteryczną w mieszkaniu Roksany.

Wieczorem tego samego dnia, fragment maila do Roksany

Diabeł powiesił sporej wielkości szyld na drzwiach Twojego mieszkania, informujący, że mieści się tu instytut odnowy holistycznej. Natychmiast zapukałam, żeby dowiedzieć się, co to ma znaczyć. Otworzył mi pan Adam we własnej osobie i weszłam do środka. Twoje mieszkanie przypomina teraz schron przeciwlotniczy albo piwnicę. Diabeł obił wszystkie ściany czarną tkaniną, a okna szczelnie przysłonił ciemnymi welurowymi kotarami. Nawet ściany w ubikacji pomalował czarną farbą. Wyobraź sobie, że gdy zwróciłam mu uwagę na brak konsekwencji, ponieważ sedes i umywalka pozostały białe, ten gość podchwycił temat i zażądał ich wymiany. Na czarne oczywiście. Stanowczo odmówiłam, na co on zaczął się dziwnie uśmiechać i pleść coś o klątwach pokoleniowych. Jak musi czuć się człowiek zamknięty w takim pomieszczeniu?! Jedyne oświetlenie to świece! Nic dziwnego, że poprzedni lokal mu spłonął.

– Dobro wraca podwojone, ale zło – zwielokrotnione – wysyczał, uśmiechając się fałszywie. – Ja panią proszę po starej znajomości, pani wie, że poniosłem ogromne straty, a pani mi odmawia. Taka krzywda musi wrócić, i to kilka razy.

– Pan mi grozi? – Mój ton był cierpki jak zielone śliwki.

– Tylko ostrzegam. – Diabeł rozczapierzył palce. – Mam duże doświadczenie w tej materii, bo zajmuję się zdejmowaniem klątw. Zawodowo. A pani jest teraz mocno sfrustrowana, niepogodzona z losem, smutna. Jakaż to pożywka dla złej energii!

Uwierz mi, miałam ochotę powiedzieć mu parę słów do słuchu, zwłaszcza na temat złej energii. Pani Zosia bardzo niepochlebnie się o nim wyrażała, kiedy ostatnio u niej byłam i wspomniałam o tym człowieku. Podobno najpierw ją nachodził i wypytywał o różne sprawy z przeszłości, później namawiał na współpracę, która miałaby polegać na tym, że on zagnieździ się w jej mieszkaniu. Pani Zosia uważa, że pan Diabeł to podejrzany typ.

No cóż, zawarłam z nim umowę na wynajem i nawet jeśli ją wypowiem, i tak będzie mógł mieszkać u Ciebie do końca roku. Zapłacił z góry i mimo że mam złe przeczucia, nie mogę mu nic zarzucić.

Na koniec wręczył mi kosztorys prac remontowych, które powinnam przeprowadzić w Twoim mieszkaniu. Tak mnie skołował, że wyszłam i nawet zapomniałam zapytać o tę całą odnowę holistyczną.

Myślę, że dla Jurka byłoby to doskonałe źródło inspiracji. Swoją kolejną powieść mógłby napisać o klanie diabłów z piekła rodem. Pan Przemek mógłby w niej wystąpić jako oblubieniec czarownicy.

2 października, niedziela

Pan Diabeł zorganizował dziś sabat czarownic. Tak to przynajmniej wyglądało. Na klatce schodowej zebrał się tłum rozwrzeszczanych bab, które następnie wypełniły mieszkanie Roksany. Kilku facetów też widziałam, wydaje mi się, że między innymi tego obłąkanego sąsiada, który prześladuje Jurka swoją grafomańską twórczością. Jurek podarował mu już dwie książki z autografem, a ten wciąż nie chce się odczepić.

Nie wiem, co wszyscy ci ludzie robili w tym mieszkaniu, ale co jakiś czas ktoś wybiegał stamtąd z krzykiem, trzaskając drzwiami. Synek i Bu przez cały czas byli niespokojni. Babcia Jurka przestraszyła się, że strzygi przyfrunęły, żeby zabrać ją do piekieł. Twierdziła, że u Roksany umarli wstają z martwych.

Jurek zniknął zaraz po śniadaniu, nie mówiąc nawet, kiedy wróci. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Gabriela przyszła z pretensjami, że klatka schodowa jest zdeptana. Chyba jednak muszę wymówić najem kłopotliwemu lokatorowi, bo nasza spokojna kamienica zamienia się w dom wariatów. Dobrze, że ojciec wyprowadził się do pani Danusi, bo gdyby jeszcze on wtrącił się w to wszystko, skończyłabym w szpitalu psychiatrycznym.

Przyszło mi do głowy, że klient od buta się odczepił. Przypomniałam to sobie, gdy mała Bu odmówiła wyjścia na dwór bez swojego amuletu. Chodzenie z butem pod pachą jest trochę kłopotliwe, ale czego się nie robi dla tej słodkiej istotki. Wcale nie dziwię się Jurkowi, że ją uwielbia. Bu jest malutka, ale dzielna. Gdy pewnego razu jakiś obcy pies zaszedł ją od tyłu, żeby ją powąchać, ta natychmiast wystawiła ząbki, a zaraz

potem schroniła się za wielkim zadem Synka. Fantastycznie razem wyglądają, jak brat i siostra. Szkoda, że nigdy nie poznamy ich historii, bo czasem się zdaje, że mają podobne wspomnienia i wiele ich łączy.

Po południu zaczepił mnie jeden pan, który chyba mieszka niedaleko. Wypytywał o Jurka. Jakiś taki nerwowy. Bronowski. Potem chciał się upewnić, czy Adam Diabeł mieszka w naszej kamienicy. Kiedy przytaknęłam, odwrócił się na pięcie i odszedł. Dziwak.

Jeszcze trzy tygodnie i czeka nas pierwszy wspólny występ przed wiernymi. Chór w nowym wydaniu wykona trzy utwory. Nadal ćwiczymy intensywnie w kościele, bo na plebanii nie skończyli remontu. Jest to lekkie utrudnienie, bo na chórze, gdzie znajdują się organy, jest dość ciasno. Większość próby odbywa się na stojąco, co bardzo przeszkadza mojemu ojcu. On nie może długo stać, zatem co jakiś czas przysiada gdzie popadnie. W ten sposób zgniótł ostatnio okulary pana Wacka i zniszczył zabytkowy klęcznik, który odstawiono na chór jako rupieć.

Podoba mi się ten kościół, gdy jest w nim pusto, cicho i mroczno. Na górę wchodzi się po wąskich, skrzypiących, drewnianych schodach, które prowadzą prosto na antresolę, choć istnieje jeszcze jedno wejście – od strony kruchty. Do jeszcze węższych schodków, które biegną pod kościołem i łączą się z tymi prowadzącymi na chór, prowadzi wąski korytarzyk, który łączy kruchtę, kościół i plebanię. Jest to dodatkowe, podziemne przejście, o którym prawie nikt nie wie. Siostra Joanicja korzysta z niego w niedzielę, w pozostałe dni przejście jest zamknięte.

Idąc takimi tajnymi przejściami – od strony kruchty drzwi do korytarzyka są tak zamaskowane, że nie wiedząc o nich, trudno byłoby się domyślić, że w ogóle istnieją – człowiek czuje się wyróżniony, jakby wtajemniczony w coś niedostępnego dla zwykłych śmiertelników. Któregoś razu zauważyłam w załamaniu owego korytarzyka, w połowie drogi między kościołem a plebanią, coś jakby wnękę i zapytałam o to siostrę. Powiedziała mi, że znajdowało się tam kiedyś przejście do piwnic położonych pod kościołem. Teraz jest zamurowane, bo z piwnic nikt już od dawna nie korzysta. Muszę kiedyś podpytać księdza Rafała albo księdza proboszcza o historię kościoła, tę nieoficjalną, która obejmuje piwnice i wąskie korytarzyki.

4 października, wtorek, mieszkanie ojca Emilii

Gabriela stała przed lustrem i poprawiała plisy na spódnicy. Szczególnie jedna nie pozwalała się ułożyć we właściwy sposób, co doprowadzało dziewczynę do szewskiej pasji. Zegar za jej plecami tykał, odmierzając kolejne sekundy, a złośliwa plisa wciąż nie leżała równoległe do pozostałych.

Gabriela była perfekcjonistką. W jej świecie nie istniały niedomyte szyje, nieuzupełnione cukiernice, sterczące nitki czy niepunktualne spotkania. Wycierała krople wody ze zlewozmywaka, usuwała okruszki z obrusa, ale przede wszystkim trzymała się planu.

Odkąd podjęła decyzję, że zostanie lekarzem i podejmie nierówną walkę człowieka z zarazkiem, realizowała opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan, który po zaledwie dziesięciu latach miał ją doprowadzić do upragnionego efektu. Niestety, najsłabszym ogniwem byli ludzie. Musiała uwzględnić w swoim planie inne jednostki

ludzkie, takie jak chociażby wykładowców na uniwersytecie medycznym, co ogromnie utrudniało wykonanie tegoż planu, ale Gabriela należała do osób wytrwałych i cierpliwych. Szybko się nauczyła, że należy zawsze mieć w zanadrzu rozwiązanie alternatywne, które w razie jakichkolwiek zakłóceń pomoże uniknąć ogólnej katastrofy. Dlatego też nosiła w torebce zapasowy długopis jako alternatywę dla zapasowego pióra, zapasową chusteczkę do nosa jako alternatywę dla zapasowych chusteczek higienicznych, zapasową parasolkę dla zapasowego parasola, który trzymała w teczce, oraz zapasową kanapkę dla zapasowego zestawu śniadaniowego, który codziennie sobie szykowała.

Gabriela idealnie pogodziła pracę w pralni ze studiami. W tych dniach i godzinach, kiedy musiała się stawić na uczelni, pralnia była zamknięta, ale klienci otrzymali możliwość składania zamówień w specjalnym koszu, który został zainstalowany przed wejściem do lokalu. Kosz był tak zamocowany, że paczkę z praniem można było doń wrzucić, ale dało się ją wyjąć jedynie od strony pralni. Nad koszem wisiała specjalna instrukcja pouczająca, jak opisać swoje zlecenie i kiedy można się spodziewać jego realizacji. Gdy Gabriela pełniła swój dyżur w pralni, wszystkie czynności wykonywała schematycznie, niczym robot.

Popołudnia spędzała na doprowadzaniu do czystości mieszkania, które zajmowała, najbliższej okolicy i samej pralni. Wieczorami czytała książki wedle systemu: dziesięć stron obowiązkowej lektury medycznej i dziesięć z książki czytanej dla przyjemności. Jadała na mieście z wyłączeniem kolacji, którą kupowała na wynos i konsumowała w domu, oglądając wiadomości. Wolne dni służyły do weryfikowania planów. Nie myślała nawet o tym, by się z kimś umawiać, zwłaszcza z mężczyzną. Relacja wymagała bliskości, którą Gabriela brzydziła się w największym stopniu. Ta wymiana oddechów, płynów ustrojowych, zarazków! Paskudztwo!

Tego ranka spódnica odmówiła współpracy. Gabriela po raz dziesiąty przesunęła palcem po niesubordynowanej plisie i doszła do wniosku, że pora zastosować rozwiązanie awaryjne. Sięgnęła rękoma do suwaka, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Dziewczyna zastygła w bezruchu, bo tuż nad nieczynnym dzwonkiem napisała, o jakich porach można ją zastać. Zgodnie z tym komunikatem nikt nie powinien się teraz spodziewać, że Gabriela będzie w domu.

Mimo to pukanie ponowiono. Ktoś wyraźnie się domagał, żeby mu otworzono. Dziewczyna zastygła w rozterce. Nierówna plisa absolutnie nie nadawała się, żeby ją prezentować. Z drugiej strony ktoś stał przed drzwiami i pukał, co wytrącało Gabriele z równowagi. Gdy zapukano po raz trzeci, postanowiła otworzyć.

Za progiem znajdowała się jakaś para: kobieta i mężczyzna. Oboje bardzo schludni, co od razu przypadło Gabrieli do gustu, ale też przypomniało ze zdwojoną mocą o skazie we własnej odzieży.

– No, to już jesteśmy – odezwał się mężczyzna. Był to człowiek w wieku około sześćdziesięciu lat, wysoki i szczupły, o pogodnej twarzy; emanowało z niego specyficzne, rozluźniające ciepło. Towarzyszyła mu równie szczupła i elegancka kobieta, trochę młodsza, o włosach ufarbowanych na lekko fioletowy kolor. Jej uśmiech także przywołał na myśl ogień w kominku i wygodne łóżko.

– Aha – wymamrotała Gabriela, usiłując zakryć ręką krzywą fałdę. – Bo ja zaraz

wychodzę.

– Nic nie szkodzi – powiedziała kobieta głosem, który mógłby stopić wszystkie lodowce świata w ułamku sekundy. – Rozgościmy się tymczasem. Nami w ogóle nie trzeba się przejmować.

Dziwni goście weszli i skierowali się prosto do salonu, jakby rozkład mieszkania był im doskonale znany. Usiedli na kanapie i znów uśmiechnęli się do Gabrieli.

– Idź, kochanie, damy sobie świetnie radę – dodała jeszcze miła pani, a Gabriela bezwiednie sięgnęła po torbę i teczkę i wyszła z domu, zupełnie zapominając o krzywej plisie na spódnicy.

5 października, środa

Ruda flama pana Przemka wprowadziła się chyba do tego całego Diabła, bo widuję ją coraz częściej. Jutro odbędzie się zaległa sesja pomnażania pieniędzy. Mag zaczepił mnie dziś rano na schodach i zasugerował, że powinnam uiścić opłatę za jutrzejsze spotkanie. Oświadczyłam panu Magowi, że nie zapłacę, bo uważam, że jest to nieuczciwe z jego strony. Przecież to nie kursanci spowodowali pożar, dlatego więc mają ponosić konsekwencje finansowe? Diabeł krzywił się, jakby wypił ocet siedmiu złodziei, a potem wziął mnie pod rękę i w zaciszu korytarza klatki schodowej konfidencjonalnie przyzwolił, abym uczestniczyła w spotkaniu za darmo. Oczywiście mam to zatrzymać tylko dla siebie, umawiamy się tak po starej znajomości. Już nie mogę się doczekać.

Drzwi mieszkania Roksany nie zamykają się. Nieustający tłum klientów wydeptuje ścieżki do przybytku praktykującego Maga. Ciszę zakłócają nam nawet wieczorem, bo pan Czarnoksiężnik jest niezwykle pracowity i ostatniego klienta żegna dobrze po północy. Gdyby nie fakt, że irytuje mnie czysta do obrzydliwości Gabriela, wróciłabym do wysiadywania godzinek w pralni. Tam jest dużo spokojniej. Jednak kiedy tylko przyjdę, to uosobienie sterylności natychmiast mnie lustruje – i nie daj Boże, żeby jakiś prążek na spodniach biegł nierówno! – następnie Pani Doskonała krzywi się, gdy usiądę nierówno na krześle lub przesunę coś na ladzie. Nawet kwity pralnicze poukładane są równiutko, chronologicznie. Kiedy któregoś dnia zadrżałaby mi powieka, ta cała Gabriela zażądałaby, żeby tak samo zadrżała mi też druga albo niech nie drżą wcale.

Z Jurka też nie ma pociechy. Chodzi jak struty, jeśli w ogóle go widuję. Teraz to ja częściej opiekuję się jego babcią, której stan chyba się pogarsza. Wciąż opowiada historie na zmianę: o diabłach i strzygach, o aniołach i dobrych duchach. Pewnego razu zamknęła się w szafie i nie chciała z niej wyjść, bo uznała, że tam jej nie znajdą. To starsza osoba, może nadejść taki moment, że trzeba będzie poprosić o pomoc Jacka.

W zakładzie pogrzebowym też poruszenie, bo ktoś postanowił skorzystać z oferty zmumifikowania zwłok bliskiego. Wszystko zostało ustalone na sobotę, pozostał jeden szczegół: jaką ceremonię odprawić – mszę świętą czy zwykłą konsolację. Mają naradzić się z księdzem Rafałem.

Z policji żadnych wieści, Roksana także milczy. Czy ona kiedyś wróci? Co się z nią dzieje?

6 października, czwartek

Koń by się uśmieał. I nie tylko koń, Boluś piał ze śmiechu, kiedy relacjonowałam pani Danusi przebieg spotkania u Maga. Ona sama tylko cmokała do słuchawki i powtarzała, że spodziewała się, że tak będzie.

A było tak: na spotkanie w sprawie odprawienia rytuałów pomnażających bogactwa materialne przyszło prawie dwadzieścia osób. Wszyscy trzymali w garści banknoty, bo należność inkasowano przed, a nie po. Następnie zgromadziliśmy się w dużym pokoju, który niegdyś był salonem Roksany, gdzie mistrz ceremonii, czyli pan Diabeł – Mag, wygłosił wykład na temat energii pieniądza.

– Kochani – zaczął pan Diabeł i potoczył miłującym wzrokiem po zgromadzonych – zrozumcie, że możecie mieć takie życie, jakie sobie wymarzyliście. Bogactwo materialne i bogactwo duchowe w żadnym wypadku wzajemnie się nie wykluczają. Człowiek został stworzony po to, by istnieć. Jego powołaniem jest żyć. A życiem należy się cieszyć, korzystać z niego, podtrzymywać je, pielęgnować ciało, by trwało jak najdłużej w jak najlepszej formie. „W zdrowym ciele zdrowy duch” – jak mówi przysłowie. Energia pieniądza jest równie potrzebna jak życiodajna woda. Jak powietrze, jak energia słońca, którą czerpiemy wedle zapotrzebowania. Czy ktoś ogranicza nas w ilości wdychanego tlenu? Energia zawsze istnieje w obfitości i dlatego dużo oznacza dobrze. Dużo oznacza właściwie, dużo oznacza szczęście. Dużo oznacza bezpiecznie. Nadmiar cieszy. Nadmiar jest potęgą!

Nie bój się pieniędzy! Nie bój się je posiadać! Nie bój się ich pożądać! Pozwól im się uwieść! Bogactwo kocha tych, którzy go pragną. Czy to źle chcieć nie odczuwać głodu, chłodu, bólu, niepokoju z powodu braku funduszy? Czy zdobywanie nie jest dążeniem do doskonałości? O wiele łatwiej zdobyć, gdy wyznaczy się konkretny cel. Więc wyznaczcie go w postaci konkretnej sumy, a ona do was przyjdzie!

Później Mag poprosił, aby wszyscy obecni wyrazili jakieś życzenie materialne. Czego pragną, na co ich nie stać, co chcieliby posiadać. Ludzie ujawniali swoje marzenia: ktoś chciał mieć dom z basenem, ktoś inny prywatny odrzutowiec, jeszcze ktoś stajnię koni arabskich. Ja zaproponowałam dobrze prosperujący biznes. Gdy wylaliśmy z siebie nasze pragnienia, Mag zaproponował taniec przy ognisku, który z oczywistych względów stał się tańcem przy kilku świeczkach ustawionych na podłodze. Poleciał też, abyśmy odśpiewali mantrę następującej treści: „Odwołuję wszystkie ślubowania, jakie złożyłem kiedykolwiek, by doświadczyć ubóstwa. W imię Energii Obfitości! Proszę o łaskę bogactwa! Przywołuję Pieniądz do siebie! W imię Światła i Energii Materii! Fortuno, przyjdź!”.

Tańczyliśmy do prostej melodii, jaka towarzyszy dzieciom podczas zabawy *Stary niedźwiedź mocno śpi*. Powtórzyliśmy to sześć razy, a potem Mag powiedział, że każdy z nas może zadać mu jedno pytanie. Jeśli ktoś nie życzył sobie pytać publicznie, istniała możliwość napisania treści na małej, czerwonej karteczce, którą każdemu wręczono, i następnie otrzymania odpowiedzi tą samą drogą.

No i poleciał koncert życzeń.

– Co mnie czeka w tym roku? – zapytała młoda kobieta.

– Czeką cię cesarskie cięcie – odrzekł bez wahania Mag.

– Ależ ja nie jestem w ciąży! – zdziwiła się kobieta.

Mag tylko uśmiechnął się tajemniczo i już udzielał odpowiedzi komuś innemu.

– Tak, wyjdiesz z długów, ale musisz zaufać energii pieniądza i regularnie przychodzić na moje warsztaty. Podniosę ci wszystko, co można podnieść, i zobaczysz, że zyskasz na tym potrójnie.

– Odezwie się, ale jeszcze nie teraz. Za jakieś dziesięć lat.

– Tak, będzie bardzo bogaty, jesteś kochana, w czepku urodzona, bogactwo cię zaleje, zobaczysz.

– Tak, bracie. Kobieta, z którą się rozstałeś, poniesie konsekwencje swojej decyzji, nie martw się, afirmuj!

Na koniec bardzo elegancka starsza pani o włosach zabarwionych na fioletowo zapytała:

– Czy ci, którzy skradli ciało Ryszarda, otrzymają zasłużoną karę?

Mag syknął i oświadczył, że na dziś zajęcia zakończone. Zaraz potem rozpląnął się w ciemnościach.

7 października, piątek, gdzieś na jednej z warszawskich ulic

Komisarz Ugryź i jego asystent prowadzili obserwację. Zatrzymali u zbiegu ulic nieoznakowany samochód policyjny, aby w każdej chwili móc podjąć pościg za obserwowanym, jeśli zajdzie taka konieczność.

Tymczasem interesujący ich człowiek pojawił się na horyzoncie. Zmierzał szybkim krokiem w kierunku zaparkowanych wzdłuż ulicy aut. Zatrzymał się przy ciemnozielonej skodzie i włożył rękę do kieszeni.

Komisarz Ugryź przestał nawijać na palec ciemnoniebieską nitkę, która pruła się nie wiadomo skąd, i zapuścił silnik. W tej samej chwili ktoś zapukał w szybę.

– Dzień dobry, pan nie ma zapiętych pasów, a usiłuje pan włączyć się do ruchu na jezdni – wyrzuciła z siebie jednym tchem okropnie czerwona na twarzy policjantka w mundurze, gdy tylko Ugryź opuścił szybę.

– Co? – zdążył powiedzieć komisarz, kiedy obok dziewczyny stanął potężny policjant.

– No i źle, Kowalska, znowu źle! – ryknął na policjantkę niczym tur w lesie, przez co kobieta zrobiła się wręcz purpurowa. – Jak cię uczyłem?! No jak?! Najpierw się przedstawiasz, potem prosisz o dokumenty i dopiero mówisz, o co chodzi!

Policjantka przełknęła głośno ślinę i wciąż cała w pąsach wydekłamała przez uchyloną szybę:

– Posterunkowa Anita Kowalska, patrol policji drogowej, poproszę o dokumenty, bo nie ma pan zapiętego pasa w czasie jazdy.

Komisarz Ugryź wyszedł z oślepienia dopiero wówczas, kiedy aspirant wychrypiął:

– Ten bydlak rusza!

– Ja wcale nie jadę! – oświadczył Ugryź, włączając pierwszy bieg i naciskając lekko na gaz.

Auto przesunęło się o kilka centymetrów, a policjantka krzyknęła, bliska płaczu:

– Rzuć broń! Padnij! Nie ruszać się, policja!

– No i znowu źle, Kowalska! – wtrącił się policjant spokojnie krocząc za samochodem. – Jak cię uczyłem? Najpierw musisz gościa obszukać, czy nie ma przy sobie niebezpiecznego narzędzia, tak? A ty co robisz? Straszysz pana, i to jeszcze na

niby!

Posterunkowa Kowalska, drżąc na całym ciele, sięgnęła do kabury. To Ugryzia otrzeźwiło na dobre.

– Sierzancie, komisarz Ugryź, prowadzimy tu obserwację i właśnie ucieka nam podejrzany! Może pan łaskawie usunąć z drogi swoją uczącą się koleżankę?!

– Dobra, dobra, znamy te numery – odparł szybko sierżant i wyciągnął z kabury broń. – Wysiadać, na glebę i zamknąć ryje, bo przywałę! Kowalska, skuj ich!

Zdenerwowany komisarz otworzył energicznie drzwi samochodu, uderzając posterunkową, której wypadły kajdanki. Gdy się po nie schyliła, rozległ się trzask rozdieranego materiału i obecnym ukazał się fragment bawełnianych majtek posterunkowej Kowalskiej.

– O kurczę – zawołał aspirant. – Jakim cudem pan to spruł?! Siedząc w samochodzie?

Wyjaśnienie sobie wszystkich okoliczności sprawy zajęło wystarczająco dużo czasu, żeby pościg za obserwowanym nie miał już żadnego sensu. Poszkodowana posterunkowa chlipała ukradkiem w radiowozie, a komisarz uciął sobie krótką pogawędkę z sierżantem. Aspirant udał się do pobliskiego sklepu po bułki i kefir.

– Dostałem ją do przyuczenia – zwierzał się sierżant. – Jej dziadek służył w policji, jej ojciec służył w policji, obaj jej bracia i siostra też służą w policji i wszystko jest, jak trzeba, tylko ona taka niewydarzona. Broni się boi, ciemności się boi, wysokości się boi, tylko ciągle ryczy. Już mi ręce opadają. A jeszcze inspektor nakazał, żeby poprawić statystyki wystawiania mandatów. To wystawiamy za byle gówna. Za krzywy chód, za brzydką minę, za plucie na krawężnik. Myślałem, że ona chociaż z tym sobie poradzi, a tu masz babo placek...

– No tak. – Komisarz pokiwał głową. – Nie ma lekko. My uganiamy się za zaginionym umarlakiem i właśnie nam uciekł jedyny trop.

– Jakim umarlakiem? – zainteresował się sierżant. – Takim nieżywym?

– Skoro umarlak, to raczej nieżywy – przytaknął komisarz z uśmiechem. – Niespokojny duch!

– Brat tej beksy-lali jeździ na patrolu i opowiadał ostatnio, że zatrzymali jakiegoś gościa, który dziwne fanty przewoził, jakieś kielichy, katafalk, trumny. I wszystko zapakowane jak na prezent, a kiedy go zapytali, po co mu to, bo w osobówce wiozł, to od razu przyznał się do trzech zabójstw. Gdyby nie fakt, że jego psychiatra potwierdził, że klient wyszedł ze szpitala dla czubków w zeszły wtorek i nie ma szans, żeby kogoś utłukł, to nasi już by go wzięli na dołek. Ale teraz sprawdzają, czy czubek wymyślił sobie te ofiary, czy naprawdę kogoś zabił.

– Nic o tym nie wiem. – Komisarz był zdziwiony. – Kiedy to było?

– Wczoraj opowiadali, więc to świeże.

Komisarz Ugryź podziękował w duchu, że los zesłał mu jednak posterunkową Kowalską. Czym prędzej dołączył do niej w radiowozie i szybko ustalił, gdzie przebywa jej brat, bogaty w tak ważną dla nich wiedzę.

8 października, sobota

Próba chóru, ćwiczymy w kościele. Nieubłaganie zbliża się ta niedziela, podczas której

uświetnimy nabożeństwo naszym śpiewem.

Siostra Joanicja z anielską cierpliwością powtarza z nami kolejne pieśni, starając się zgrać dwanaście różnych interpretacji tego samego utworu w jedną melodię.

– Uwaga, zaczynamy! – Zakonnica klasnęła w dłonie i zaczęła wymachiwać ramionami. – Na początek rozgrzewka. Musimy się porządnie rozluźnić, żeby lekko się śpiewało. Dlaczego pan nie macha, panie Stanisławie?

– Bo jak machnę, to wybije komuś ząb! – rzucił z irytacją mój ojciec. W istocie, na gorze było dość ciasno. Pani Danusia przesunęła się do przodu, żeby zrobić ojcu miejsce, i niechcący popchnęła stojącą przed nią Jolkę. Ta się zachwiała i z impetem wpadła na balustradę. Drewniana konstrukcja zaskrzypiała.

– Musisz schudnąć – skomentowała zajście pani Kasia. – Kościół się zawali pod twoim ciężarem.

– Odczep się! – warknęła Jolka, ale od balustrady odsunęła się na dobry metr. – Żeby dobrze śpiewać, trzeba mieć czym oddychać!

– Oddychać tak, ale dlaczego inwestujesz głównie w siedzisko? – nie ustępowała pani Kasia. Zanosilo się na kłótnię, więc siostra Joanicja szybko zaproponowała ćwiczenie polegające na prychnaniu ustami, tak jak robi to koń.

– Nie pluj na mnie! Stary świntuch! – oburzyła się pani Bożena, kiedy jej mąż prychnął z całej siły. – Do oka mi napluł!

– To może teraz poklepiemy się po klatce piersiowej – zaproponowała siostra z westchnieniem.

Rozległ się głuchy odgłos poklepywanych ciał. Niektórzy dziwnie przy tym stękali.

– W głowę się poklep, zobaczymy, jak zabrzmi. – Pani Kasia nie przestawała docinać Jolce. Ta popatrzyła na nią spode łba i uderzyła się w pierś z całej siły.

– Jeśli nie zamkniesz tego wymalowanego dzioba, to ciebie zaraz poklepię! – wyszczała.

Pani Kasia pokazała jej w odpowiedzi język, co od razu podchwyciła siostra Joanicja.

– Bardzo dobre ćwiczenie. Uwaga, wyciągamy języki na całą długość.

– Nie pokazuj języka, bo ci krowa nasika – zażartowała Patrycja w stronę Basi, na co Jolka pokazała palcem na panią Kasię. Na to pani Kasia wywaliła jęzor na całą długość i coś jej przeskoczyło w zuchwie, tak że przez dłuższą chwilę nie mogła zamknąć ust, i kręciła szczęką, zupełnie tak, jak robi to krowa, gdy żuje.

– No dobrze, wystarczy. Teraz coś zaśpiewamy. – Siostra odwróciła się, żeby wziąć nuty, i zastygła zaskoczona. Nie od razu zauważyliśmy, co się stało. Każdy grzebał we własnej teczce. Dopiero po chwili zwróciliśmy uwagę na mężczyznę, który stał tuż przy organach, był siwy, około sześćdziesiątki, wysoki, szczupły i bardzo elegancki. Podał siostrze nuty, a następnie stanął obok Adama. Nikt z nas nie miał pojęcia, kim jest przybysz, ale najbardziej zaskakujące było to, skąd on się tu wziął. W jaki sposób dostał się na chór, skoro jedyne przejście – od strony schodów – tarasowali mój ojciec i pani Danusia. Przeniknął przez nich? I przeszedł przez nikogo niezauważony?!

– Witamy. – Siostra Joanicja uśmiechnęła się niepewnie. – Pan chciałby do nas dołączyć?

– Z przyjemnością – odrzekł mężczyzna. – Bardzo lubię wspólny śpiew i jeśli to państwu nie przeszkadza, chętnie dołączę.

– Owszem, przeszkadza – warknął mój ojciec, zanim siostra zdążyła nabrać oddechu.
– Ciasno tu jest, komplet.

– Ja nie zajmę dużo miejsca – stwierdził przybysz z uśmiechem. I tak było, nikt z nas nie przesunął się nawet o milimetr, a mimo to mężczyzna stał swobodnie.

– Jakim głosem pan śpiewa? – zapytała szybko siostra.

– Własnym – zażartował mężczyzna. – Dostosuję się do pozostałych.

Zaśpiewaliśmy. Nie wiadomo, czy to z powodu pojawienia się nowej osoby, czy dlatego, że praktyka czyni mistrza, wszystkie pieśni zaśpiewaliśmy zachwycająco. Piękne brzmienie unosiło się pod sklepieniem kościoła i zwabiło do niego księdza proboszcza. Stał w drzwiach prowadzących do zakrystii i w przerwie między jednym utworem a drugim krzyknął do nas:

– Całkiem nieźle! Nic nie można zrozumieć, ale brzmi ładnie!

9 października, niedziela

Nowy chórzysta pojawił się dziś na mszy w towarzystwie przystojnej starszej pani o fioletowych włosach. Zgłosiła się do pierwszego czytania i zrobiła to w taki sposób, że obecni siedzieli zasłuchani, jakby czytała im najpiękniejsze baśnie świata. Ta para emanuje czymś niezwykłym. Zabawne, bo nawet nie wiem, jak nazywa się nowy członek naszego chóru.

10 października, poniedziałek

Kupiłam los na loterii. Tak, dla żartu, bo nigdy dotąd nic nie wygrałam. Nawet przez myśl mi nie przeszło kojarzyć ten fakt z uczestnictwem w zajęciach u pana Diabła, tym bardziej że nie wypowiedziałam więcej żadnej z przygotowanych przez niego afirmacji. Kupiłam ten los, bo miałam na to ochotę. Losowanie jutro, zobaczymy, czy istotnie pieniądze same do mnie przyplyną.

W interesie trochę większy ruch, ale to nie dziwota. Po wrześniowych przesileniach szkolnych wszystko nabiera rozpędu. W pralni też się bardziej rusza, ludzie przynoszą ubrania i dywany do odświeżenia, kosz Gabrieli pęka w szwach!

11 października, wtorek

Ojciec zakomunikował mi z samego rana, że zamierzają wraz z panią Danusią i Mateuszem otworzyć filię zakładu pogrzebowego. Padła propozycja, żebym poprowadziła ten interes. Podobno klienci walą do nich drzwiami i oknami, sami nie wiedzą dlaczego. No cóż, skoro nadeszły lepsze czasy dla biznesu, to przecież nie ma znaczenia, jaki to jest biznes, prawda? Rozważę propozycję ojca, choć muszę przyznać, że nie podchodzę do niej z entuzjazmem.

13 października, czwartek

Wczoraj nie byłam zdolna, by napisać bodaj słowo, musiałam ochłonać. Wygrałam! Wygrałam na loterii! Nigdy nic nie trafiłam, a teraz od razu główna nagroda! Co ja zrobię z takimi pieniędzmi???

14 października, piątek

Pochwalałam się kilku osobom i mam za swoje. Ojciec chce natychmiast inwestować w filię naszej pralni. Najchętniej zabudowałyby całe miasto zakładami pogrzebowymi i pralniami naszej marki. Jurek napomknął, że gdybym zainwestowała w jego twórczość, nie musiałby się godzić na głodowe stawki proponowane mu przez wydawcę, a zysk dzielilibyśmy po połowie. Pan Przemek orzekł, że to zasługa Maga, do którego on wybiera się w przyszłym tygodniu, ksiądz Rafał napomknął o poszerzonym remoncie plebanii, a siostra Joanicja o nowych organach do kościoła. Jakież obce mi osoby dzwonią lub przychodzą osobiście, prosząc o wsparcie. Na domiar złego pani Zosia przepowiedziała, że wkrótce przekonam się na własnej skórze, że pieniądze szczęścia nie dają. Boję się wychodzić z domu.

16 października, niedziela

Ojciec doniósł mi, że przed kościołem mówiono o mojej gigantycznej wygranej. Plotkarze dodali jeszcze kilka zer i majątek Onasisa to przy mojej nagrodzie skromne kieszonkowe. W sobotę zakłócono próbę chóru, bo kilkanaście osób wtargnęło do kościoła w nadziei, że mnie zastaną. Kiedy okazało się, że nie przyszłam, zdemolowali parę ławek. Chórzyści uciekali tajnym przejściem na plebanię. Co to się porobiło! Podobno plotkują nawet, że to nie żadna wygrana, tylko pieniądze z handlu zwłokami. Znów przyjechała telewizja, pokazywali naszą kamienicę i Gabrielę, która w białych spodniach myła na czworakach chodnik przed wejściem.

17 października, poniedziałek

Nie wychodzę z domu, bo gdy tylko przekroczę próg, napadają mnie sami potrzebujący. Nie jestem w stanie każdego wspierać, poza tym to nie jest mój obowiązek. Kiedy włączam telefon, nie przestaje dzwonić, kiedy zaglądam na pocztę, pęka od wiadomości. Co za przekleństwo!

Dziś zapukała do mnie ta pani z fioletowymi włosami. Przestraszyłam się i nie otworzyłam jej w pierwszej chwili. Potem okazało się, że mieszka ona tymczasem u Gabrieli. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale ona jakoś tak wzbudza od razu zaufanie. Promieniuje ciepłem i spokojem. Wpuściłam ją do środka. Przyniosła mi zakupy, bo w obecnej sytuacji o wychodzeniu z domu nie ma mowy. Gdy w piątek wieczorem wyszłam do pobliskiego sklepu, żeby szybko kupić parę najpotrzebniejszych rzeczy, sprzedawczyni z miejsca zaczęła mi podsuwać kawior i najdroższego szampana.

– Pieniądze szczęścia nie dają, ale każdy chciałby przekonać się o tym na własnej skórze – zażartowała nieznajoma.

Było w jej postaci coś znajomego, swojskiego, co czyni ją bliską, bezpieczną. Podziękowałam za troskę i już po chwili obierałyśmy ziemniaki i rozmawiałyśmy jak dwie przyjaciółki.

– Pragnęłam zdobyć trochę grosza, żeby codziennie się nie martwić, czy zapłacę wszystkie rachunki, czy wystarczy mi na chleb – zwierzałam się lawendowej pani. Nie poznałam jej imienia, ale to zupełnie mi nie przeszkadzało. – Nie zależało mi na wielkim bogactwie, raczej na stabilizacji, dzięki której nie musiałabym obracać po pięć razy każdej złotówki przed jej wydaniem. Ale w moim życiu zawsze pojawiają się takie

skrajności: albo nic, albo wszystko naraz!

– Nasze pragnienia wędrują w przestrzeń i gdy przychodzi pora, są realizowane – odpowiedziała spokojnie pani. – Czasem prosimy o coś, co mogłoby spowodować nieszczęście, czasem o coś, czego tak naprawdę wcale nie chcemy, a czasem o coś, na co w ogóle nie jesteśmy przygotowani. Czy wypowiadając życzenie, zastanawiamy się, co będzie, gdy się ono spełni? Czy przewidujemy wszystkie konsekwencje, czy tylko te przyjemne? Ktoś, kto pragnie być bogaty, nie myśli o tym, że bogactwo to też brzemię, obowiązek, obciążenie.

– Ja nie chciałam być bogata! – zaprotestowałam. – Parę złotych w zupełności by mi wystarczyło. Lub stabilna praca przynosząca dobry dochód.

– Czyli jaka? Praca, która wykonuje się sama? Jeśli człowiek nie włoży wysiłku w uzyskanie jakiegoś rezultatu, dlaczego miałby się go spodziewać? Jeśli rolnik, który zasadził kapustę na polu, nie będzie jej doglądał, dlaczego miałby oczekiwać obfitych zbiorów? I ty też nie byłaś ostatnio zadowolona z tego, co robisz. Nie troszczyłaś się o własne zbiory, dlatego plon był mizerny. Gdy człowiek wykonuje dzieło bez zaangażowania, z poczucia obowiązku lub pod przymusem, nie będzie ono wartościowe ani piękne. Kupiłaś los na loterii i tym samym przyjęłaś na siebie konsekwencję wygranej. Trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje czyny, tak jest sprawiedliwie.

– Co pani zrobiłaby na moim miejscu? Przecież nie mogę żyć w wiecznym strachu!

– Taki śmieszny paradoks, co? – Lawendowa pani uśmiechnęła się ciepło, a mnie przypomniała się moja babcia. Uśmiechała się zupełnie tak samo. – Wolisz teraz swoje poprzednie smutki, bo były niewielkie, znane, oswojone. Tak to już jest: kiedy niewiele mamy, nasze troski są proporcjonalnie mniejsze do tych, które pojawiają się, gdy posiadamy dużo, choć nam się wydaje, że jest dokładnie odwrotnie. Moim zdaniem spektakularną wygraną wyrówna spektakularna przegrana. W przyrodzie musi istnieć równowaga.

– Mam zagrać w kasynie? Na oczach wszystkich sąsiadów? – Prawie zacięłam się w palec. Pani o fioletowych włosach zebrała obrane ziemniaki, zalała je wodą w garnku i ustawiła na gazie. – Przyniosłam gołąbki, które mój mąż wczoraj ugotował. Sos jest po prostu niebiański. Nie, nie chodzi o grę, ale o inwestycję, która się nie powiedzie, co niezwykle dotknie kogoś, kto bardzo chętnie i szybko dzieli się wszystkimi wiadomościami na swój temat.

Sąsiadka odwróciła się do kuchenki, żeby zamieszać w gołąbkach, a ja doznałam nagłego olśnienia. Już wiem, kto zainwestuje moje pieniądze!

– Oczywiście, nie musisz tracić wszystkiego. – Fioletowa pani uśmiechnęła się po szelmowsku. – Wystarczy, że fakt straty będzie odpowiednio uwypuklony.

Po południu, fragment maila do Roksany

No i popatrz, co za paradoks. Wygrałam kupę kasy i teraz będę się zastanawiać, jak ją stracić, żeby odzyskać spokój. Sporo racji ma ta fioletowa sąsiadka: nie miała baba kłopotu, kupiła sobie los. Swoją drogą, czyżby czary pana Diabła rzeczywiście działały? Może jednak coś w tym jest, jego usługi cieszą się ogromną popularnością.

Postanowiłam, że zaproponuję współpracę panu Przemkowi. On zawsze chwali się, że doskonale zarabia, bo jest taki przewidujący i przedsiębiorczy. Nie mam pojęcia,

czym się zajmuje, ale wejdę w ten biznes. Gdy stracę zainwestowane pieniądze, rozgłoszę to na wszystkie strony świata. Ludzie uwielbiają współczuć tym, którym się nie powiodło, bo w duchu mogą się cieszyć, że to nie ich dotknął taki los. Specjalnie zrobię wszystko odwrotnie, niż pan Przemek mi doradzi. Nie mam złudzeń, że nie omieszka powiadomić, kogo się da, iż tak właśnie było!

Zastanawiałam się nad propozycją ojca, może to dobry pomysł z tą filią pralni i zakładu pogrzebowego... Tylko kto będzie doglądał tego interesu, przecież Gabriela nie zostanie z nami na zawsze. Wszystko jednak opiera się na ludziach, nie na pieniądzach.

Jurek jest zły, że nie chcę inwestować w jego książki. Powiedziałam mu, że chętnie to zrobię, ale nie teraz, gdy przewala się to całe piekło. Obraził się. Trudno, niech Gabriela go pociesza.

Ciekawa jestem, w co Ty byś zainwestowała taką fortunę? W centrum szkoleniowe? Mogłabyś sama organizować różne kursy. W Australii niedługo zacznie się wiosna, a u nas jesień żegna nas w pięknym stylu. Od następnego tygodnia mamy spodziewać się śniegu. Pan Pawełek już kopie zapasowe groby, żeby wystarczyło na zimę. Przypomniała mi się historia jednej kobiety, która podobno odmówiła wyjścia za mąż, bo jej zdaniem kandydat nie miał odpowiedniego charakteru. Na jakiej podstawie tak uważała? Bo wybranek oświadczył, że jeśli nie wyjdzie za niego w tym roku, to on się powiesi. Kobieta poinformowała go, że najwcześniejszy możliwy termin ożenku to luty. A ten gamoń się nie powiesił!

18 października, wtorek, szpital dla psychicznie i nerwowo chorych

Jacek czytał w skupieniu dokumentację jednego z pacjentów. Ciężki przypadek schizofrenii w połączeniu z psychozą maniakalno-depresyjną. Zagłębiając się w lekturze, nie usłyszał energicznego pukania do drzwi ani nawet nie zaważył, że te drzwi ktoś otworzył i wszedł do środka.

Goście przedstawili się i zastygli w bezruchu, bo lekarz wciąż czytał.

– Może głuchy? – szepnął aspirant do ucha komisarza.

Ten tylko wzruszył ramionami, pochylił się nad Jackiem i krzyknął na całe gardło:

– Policja!!! Panie ordynatorze, możemy porozmawiać?

Jacek podskoczył i niechcący strącił wszystkie papiery z biurka na podłogę.

– Przepraszam, nie słyszałem, kiedy panowie weszli – powiedział zdezorientowany, nie wiedząc, co zrobić w pierwszej kolejności: pozbierać dokumentację medyczną, podać rękę policjantom czy wyprostować się do końca. Zastygł bowiem w pozycji lekko zgiętej, z prawą ręką ugiętą w łokciu.

Aspirant zareagował pierwszy.

– Tyłozgięcie, moja babcia miała to samo, okropnie boli – rzekł ze współczuciem i delikatnie dotknął palców lekarza.

Komisarz był mniej subtelny. Ucisnął wyciągniętą dłoń po męsku, na co Jacek od razu się wyprostował.

– O, pomogło... – zdziwił się aspirant.

– Coś konkretnego panów do mnie sprowadza? – Lekarz zmienił temat i dla odmiany pochylił się, żeby pozbierać papiery z podłogi. – Jestem trochę zajęty, ale jeśli to coś

pilnego, chętnie pomogę.

– Mamy taką sprawę, panie ordynatorze... – zaczął Ugryź, podczas gdy jego asystent przyglądał się podejrzliwie wyprostowanemu lekarzowi. – Był u pana oddziale pewien pacjent, nazywa się... Broniewski, i ten Broniewski zeznał niedawno, że zabił trzy osoby. Twierdził, że uczestniczył w jakichś czarnych mszach, ubojach rytualnych i tego typu przedsięwzięciach, a podczas jednego ze spotkań poderznął gardło trzem osobom. Z akt sprawy wynika jednak, że nie mógł tego zrobić, bo gdy dokonywał rzekomych morderstw, znajdował się tutaj, i pan to potwierdził.

– Tak, przypominam sobie. – Jacek pokiwał głową. – Trafiają do nas chorzy z różnymi urojeniami, mamy tu królów, bogów, ludzi, którzy twierdzą, że oddychają skrzelami. Ten pacjent, o którym pan mówi, cierpi na uporczywe zaburzenia urojeniowe. Przyjeliśmy go pierwszy raz w połowie lipca. Utrzymał wóczas, że jest członkiem zgromadzenia o nazwie Świątynia Światła i przechodzi kolejne wtajemniczenia, które mają doprowadzić go do uzyskania postaci promienia świetlnego. Chory prezentował także objawy klasycznej bulimii. Potem przyjęliśmy go w sierpniu i ostatni raz ponad trzy tygodnie temu. Przywieziony z poparzeniami, powtarzał, że przeszedł przeistoczenie w światło ognia. Pozostał na oddziale ponad tydzień, bo musieliśmy podgoić jego rany zewnętrzne. Ogólnie nieszkodliwy, choć jeśli te urojenia nasilają się, staje się niebezpieczny dla samego siebie.

Ugryź pokiwał głową w zamyśleniu i zupełnie bezwiednie zaczął nawijać na palec nitkę, którą pociągnął z małego obrusika leżącego na stoliku. Obaj policjanci usiedli w fotelach ustawionych frontem do biurka ordynatora, przedzielonych niedużą ławą pokrytą ozdobnym bieżnikiem.

– Czyli dwudziestego piątego września ten człowiek był tutaj i może pan to stwierdzić ponad wszelką wątpliwość? – upewnił się Ugryź. Jacek przytaknął ruchem głowy, odruchowo zaczął obserwować komisarza. – A czy nie ma takiej możliwości, żeby, dajmy na to, wyszedł na chwilę niezauważony i potem wrócił?

– Nie, otrzymał taką dawkę środków uspokajających, że aby je przezwyciężyć, musiałyby być słońcem. Od dawna pan to ma?

– Co? – zapytał niepewnie Ugryź.

Jacek wskazał palcem na nawijaną nitkę.

– Kompulsję – powiedział spokojnie lekarz. – Zauważyłem, że nawija pan na palec nitkę. Często się to powtarza?

– Bardzo często – wtrącił się aspirant. – Pół komendy jest już poprute.

– Nie mam żadnej kompulsji! – zdenerwował się Ugryź. – Jestem zupełnie normalny i prowadzę dochodzenie w sprawie nieistniejących zwłok. Mamy motyw: zabójstwo na tle religijnym, prawdopodobnie jakaś sekta satanistyczna. Mamy zeznania domniemanego sprawcy, który się przyznał, opisał czynności ze szczegółami, mamy poszlaki w postaci zniszczonego nagrobka, opróżnionej trumny i dziury po wnętrznościach, prawdopodobnie ludzkich, ale nie mamy ciał ofiar.

– Przykro mi, ale domniemany sprawca jest chory psychicznie i nie mówi prawdy. On ma różne urojenia, mógł wymyślić również i to. Tego dnia spał jak dziecko w szpitalnym łóżku i nie ma mowy o pomyłce – oświadczył Jacek. – Kompulsję można wyleczyć zwykłą terapią. Zapraszam, jeśli pan się zdecyduje.

- Dlaczego ten chory nie przebywa w szpitalu na stałe? – zainteresował się aspirant.
- Bo nie stanowi zagrożenia dla nikogo z wyjątkiem siebie – odparł Jacek. – A to oznacza, że musimy go wypisać, gdy osiąga stany pełnej świadomości i stawia takie żądanie. Zwykle chorzy z urojeniami sami prowokują różne sytuacje, w wyniku których trafiają do placówki. To jest takie podświadome zwracanie się o pomoc.
- Rozumiem, bardzo nam pan pomógł – oświadczył Ugryź i podał lekarzowi rękę z nawiniętym na palec wskazujący fragmentem obrusa.
- Jacek uśmiechnął się szeroko i odprowadził policjantów do drzwi.
- Zwykle najbardziej niebezpieczni są ludzie zupełnie normalni i w pełni świadomi tego, co robią – powiedział im na odchodnym. – Wariat jest w gruncie rzeczy dość przewidywalny. Człowiek zdrowy – nigdy.

19 października, środa

Tym razem to ja zatelefonowałam do pana Przemka z samego rana. Odebrał. Zapropnowałam mu spotkanie w dość interesującej sprawie. W pierwszej chwili się zawahał, ale później zgodził się i jesteśmy umówieni na wieczór. Oczywiście u mnie w domu, bo wciąż boję się wychodzić. Emocje związane z wygraną jeszcze nie opadły. Gabriela dostarczyła mi dziś kartkę od niejakiego Janusza Wawrzynowicza, który żąda okrągłej sumki w zamian za informacje, które mogą skompromitować Jurka. Dlaczego nie wysłał tej wiadomości bezpośrednio do Jurka? Co ja mam wspólnego z jego poczynaniami? Może tylko tyle, że babcia bardzo dziwnie się zachowuje i prawdopodobnie trafi na oddział do Jacka. Chętnie towarzyszyłabym jej w drodze do szpitala, ale boję się wyjść.

Ojciec odwiedził mnie dziś po południu i znów poruszył temat utworzenia filii obu przedsiębiorstw. Pieniądze przestałyby być przeszkodą. Pani Danusia przekazała za pośrednictwem ojca nuty do nowej pieśni. Będę więc siedzieć w domu i śpiewać, a w niedzielę, kiedy chór ma wystąpić, połączę się z nimi telepatycznie. Albo poproszę pana Diabła o pomoc. W bilokacji. Stać mnie teraz na takie rarytasy. A Mag triumfuje. Przypisuje sobie łaskę zyskania przeze mnie wygranej i wcale się z tym nie kryje.

Wieczorem

Powiedziałam panu Przemkowi, że chcę zainwestować część pieniędzy z wygranej w jakiś dochodowy interes i oczekuję, że on mi w tym pomoże. Zdziwił się bardzo. Boluś podczas całej rozmowy siedział mu na ramieniu i tak intensywnie kiwał łebkiem, że aż boję się, czy coś mu się od tego nie stało.

Powiedział, że owszem, nie narzeka na brak funduszy, ale pracuje na państwowej posiadzie i nie para się już żadnymi biznesami. Pan Przemek, nie Boluś. Od słowa do słowa okazało się, że pan Przemek to kontroler lotów na stołecznym lotnisku.

– Zarabiam swoje, choć praca nie należy do najłatwiejszych – wyznał, a Boluś potaknął z taką siłą, jakby sam tam pracował i doskonale wiedział, jak to jest. – Latem zbankrutowała firma, w którą inwestowałam. Nie mam zamiaru więcej do tego wracać, przykro mi.

– Szkoda... – rzekłam z westchnieniem. – Nie wiem, co zrobić z pieniędzmi, bo dostaję już pomieszania zmysłów z powodu tej całej sytuacji. Pomyślałam, że gdy

fortuna zmaleje, uwięziona w jakimś przedsięwzięciu, ludzie odzepią się ode mnie.

– To dobry pomysł, ale jeśli zaczniesz pani jeszcze więcej zarabiać, zaciekawienie przerodzi się w nienawiść – ocenił pan Przemek. – Kiedyś pracowałem w prywatnej firmie, która zajmowała się organizowaniem imprez okolicznościowych. Moi znajomi oczekiwali, że zorganizuję im wesela czy imieniny za darmo, po znajomości. Nie interesowały ich zniżki, ale darmoszki. Każdy narzekał, że cienko przędzie, więc za naszą usługę chciał płacić grosze, a potem chwalił się zdjęciami z wakacji na Seszelach. Zwolniłem się z tej pracy i otworzyłem własny biznes, w zupełnie innej branży. Wszyscy mi gratulowali, ale gdy przyszły ciężkie czasy, znów zrobiło się pusto. Więc zatrudniłem się na lotnisku. No i kiedy przyjaciele przekonali się, że nie załatwię im darmowych biletów do Honolulu, to połowa się wykruszyła. Najlepiej powiedzieć, że pieniądze ukradli, wtedy się odzepią. Albo niech pani przeznaczy wszystko na Kościół, ksiądz ogłosi z ambony, że ma filantropkę w parafii, wyznaczy specjalną ławkę w pierwszym rzędzie i honorowe miejsce na cmentarzu. Wtedy ludzie się uspokoją.

Boluś znów przytaknął, a ja uznałam, że to wcale niegłupie, ten dar na rzecz parafii. Na plebanii remont wciąż trwa, trochę pieniędzy na pewno się przyda.

– A jak się panu podoba Mag? – zmieniałam temat. – Był pan na zajęciach z pozyskiwania pieniędzy? Jak widać, działa.

– Guzik prawda. – Pan Przemek się roześmiał, a Boluś mu zawtórował. – Takie bajki dla grzecznych dzieci. Zasadź pieniążek w ziemi, a wyrosnie ci drzewko monetkowe. Ma facet pomysł na biznes i umie go sprzedać, bo naiwnych i chciwych nie brakuje. A pani wygrała, bo każdemu choć raz w życiu przytrafia się taki ślepy los.

– Przecież umawia się pan z tą rudą! – wyrwało mi się.

Pan Przemek od razu zeszywniał, a Boluś spojrział na mnie surowo.

– Zuzanna to bardzo mądra i wartościowa dziewczyna, tylko trochę się pogubiła – oświadczył sucho mój rozmówca. – Pracuje dla tego przebierańca od jakiegoś czasu i w głowie jej się poprzekładało. Pomogę jej się z tego wydostać, bo na to zasługuje!

Boluś tupnął nóżką i energicznie pokiwał głową na te słowa.

– A jeśli się nie uda? – zapytałam ostrożnie.

– To w takim razie nic już nie ma sensu i nie warto żyć – oświadczył pan Przemek.

– O szlag! – podsumował Boluś.

20 października, czwartek

Z samego rana, ubrana w stary płaszcz Marka, mojego byłego chłopaka, kapelusz Roksany i kalosze, zasłonięta okularami przeciwsłonecznymi, choć lał deszcz, udałam się do bankomatu i później na plebanie. Szyję i pół twarzy owinęłam szalikiem. Lewą rękę trzymałam w kieszeni, gdzie spoczywała sporych rozmiarów koperta z ceną zawartością. Drzwi na plebanie zastałam zamknięte, weszłam więc przez kościół. Podążając znanym sobie korytarzem, dotarłam na miejsce i ujawniłam się w momencie, gdy księża siedzieli przy stole i konsumowali śniadanie.

– Sęś oe – wybełkotałam przez szalik. – Osam penądze!

– Nie trzymamy żadnych pieniędzy na plebanii! Wszystko jest w banku! – wykrzyknął ksiądz proboszcz, a ksiądz Rafał odruchowo się przeżegnał.

Gospodyni nie czekała na nic więcej, tylko złapała tłuczek do mięsa i ruszyła na mnie

z krzykiem:

– Ty bydlaku! Ty morderco! Kościół przyszedłeś okradać, łajzo jedna! Ja ci pokażę! – Ruszyła na mnie z takim impetem, że niewiele się zastanawiając, zrobiłam obrót na gumowej podeszwie, która ostro zapisała, i rzuciłam się w stronę wyjścia.

W korytarzyku mało co widziałam, bo było tam ciemno, a na moim nosie wciąż tkwiły te przeciwsłoneczne okulary. Skręciłam w niewłaściwą stronę i zamiast w kościele znalazłam się w piwnicy, czy raczej w podziemiach położonych tuż pod świątynią. W ciemnościach nie zauważyłam otwartego wjazdu, który prowadził jeszcze głębiej, i wpadłam tam jak jabłko do kosza. Na szczęście upadłam na coś miękkiego. Chwilę po mnie do dziury wleciała gospodyni z tłuczkiem i obaj księża, jeden po drugim. Na koniec wpadło dwóch robotników, którzy usłyszeli krzyki i przybiegli z czystej ciekawości.

Kotłowaliśmy się przez chwilę na tym miękkim czymś, a ja zgubiłam przy okazji okulary i jeden kalosz. Gdy udało mi się wreszcie wyswobodzić z tej płataniny ciała, a wzrok nieco przywykł do ciemności, pomacałam to coś, na co wszyscy po kolei wpadaliśmy. Faktura wydawała się znajoma. Miękkie, dość zimne, trochę chropowate, raczej suche jak pergamin...

– To ludzka skóra!!! – wrzasnęłam nagle na całe gardło. – Tutaj leży nieboszczyk!

Po południu, fragment maila do Roksany

Pan Ryszard się odnalazł. Co prawda tylko w postaci zabalsamowanej skóry, ale zawsze. Policja przypuszcza, że wnętrzności, które znaleźli jakiś czas temu, dopasują do niego. Zatem jedna zagadka rozwiązana. Pozostaje tylko pytanie, w jaki sposób i dlaczego nieboszczyk tam się znalazł. Oględziny miejsca ujawniły, że w krypcie pod piwnicą kościoła urządzano czarne msze satanistyczne. Ksiądz proboszcz omal nie dostał zawału serca. Policja sprawdza teraz ślady.

Przekazałam księdzu Rafałowi kopertę z pieniędzmi. Dzięki tej kwocie wyremontują nie tylko plebanię, ale też prezbiterium i ołtarz. Obiecałam przynieść drugą kopertę z odpowiednią kwotą na remont organów. Nie wiem, jak to się stało, ale wieści o mojej filantropii zaraz się rozeszły i teraz ludzie kłaniają mi się z szacunkiem. Krążą plotki, że przekazałam na kościół całą wygraną i jeszcze trochę swoich oszczędności.

Pan Rysio zostanie skremowany w poniedziałek, żeby jego woli stało się zadość. Policja do tego czasu zabezpieczy wszystkie ślady. Podobno znaleźli na ciele jakieś znaki, które pozwolą zidentyfikować sprawców.

Babcię Jurka trzeba nieodwołalnie umieścić w zakładzie. Na razie u Jacka, potem coś się wymyśli. Już drugi raz nam uciekła, a potem twierdziła, że strzyga kazała jej to zrobić. Nie można jej upilnować. Babci, nie strzygi. W poniedziałek pojedę z Jurkiem do szpitala.

Tyle się dzieje, a Ty nudzisz się w australijskim buszu. Wracaj do nas, jak widzisz, atrakcji tu nie brakuje!

23 października, niedziela, kościół parafialny

Ksiądz Rafał zajął miejsce w konfesjonale. Do rozpoczęcia mszy pozostało jeszcze parę minut, ludzie w ciszy zajmowali miejsca. Spowiednik siedział skupiony, ale penitentów

brakowało. Wraz z dzwonkiem pojawienia się celebransa i rozpoczęcia mszy ksiądz przypomniał sobie, że nie zamknął okien w pokoju na plebanii. Zima przyszła w tym roku wcześniej, w ciągu dnia popadywał już śnieg z deszczem, a wieczorami śnieg. Duchowny otworzył więc drzwiczki konfesjonału, rozejrzał się dyskretnie, czy nikt się nie zbliża, zdjął stulę, którą pozostawił w środku, i szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi prowadzących do tajnego korytarzyka. Zamierzał dostać się tą drogą na plebanie. Kilka minut później siostra Joanicja zauważyła uchylone drzwi do przejścia i wchodząc na chór, zamknęła je na klucz. Później usiadła przy organach.

Janusz Wawrzynowicz wszedł do kościoła, po czym od razu skierował się w stronę konfesjonału. Ucieszył się, że nikt przy nim nie klęczy, od dwóch dni bowiem dręczyło go sumienie. Nie mógł spać w nocy, bo wciąż śniły mu się koszmary. Tego ranka obudził się cały zlany potem, przekonany, że ostatniej doby ukatrupił setkę ludzi, którym powyrywał serca i wątroby, by następnie podać je we własnej restauracji jako przystawkę. Daniem głównym był on sam, opiekany wolno na ruszcie. A wszystkiemu przyglądał się zmartwychwstały pan Ryszard, który powtarzał, że przyjdzie kryska na Matyska i że grafomanię należy karać galerami i torturami.

Wawrzynowicz ukląkł, przeżegnał się szybko i nie czekając na sygnał spowiednika, rozpoczął swój monolog:

– Bardzo zgrzeszyłem, bo teraz nawiedzają mnie koszmary. Chciałem być sławny, napisać świetną powieść sensacyjną albo kryminał, ale nie mogłem znaleźć tematu. Zacząłem śledzić różne osoby, żeby znaleźć inspirację. Śledziłem jednego pisarza, który wydał fantastyczną opowieść o wampirach, i nawet zapisałem się do takiej organizacji, żeby zwiększyć swoją moc oddziaływania. Przyznaję, że zapłaciłem za przeprowadzenie pewnych rytuałów, ale to wszystko była tylko zabawa. Tamten człowiek na schodach powiedział, że zbrodnia doskonała istnieje, że można w całości zapanować nad kimś, zniewolić go, pozbawić sumienia i świadomości. Wszystko słyszałem i wszystko to jest moim udziałem. To ja byłem, to ja jestem potworem. Teraz tego żałuję. Wszystko się wokół mnie wali, nie wiem, co robić, nie mogę stracić twarzy, bo to mnie zrujnuje!

– Nie martw się, skrucha to twój pancerz, bo Pan nie zostawia nigdy swoich dzieci, które w pokorze proszą o pomoc. – Głos, który płynął przez kratki konfesjonału, był ciepły i kojący. – Źle postąpiłeś i musisz ponieść konsekwencje swojego czynu, ale miłosierdzie Boże polega na tym, że każdy dostaje drugą szansę.

– Czy to oznacza, że muszę stracić pracę? – przestraszył się Wawrzynowicz. – Mogę zapłacić za szkody!

– Pieniądze nie zrekompensują wszystkich strat – odparł głos. – Śmierci człowieka nie można odkupić mamoną. Pieniądz to narzędzie, które służy złemu i dobremu, to człowiek dokonuje wyboru. Twoja ambicja i twoje rozdęte ego w połączeniu z pieniędzmi sprowadziły cię na manowce. Dlatego należy pozbyć się przyczyny, by uniknąć w przyszłości takich samych konsekwencji.

– A nie można tak chociaż trochę łagodniej? – nie ustępował Wawrzynowicz. – Ja już odwołałem te rytuały i klątwy i nie chcę więcej!

– Co się stało, to się stało – orzekł głos. – Nie zatrzymasz lawiny, która stacza się z gór, nie powstrzymasz padającego deszczu. Krzywda wymaga naprawienia, a zbłąkana dusza musi odczuć ból wstydu i odkupić swe winy poprzez wysiłek. Ale nie

martw się, grzechy będą ci odpuszczone. Zaznasz spokoju, o ile zmienisz swoje postępowanie i sposób myślenia.

– Jeśli się poddam, stracę twarz i pójdę do więzienia. Stracę dobre imię, wszystko. Nic mi już nie zostanie, więc po co mam to robić. Jeśli wyjdę po kilku latach, do czego wrócę? Kim będę?

– Zastanów się, o co walczysz – upomniał go głos. – O swoją duszę czy ciało? Twoje życie już legło w gruzach, nie masz nic poza iluzją. Prędzej czy później przekonasz się o tym. Ale pamiętaj, nic nie trwa wiecznie, wszystko przemija, jednak Pan sprzyja pokornym, a pysznych niszczy.

Głos zamilkł, a Wawrzynowicz wstał i się oddalił.

W tym samym czasie ksiądz Rafał nadaremnie walił pięściami w drzwi i wołał o pomoc. Donośny głos proboszcza słyszalny był nawet w piwnicy, a siostra wybrała na tę mszę wyjątkowo lubiane przez wszystkich pieśni, więc nikt się nawet nie domyślał, że dwa metry niżej pozostaje uwięziony duchowny.

Ksiądz Rafał przestał wołać, zawrócił korytarzem w miejsce, gdzie powinno być przejście na plebanię, ale i tu zastał zamknięte drzwi. Zastanawiał się przez chwilę, po czym ruszył po omacku w kierunku odkrytego niedawno wejścia do krypty. Przypomniawszy sobie, że policjanci wynosili stamtąd odnalezione przedmioty, nie przechodząc przy tym ani przez kościół, ani przez plebanię. Musiało więc istnieć jakieś niezależne wyjście. Duchowny ruszył na poszukiwania. Całe zadanie znacznie utrudniał fakt, że siostra zgasiła światło, toteż kilkakrotnie zawracał, bo zatrzymywał się na ścianie. Na szczęście dla księdza kościół był nieduży, a piwnice w niczym nie przypominały labiryntu Minotaura.

Nagle ksiądz natrafił nogą na dziwną nierówność w podłodze i zamiast uklęknąć i sprawdzić, co to jest, zrobił krok. Wpadł do środka i zbił kolano. Upadając, zahaczył o coś sutanną, która rozdarła mu się na plecach. Ksiądz Rafał podniósł się, otrzepał, pomasował bolące miejsca i rozejrzał się wokół siebie, o ile macanie ścian i poruszanie się po omacku można nazwać „rozglądaniem się”. W pewnej chwili dotknął czegoś, co skojarzyło mu się ze świecą, zaczął więc przeszukiwać dokładnie to miejsce w nadziei na znalezienie zapalek. Nie zawiódł się. Pudełko leżało całkiem niedaleko. Ksiądz Rafał zapalił świecę i przyjrzał się uważnie otoczeniu. Miejsce, w którym się znajdował, policja ogołociła z pozostawionych tu przedmiotów, jednak na ścianach zobaczył namalowane mazepy, wiszące do góry nogami krzyże i różne inne symbole satanistyczne. Duchowny przeżegnał się i zaczął szukać wyjścia. Nie było to łatwe, bo w krypcie świeca co chwila przygasła i stale się o coś potykał. Obszedł całe pomieszczenie dookoła i nic nie znalazł. Co gorsza, nie potrafił też wypatrzeć dziury w suficie, przez którą tu wpadł. Choć starał się nie panikować, czuł wyraźnie szybsze uderzenia własnego serca. Ksiądz Rafał utknął na dobre.

24 października, poniedziałek

To smutne i przygnębiające, gdy odwozi się do szpitala bliską osobę, mając świadomość, że nie jest to wizyta jednorazowa ani chwilowe pogorszenie stanu zdrowia. Babcia Jurka od dawna cierpi na demencję i sklerozę, a teraz doszły jeszcze te urojenia. Nie jest wprawdzie niebezpieczna, nikomu nie ubliża, ale wymaga opieki

przez całą dobę. Jurek zawałił ostatnio kilka spotkań autorskich, wydawca zagroził, że zerwie z nim umowę, tłumaczenie się ślimaczy, jednym słowem miłość do Gabrieli wcale mu nie służy, lecz nie mogę z tego powodu odwracać się od niego.

Jednakże nie jestem też w stanie przejąć całodobowej opieki nad jego babcią. Wystarczyło, że wyszłam na chwilę z psami na dwór, a ona już uciekła z domu. Gdyby nie starsi państwo, którzy pomieszkują u Gabrieli, nie wiem, czy szybko bym ją odnalazła. Na szczęście wracali właśnie ze spaceru i zatrzymali babcię, która w kapciach i podomce wychodziła na zewnątrz. Zaproсили ją na kawę do mieszkania Gabrieli, a gdy babcia rozgadała się na temat syren, które widziała wieczorem w wannie, lawendowa pani przyszła, żeby mnie o wszystkim zawiadomić.

Starość przybiera różne postaci. Czasem jest infantylna, czasem ciepła i pachnąca, a czasem bardzo uciążliwa i przykra. *Starość jest ceną, którą płacimy za doświadczenia*, jak pisał Staff. Jakie doświadczenia zebrała babcia Jurka? Co jeszcze ją czeka i nas razem z nią?

Jakie to szczęście, że Jacek jest ordynatorem i może pomóc, przynajmniej doraźnie. Później Jurek postanowi, co dalej. Czy przyjmie kogoś do całodziennej opieki nad babcią, czy umieści ją w zakładzie. To zawsze jest trudne.

Wieczorem

Ksiądz Rafał gdzieś zniknął. Podobno zostawił płaszcz, ciepłe buty, wszystkie swoje rzeczy i zapadł się pod ziemię. Dziwne. Jurek odwiedził babcię w szpitalu. Zaprzyjaźniła się z jakimś facetem, którego też dziś rano przyjęli. Podobno prawdziwy wariat, ale nieszkodliwy. Od czasu do czasu wraca do szpitala. Oboje plotą o tym samym, więc Jacek pozwala im ze sobą rozmawiać. Dobrze i to, bo babcia chyba nawet nie zauważyła, co się wydarzyło.

25 października, wtorek

Księdza Rafała wciąż nie ma, zastanawiam się, gdzie on mógł się podziać. Pani Zosia zadzwoniła i powiedziała mi, że zgłosił się do niej jakiś facet, który utrzymuje, że zapłacił za wskrzeszenie Rysia. Musztarda po obiedzie, bo pana Rysia wczoraj skremowano. Ksiądz Rafał miał poprowadzić mszę za duszę zmarłego, ale przepadł i zrobił to proboszcz. Mówił przez dobre pół godziny o oddanej rodzinie osobie, która zapracowała się na śmierć, chcąc ułatwić ziemski żywot swoim ukochanym. Z tego, co wiem, Rysio nie mają dzieci, może więc na księdza proboszcza spłynęła jakaś wiedza tajemna albo pomylił nieboszczyków. Nieważne. Rysio spoczywa w spokoju we własnym grobie, we własnej urnie, w charakterze prochu marnego. Wskrzesić się go nie da i basta.

Może ten gość też powinien trafić na oddział do Jacka? Pani Zosia twierdzi, że był bardzo nerwowy i prosił o uwolnienie go od klątw, które go prześladowają. Ciężka sprawa.

26 października, środa

Policja ujawniła, że ślady na ciele pana Rysia to znaki satanistyczne: znak Konfucjusza,

Krzyż Atlantów i przeplatana wstęga oraz runy: Sowilo i Fehu. Nie wiadomo jeszcze, kto ukradł zwłoki, umieścił je w krypcie i kto się tam pojawiał, ale policja jest na tropie.

Przyszło mi do głowy, że podobne znaki widziałam na plakatach wiszących w mieszkaniu zajmowanym przez pana Diabła. On też gdzieś przepadł, nie widziałam go od kilku dni. Pan Przemek również się nie odzywa.

Gabriela poprosiła o parę dni wolnego tuż przed świętami, bo chce pojechać do rodziny. Czasu jest jeszcze dużo, ale ona lubi wszystko doskonale zaplanować.

Jurek natomiast przesiaduje w mieszkaniu i nie chce z nikim rozmawiać. Nie wiem, co się dzieje. Martwię się o niego, ostatnio bardzo zmizerniał.

Kiedy odwiedziłam w szpitalu jego babcię, powiedziała mi, że archanioły czuwają nad nim, toteż mogę spokojnie sobie śpiewać w tym anielskim chórze. Facet, który z nią rozmawia, uciekł na mój widok. Owszem, miałam na sobie starą kurtkę, wypchane na kolanach spodnie i sweter w paskudnym kolorze, ale to jeszcze nie dowód na to, że jestem strzygą. Jednak co fakt, to fakt. Zaniedbałam się, muszę coś z tym zrobić.

Moja firma znów zamieniła się w firemkę. Pojawiają się zwyczajne zlecenia w stylu: szukam miłej, ładnej, uczciwej i gospodarnej żony, szukam współnika do interesu, najchętniej z okazałym portfelem i wiedzą oraz mało wtrącającego się. Poszukiwane są ponadto ciepłe kurtki na zimę i ozdoby choinkowe, czyli standard – nic ciekawego, ale interes się kręci.

29 października, sobota

Ksiądz Rafał się odnalazł. Stało się to jeszcze w czwartek, ale dopiero dziś poznałam okoliczności całej sprawy. Podobno zagubił się w kościelnej piwnicy i wpadł do krypty, w której znaleziono ciało pana Ryszarda. W zamknięciu przesiedział trzy doby i doznał w związku z tym lekkiego szoku. Tak ocenił to lekarz i zlecił obserwację na oddziale psychiatrycznym. Być może ksiądz uderzył się też lekko w głowę. Świadczy o tym powtarzany przez niego komunikat, że doznał objawienia. Biedny Jacek, jak tak dalej pójdzie, to szpital zapelni się jego znajomymi i wtedy ktoś postawi mu zarzut o nepotyzm i korupcję.

Wizja księdza Rafała dotyczy końca świata, który zbliża się siedmiomilowymi krokami, oraz przepowiedni, jak tego uniknąć. Tym razem zadanie jest bardzo proste: należy wrócić do korzeni, czyli przypomnieć sobie, kim jest człowiek i po co Bóg go stworzył. No i przede wszystkim, że istota ludzka jest wtórna wobec swojego Stwórcy, nie może więc mu dorównać.

Interesująca sprawa. Siostra Joanicja przegadła z nami prawie całą próbę. Niesłuchanie przejęta, ze łzami w oczach usiłowała przypomnieć sobie, co dokładnie mówił ksiądz i w jaki sposób to robił. Zmieniała więc modulację głosu w trakcie wypowiedzi, przewracała oczami i czyniła między zdaniemi spore pauzy.

Adam, który przyszedł spóźniony i nie wiedział, co się dzieje, przestraszył się, że siostra zwariowała. Uznał, że słyszała nasze wykonanie psalmu i nerwy jej puściły. A gdy zakonnica nagle przerwała przekaz i wydała z siebie krótką komendę: „Dobrze, śpiewamy. Dwa głosy proszę!”, zapytał szeptem, dlaczego tylko dwa i czy pozostali

członkowie chóru zostali wyrzuceni na zbity pysk.

Uspokoiliśmy go, że nic takiego się nie stało, nadal razem śpiewamy, za trzy tygodnie występ, a siostra po prostu opowiadała o przeżyciach księdza Rafała w piwnicy.

– No proszę – powiedział w zamyśleniu Adam, patrząc gdzieś w dal. – Niby taki sobie zwykły chór parafialny, a dzieje się, jakby wszyscy byli tajnymi agentami pod przykrywką...

Jestem ogromnie ciekawa, co zobaczył lub usłyszał ksiądz Rafał. Jutro pojedę z wizytą do babci Jurka, to może z nim porozmawiam. Wedle relacji siostry Joanicji wysłannik z niebios był kobietą i miał fioletowe włosy!

30 października, niedziela, fragment maila do Roksany, pisany w ciągu dnia o różnych porach

Do szpitala pojechałam razem z Jurkiem. Wygląda strasznie i moim zdaniem to on, a nie jego babcia, powinien się tam ulokować. Gdy spytałam go, co się dzieje, odburknął tylko, że sam nie wie. Od jakiegoś czasu ogromnie za czymś tęskni, nie może spać z tego powodu i w ogóle jest mu źle. W jego obecności zatelefonowałam do pani Zosi i umówiłam go na spotkanie. Pani Zosia pracuje dziś podczas imprezy andrzejkowej, organizowanej przez pana Archaniola. Pojedziemy do niej i Jurek porozmawia z nią w przerwie.

W szpitalu natknęliśmy się na tego całego Wawrzynowicza. Też tu trafił po tym, jak domagał się w sklepie z mięsem ofiary całopalnej. Gdy Jurek go zobaczył, odżył na chwilę, a na jego twarzy natychmiast pojawiły się rumieńce. Jednak zaraz potem ogarnęło go takie przygnębienie, że do końca wizyty nie odezwał się ani słowem.

Babcia czuje się dobrze. Zaprzyjaźniła się z jednym panem, który opowiada o okultyzmie i praktykach szamańskich, jakby to były zwykłe sprawy. Wspominał też coś o pojawianiu się równocześnie w kilku miejscach. Gdy się pojawiłam, od razu zniknął. Przepadł gdzieś, jakby się mnie bał. Dziwny człowiek.

Babcia Jurka powtórzyła mi, co wygadywał wcześniej. Podobno jest stałym bywalcem różnych satanistycznych zebrań, w czarnych mszach uczestniczy dość regularnie, przestrzega skrupulatnie wszystkich przykazań z czarnej księgi i należy do Stowarzyszenia Światła. Daj mu, Panie Boże, zdrowie, tylko czemu tu jest? Zdaniem babci dlatego, że naraził się strzygom i diabłom, które go prześladują, a zdaniem lekarzy, dlatego że cierpi na schizofrenię i psychozę. Babcia znów powiedziała, że diabły boją się wariatów, bo są oni zbyt nieprzewidywalni. Jednego dnia wierzą w to, drugiego w coś innego. Bardzo łatwo nimi manipulować i mocem ciemności nie chce się tak stale przy nich siedzieć i ich pilnować. Za dużo roboty. Może coś w tym jest.

Babcię wypiszą do końca tygodnia. Jacek twierdzi, że demencja starcza, na którą babcia cierpi, nie jest niebezpieczna, nie może zatem przetrzymywać jej w szpitalu. Na szczęście pomógł Jurkowi znaleźć miejsce w specjalnym domu opieki dziennej. Jurek będzie tam zawoził babcię rano, a wieczorem odbierał, żeby mogła przenocować w domu.

Później

Ksiądz Rafał wrócił już na plebanie, minęliśmy się. Postaram się porozmawiać z nim jutro. Teraz jedziemy do pani Zosi.

Jeszcze później

Gdy przyjechaliśmy, pani Zosia wywoływała wizję dla jednej pani, która bardzo chciała wiedzieć, czy jej zmarły mąż jest szczęśliwy. Kiedy pani Zosia zaczęła roztaczać wizję rajskiej krainy, w której szanowny zmarły małżonek otoczony jest haremem młodych kobiet, pytająca uciekła z płaczem.

– Pytają, a nie przewidują, że odpowiedź może być niezgodna z oczekiwaniami – skwitowała sytuację pani Zosia.

Musieliśmy przeczekać jeszcze jednego pana, który dopytywał się, czy jego była dziewczyna, którą rok temu pobił na śmierć, jeszcze o nim myśli i co. Pani Zosia miała z tym niemały kłopot, bo nie używa brzydkich słów, które pojawiły się w przekazie dla klienta.

Wreszcie przyszła kolej na Jurka.

– Ciebie ktoś z czarował – oświadczyła po głębokim namyśle pani Zosia. – Urok ktoś na ciebie rzucił. Bardzo mocny. Nie wiem, czy dam radę go zdjąć.

Jurek pobladł, a ja zapytałam, jaki to urok.

– Miłosny oczywiście – oświadczyła pani Zosia. Wzięła Jurka za rękę i znów się zamyśliła. – Mocne spętanie, obezwładniające duszę i ciało. Rytuał przywrócenia partnera połączony z afirmacją. Runy widzę. Ten ktoś nosi przy sobie runy Gebo, Ehwas i Wyrd z afirmacją, by przywiązać cię do siebie na wieki. Należy odnaleźć tę osobę, odebrać jej graficzne odwzorowanie run i spalić je.

– Jak to zrobić? – zapytałam, bo Jurkowi odjęło mowę.

– Nie wiem, to bardzo silna więź, ktoś korzystał z czarnej magii, na którą moje umiejętności są za słabe. – Pani Zosia pokiwała głową. – Może wróżka księżycowa pomoże, one korzystają z białej magii.

– A gdzie znaleźć taką?

– Nie wiem – odparła pani Zosia. – Ale wiem, że ty wiesz. Szukaj, to znajdziesz. Ja nie mogę.

Wróżka księżycowa. Oby się taka zgłosiła na ogłoszenie zamieszczone na moim portalu! Zapytałam jeszcze panią Zosię, co się stanie, jeśli nie uda mi się znaleźć wróżki księżycowej i Jurek nie uwolni się od tych czarów.

– Umrze z miłości – rzekła pani Zosia z westchnieniem. – Serce mu pęknie, bo jego pragnienie nie zostanie zaspokojone. Musisz ją odnaleźć.

Późnym wieczorem

Umieściłam więc ogłoszenie, że poszukuję wróżki księżycowej, i czekam. Na szczęście Jurek odnajduje ukojenie w pisaniu. Nie chce powiedzieć mi, co pisze, ale zawsze to jakieś zajęcie. Może powinnam kupić nowe karty, żeby się ich poradzić? Sama już nie wiem, co zrobić.

2 listopada, środa

Ksiądz Rafał jeszcze przed świętami pojedzie do Watykanu. Biskup uznał, że jest to niezwykle uzdolniony i inteligentny człowiek i należy dać mu szansę na rozwój. Co do samych wizji, ksiądz Rafał obiecał, że ujawni je wszystkim podczas swojej pożegnalnej mszy. Chór na tę okoliczność przygotowuje specjalny występ. No cóż, musimy się uzbroić w cierpliwość. Tymczasem do konfesjonału, w którym zasiada, ustawiają się całe kolejki wiernych.

Pani Danusia stwierdziła, że nie warto ogłaszać, że mumifikujemy zwłoki, bo najczęściej przychodzą właściciele zdechłych gryzoni, którzy chcą zachować swoich pupili na zawsze. Po ostatnich przygodach całkowicie ją rozumiem. Zrealizowali dotąd tylko jedno takie zlecenie i nie chcą robić ich więcej. Dziewczyna, którą zaproponowała Gabriela, zemdląła podczas wbijania skalpela w ciało i ostatecznie pan Pawełek i Mateusz zabandażowali szczelnie zwłoki, zrobili odlew gipsowy na wzór starożytnych płaskorzeźb i wmówili obecnym, że odprawiają ceremonię pogrzebową jak za dawnych faraonów. Na szczęście klienci nie zorientowali się, że to była zwykła szopka.

Mój ojciec podsumował to tak:

– Pomysłowość w pracy to cenna rzecz, ale pewne rzeczy powinny pozostać niezmiennione. Moda może skracać i wydłużać kiecki, lecz w ostatniej posłudze nie potrzeba udziwnień. Niech żywi bawią się w wywoływanie duchów, dziwaczne ceremonie i obrzędy, ale od zmarłych wara. Każdemu należy się po śmierci święty spokój.

3 listopada, czwartek

Zaskakujący zwrot w sprawie wypadku z udziałem pana Rysia. Pomógł nieoczekiwanie sam pan Przemek. Pojawił się dziś u mnie z pytaniem, czy umiem zdejmować klątwy z ludzi. Matko kochana, czy na tym świecie nie ma innej wróżki?

Odpowiedziałam, że na razie nie, ale się poduczę. Pan Przemek poburczał coś o lenistwie i arogancji niektórych osób oraz coś o niewdzięczności i braku troski o bliźniego. Udałam, że nie słyszę. Gdy już wychodził, potknął się o but małej Bu.

– O! But z cielej skóry! – zawołał i spojrzał na obuwie, jakby to był czternastokaratowy diament. Bu na wszelki wypadek zawarczała, a Synek ustawił się obok niej w pozycji wyczekującej. – Kolekcjonuje pani buty?

– Nie, on należy do Bu – odparłam, bo życzyłam sobie, by już poszedł. Mój komunikat, bardzo lakoniczny – muszę przyznać – wywołał lekką konsternację u mężczyzny.

– Jak to? Do psa? On go nosi?!

– Czy pan zwariował? – Zdenerwowałam się. – Pies nosiłby męski but o pięćdziesiąt numerów za duży?! W dodatku to suka!

– Takie buty szyje się na zamówienie – oświadczył pan Przemek, jakby to uzasadniało możliwość noszenia męskich butów przez suki. Nawet te najmniejsze. – Na zelówce jest adres szewca.

– Bardzo panu dziękuję, pewnie się wybiorę, żeby dorobić drugi – powiedziałam zgryźliwie. – Psu będzie łatwiej chodzić w dwóch!

– To jest bardzo drogie obuwanie – dodał jeszcze pan Przemek. – Wiedziałem, że jest pani świrnięta, ale żeby wygraną przeznaczyć na buty dla psa, to już szczyt

wszystkiego!

Pożegnałam go i zamknęłam drzwi. Synek rozluźnił się, a suczka spoczęła na bucie z przeciągłym westchnieniem.

– Bu... – westchnęłam i ja. – Pokaż no ten but. Teraz, kiedy już wiemy, nie mogę tego nie zrobić. Muszę poszukać twojego właściciela.

4 listopada, piątek, komisariat policji

Komisarz Ugryź siedział przy swoim biurku i intensywnie myślał. Przynajmniej się starał. Usiłował skupić się na leżących przed nim aktach, ale wciąż coś go rozpraszało. Poirytowany wziął papierową teczkę do ręki i zaczął czytać na głos:

– Denat zmarł w wyniku mocnego uderzenia w głowę i licznych obrażeń wewnętrznych. Śmierć nastąpiła około godziny...

– Panie komisarzu, już wiem, co się wydarzyło! – oznajmił wesoło aspirant, wpadając do pokoju jak burza. – Wiem, jak to było!

– Co takiego? – warknął Ugryź i uderzył teczką o blat. – Co ty takiego znów wiesz, co?!

– A co? Cały czas panuje pan nad sobą i nie nawija nitki? – zapytał asystent z troską w głosie i zaraz zrobił unik przed lecącym w jego stronę długopisem. – Ja uważam, że to nic takiego. Nawijanie pomaga myśleć. Ja na przykład ogryzam ołówki...

Nad jego głową poleciał kolejny długopis. Aspirant na wszelki wypadek usiadł kilka metrów od przełożonego.

– Tu wcale nie chodziło o jakiś zamach czy coś takiego – zaczął szybko opowiadać, zanim szef rzuci w niego czymś większym. – To w ogóle nie o to chodziło...

Wieczorem, fragment maila do Roksany

Byłam u szewca, który uszył but małej Bu. To jest, chciałam powiedzieć, but, którego ona tak pilnuje. Oczywiście nie jeden, lecz parę. Rzemieślnik rozpoznał swoją robotę i dość szybko ustalił, dla kogo ją wykonał. Z pewnym ociąganiem, które przełamał Kazimierz Wielki, ujawnił mi nazwisko i adres tego człowieka. Buty zostały dostarczone klientowi na wiosnę. Sama nie wiem, co chcę w ten sposób osiągnąć, ale wydaje mi się, że skoro los zsyła nam taką wiedzę, należy coś z nią zrobić.

Tymczasem Janusz Wawrzynowicz przysłał przeprosiny, w których wziął na siebie odpowiedzialność za wszystkie grzechy tego świata i kajał się niczym Henryk IV w Kanossie. Nic z tego nie rozumiem, ale nie muszę przecież wszystkiego rozumieć.

Jutro zabieramy babcię Jurka ze szpitala. Nie wiem, czy zdążę na próbę chóru. Ostatnio śpiewa nam się wyśmienicie, aż nie do wiary, że jesteśmy chórem amatorskim. Siostra Joanicja zanosí modły dzień i noc, aby listopadowy występ wypadł dobrze, i Pan Bóg chyba jej wysłuchał. Dalej mamy w planach śpiewanie podczas pożegnalnej mszy księdza Rafała, no i w święta. Gdy wrócisz, mam nadzieję, że do nas dołączysz. Choć niewykluczone, że będziemy akurat w trasie, no wiesz: tournée po Europie, wywiady, festiwale, występy w telewizji i w radiu, odwiedziny w zakładach pracy, koncerty jubileuszowe. Świetlana przyszłość przed nami!

Noc z 5 na 6 listopada

Obudziło mnie delikatne dotknięcie w policzek. Otworzyłam oczy i wciąż zaspana zobaczyłam babcię Jurka ubraną w podomkę.

– Co babcia tu robi? – zapytałam zdziwiona. – Jest zimno, rano przyjedziemy po ciebie!

– Wiem, będę spokojnie czekać. – Babcia Jurka uśmiechnęła się. – Pamiętaj, że nie życzę sobie żadnych młyńskich kół na moim nagrobku! Tylko wiązanki z żółtych kwiatów.

– Dlaczego o tym mówisz? – zainteresowałam się.

Babcia Jurka poprawiła podomkę, nachyliła się nade mną i zaczęła mówić szybkim szeptem:

– Zaraz muszę iść, przyszli już po mnie. Posłuchaj, co ci powiem: wróżkę księżycową znajdziesz tam, gdzie można jeść z podłogi. Śpiesz się, bo nie zabawi długo. Pan Rysio nie został zamordowany, ale też nie zginął przez przypadek. Należy odnaleźć kierowcę zielonej skody, który tego dnia śpieszył się, by wykonać zlecenie. Śmierć pana Rysia, śmierć chłopaka i śmierć trzech innych osób łączy but, którego pilnuje mała Bu. But jest wskazówką, dalej musicie już sami znaleźć drogę. Ekspertyza, którą pan Rysio sporządził, znajduje się pod szafą. Przyda się do innej sprawy i rozplącze supełki. Nie żegnajcie mnie w smutku. Pragnę, by na moim pogrzebie przeczytano pierwszy fragment tego, co teraz pisze Jurek, nic poza tym. – Przerwała na chwilę, odwróciła głowę, popatrzyła na coś, co przesłaniała błękitna mgła, i powiedziała jeszcze: – Obiecuj mi, że nie trafię do ziemi w tej paskudnej podomce. Nigdy jej nie lubiłam.

– Obiecuję – przytaknęłam. – A w co babcia chce być ubrana?

– W elegancki kostium, ten granatowy, i żółtą koronkową bluzkę.

To były ostatnie słowa, które usłyszałam.

7 listopada, poniedziałek

Zgodnie z życzeniem babci Jurka podczas mszy pogrzebowej zamiast wspomnienia ksiądz Rafał odczytał pierwszy fragment powieści pisanej obecnie przez Jurka. Oto on:

Opowieści z Rajskiej Krainy

1. Widzenie Piotra

Z samego rana w Rajskiej Krainie rozległ się tupot skórzanych sandałów. Ktoś szybko przemierzał korytarze niebiańskiego dworu, a tempo stawianych kroków nasuwało myśl o pośpiechu i niespotykanej tu nerwowości. Biegnąca postać potknęła się kilkakrotnie, zahaczając o brzeg sukni, w którą była odziana, i gdyby mieszkańcy Rajskiej Krainy odpoczywający w swoich celkach nie spali jeszcze, mogliby usłyszeć pewne słowa, doskonale im znane, jednak tu niewypowiedane nigdy przez nikogo. Był to nie kto inny, jak Święty Piotr nazywany w Rajskiej Krainie po prostu Piotrem. Pełnił on arcyważną funkcję zarządcy całego niebiańskiego przybytku i zdarzało się, że zaangażowanie i poczucie obowiązku przesłaniały mu świadomość, że w tego typu miejscu nie ma potrzeby wszystkich nieustannie pilnować, strofować czy upominać. Byli przecież w Raju, przybytku, do którego złość, nienawiść, lęk czy zgorzienie nie miały dostępu. Mimo to Święty Piotr dokładał wszelkich starań, aby w Rajskiej

Krainie panował ład i porządek. Było to miejsce przepiękne, czyste, pełne jasnych kolorów, ciepła i radości. Wszyscy mieszkańcy przez cały czas robili tylko to, na co mieli ochotę, ale jakoś tak się składało, że zawsze pragnęli czynić same dobre rzeczy, pomagać sobie nawzajem, mówić miłe słowa, dzielić się wspólnie i radować. Dzień zaczynał się, gdy wszyscy tego chcieli, i trwał tak długo, dopóki nie zdecydowano, że powinna pojawić się noc.

Tego dnia Święty Piotr obudził się wcześniej niż zwykle. Żaden z mieszkańców Rajskiej Krainy nie potrzebował budzika, by powitać dzień o właściwej porze i zakończyć go wówczas, kiedy należało. Po prostu wiedzieli oni, że przyszedł właściwy moment na przebudzenie, na zjedzenie posiłku, na odpoczynek, na zabawę. Czas istniał jako przeszłe doświadczenie, które niegdyś bardzo utrudniało im życie. Dlatego przekonanie, że zbudził się wcześniej, niż powinien, zaniepokoiło Piotra. Ów niepokój również był czymś niezwykłym, czymś, co musiało zwiastować nieprzewidziane.

„Muszę natychmiast porozmawiać z Franciszką” – pomyślał Piotr i chwilę potem zastanowił się nad słowem „muszę”. Przecież nikt w Raju nic nie musiał, wszyscy wyłącznie chcieli, cóż zatem miała oznaczać ta myśl?

Święty Piotr ubrał się szybko, co było o tyle proste, że jego odzienie składało się z długiej, bawełnianej, przewiewnej szaty przypominającej damską koszulę nocną oraz ze skórzanych sandałów, wiązanych nad kostką. Wybiegł ze swojej celi i pomknął korytarzem wzdłuż podnoszonych wiatrem muślinowych zasłonek. Mieszkańcy Rajskiej Krainy nie odczuwali potrzeby snu, jednak aby zapewnić im komfort odpoczynku, każdemu przydzielano osobną celkę, czyli niewielkie pomieszczenie otoczone z trzech stron cienkimi ściankami z trzciny, zaś w miejscu drzwi znajdowała się muślinowa zasłona. W żadnym z pomieszczeń nie było okna, jednak przez cały czas odczuwano tu powiew rzeńskiego, lekkiego wietrzyku.

Święty Franciszek zajmował celkę położoną na końcu korytarza, pragnął bowiem odpoczywać w pobliżu swoich ukochanych przyjaciół – zwierząt. Zwierzęta w Rajskiej Krainie wylegiwały się wśród drzew, krzewów i roślin, a niektóre z nich w specjalnie wybudowanych szałasach.

– Franciszku! Franciszku! – zawołał Święty Piotr, gdy dobiegł do właściwej celi. – Franciszku! Ocknij się! Miałem sen!

Franciszek podniósł się z pośłania, na którym leżał, i przez chwilę przyglądał się z łagodnym uśmiechem szamoczącemu się z zasłoną Piotrowi. W Rajskiej Krainie nikt nikogo nie osądzał, nie oceniał ani nie pośpieszał. Dlatego święty czekał spokojnie, aż jego brat zakończy czynności związane z wyplątywaniem się z muślinu. „Widocznie czemuś to służy” – pomyślał Franciszek. Nic bowiem nie dzieje się bez przyczyny, zwłaszcza w Raju.

– Do diabła z tą przeklętą szmatą! – krzyknął Piotr, zrywając z siebie zasłonę. – Po kiego grzyba nam te firanki, tylko przeszkadzają!

Święty Franciszek uniósł brwi, lekko zdziwiony zachowaniem Piotra, i wciąż się uśmiechając, rzekł łagodnym tonem:

– Ależ, Piotrze! Przecież pajęczki to utkały, aby wiatr mógł się spełniać, powiewając tu i ówdzie na chwałę bożą! Będzie im przykro, że tak mówisz.

Piotr pozbył się wreszcie przeszkody i zawstydzony słowami Franciszka, czym prędzej przystąpił do rzeczy.

– Miałem sen, Franciszku – zaczął nieco spokojniejszym tonem. – Otóż wiesz zapewne, że za kilka dni świętować będziemy rocznicę narodzin naszego Pana. Jak zwykle wszystko jest już przygotowane i czeka tylko na właściwy moment. Tymczasem doznałem objawienia, że tego dnia właśnie, dokładnie w dzień Bożego Narodzenia, wydarzy się coś niezwykłego!

– O czym mówisz, Piotrze? I dlaczego przychodzisz z tym akurat do mnie?

– Otóż wyobraź sobie, że tego dnia pojawią się u nas nowi lokatorzy. Ludzie i zwierzęta. Nie zawracałbym ci głowy, kochany Franciszku, wiem przecież, że otaczasz opieką wszystkie stworzenia, które Pan nasz zechce do siebie wezwać, ale to towarzystwo, które przybędzie, jest inne niż pozostali.

Franciszek podszedł do Piotra i widząc, jaki ten jest zdenerwowany i przejęty, otoczył go ramieniem i rzekł:

– Piotrze, Pan nasz i Stwórca zaprasza do siebie każdego, kogo ukochał i kto Jego ukochał. Bez względu na to, jakim był ten ktoś za życia, tutaj odnajdzie wyłącznie ciszę. Tworzymy wspólną wspólnotę miłości i szczęścia. Nie powinienes zatem niczego się obawiać, wszak jesteśmy w Raju. Tutaj zło nie ma dostępu, pamiętasz? Skąd u ciebie ten lęk i zdenerwowanie? Czyżbyś skosztował z Jabłonki Zapomnienia?

Piotr zarumienił się lekko. W Rajskiej Krainie głód czy pożądlivość nie były odczuwane przez nikogo, lecz czasem, przez roztargnienie, zdarzało się komuś sięgnąć po dorodne owoce Jabłonki Zapomnienia. Drzewo to od czasów wypędzenia Adama i Ewy z Raju rozrosło się i rodząc nieustannie swoje cudne owoce, rozsiało po całej okolicy. Każdy z nowo przybyłych mieszkańców przechodził na wstępie stosowne przeszkolenie, którego elementem była informacja na temat owoców pochodzących z tych właśnie jabłonek. Zjedzenie choćby kęsa powodowało przypomnienie sobie na pewien czas wszystkich przeżyć ziemskich, tych dobrych i tych złych. Piotrowi również się to kiedyś przytrafiło. Niechcący zjadł skażone jabłko i przez kilka dni chodził po Raju i szukał Krzaku Gorejącego. A gdy ktoś proponował mu pomoc w poszukiwaniach, trzykrotnie odpowiadał: „Nie!”.

– Wspominałem już, widzenie do mnie przyszło, we śnie! – powtórzył Piotr, bardziej strapiiony niż zdenerwowany. – Akurat tego dnia, gdy tyle pracy nas czeka! Niezwykli goście, niezwykli i nieprzewidywalni!

Franciszek pokiwał głową ze zrozumieniem, owa nieprzewidywalność stanowiła bowiem coś tak odległego od panującego w Niebie ładu, że mogło to przerazić nawet samego Świętego Piotra.

– Damy sobie radę, Piotrze – rzekł i ponownie się uśmiechnął. – Z Bożą pomocą wszystko jest możliwe, nawet to, co niemożliwe. A skoro Pan nasz wybrał dzień narodzin swojego Syna w tym sensie, że w dniu narodzin Syna będą miały miejsce niezwykle dla nas wydarzenia, to tylko dziękować Mu za to należy! Wychwalać Jego dobro i łaskę, niechybnie zanudzilibyśmy się bowiem wkrótce w tym nieskalanym troską Raju. Widzę, że Ojciec nasz ukochany troszczy się o swoje dziatki, nawet te, które osiadły w Jego Królestwie.

Piotr uspokoił się nieco i nawet poczuł lekki wstyd, że zwątpił w mądrość i łaskę

Pana Boga. „Czy ja zawsze pozostanę takim niedowiarkiem?”. Nie wypowiedział tych słów na głos, wiedział jednak dobrze, że Franciszek usłyszał je uszami swojej duszy.

– Masz rację, Franciszku – powiedział więc w zamian, by ukryć zakłopotanie. – Ufni w Bogu, poczekajmy, co się wydarzy. W Raju nie ma miejsca na zmartwienia. Wybacz mi, że zniszczyłem ci zasłonkę. Poproś w moim imieniu pająki, by utkały nową. A ja tymczasem pospaceruję po Raju, by przekonać się, czy wszystko jest w porządku.

Piotr oddalił się, a Franciszek tylko pokiwał głową.

– Ach, ten Piotr, zawsze taki doskonały. Ale suknię założył tył na przód. Może powinienem był mu o tym powiedzieć?...

Wieczorem, około północy, fragment maila do Roksany

Australijski upał wysuszy Cię na wiór. Nam to nie grozi, my doświadczyliśmy dziś mizerynych, od dawna niewidzianych promieni słońca, które wyjrzało na chwilę, by odprowadzić babcię Jurka do miejsca jej pochówku. Msza przebiegła bez niespodzianek. Zgodnie z życzeniem zmarłej ubraliśmy ją w granatowy elegancki kostium i żółtą bluzkę z koronkowym żabotem. Pan Pawełek zatroszczył się, by babcia wyglądała pięknie: ufryzowano jej włosy i zrobiono dyskretny makijaż.

Na cmentarz przyszło sporo ludzi. Babcia Jurka była ogólnie bardzo lubiana i wielu chciało ją godnie pożegnać. Kiedy zatrzymaliśmy się przy wykopanym w ziemi dole, ksiądz Rafał otworzył usta, żeby wygłosić modlitwę i słowa pożegnania. Zamiast tego powiedział jednak:

– A co tu robi ten but?!

Wszyscy natychmiast pochyłili się nad miejscem, w które ksiądz Rafał wycelował oskarżycielskie spojrzenie. Omal nie wpadłam do grobu, bo kilka osób prawie położyło mi się na plecach, żeby lepiej widzieć.

Na skraju wykopu istotnie leżał but, męski, lewy. Przekleństwo jakieś z tymi butami! Przez dłuższą chwilę staliśmy tak, wpatrzeni w przedmiot, który raczej nie powinien budzić aż takiego zainteresowania. W obliczu ostatnich wydarzeń a zwłaszcza ostatnich słów babci, po prostu mnie zamurowało.

– To coś znaczy, ten but? – zapytał w końcu ktoś z tłumu. – Fatum jakieś? Nie można tu grzebać ludzi?

– Oczywiście, że można! – Ksiądz Rafał ocknął się pierwszy. – Co to za żarty?! Zabrać w tej chwili ten but!

Wtedy, jak na życzenie, obok buta wyrosła męska ręka, potem druga i naszym oczom ukazał się mężczyzna. Nieco ubłocony, o nieprzytomnym spojrzeniu, rozejrzał się wokoło i po chwili wybełkotał:

– Zajęte!

Ksiądz Rafał nie wytrzymał. Wyglądał jak uosobienie furii. Zerwał z głowy biret, zdjął stulę, wcisnął kościelnemu do ręki modlitewnik, zakasał rękawy, po czym kucnął i z podziwu godną siłą wyciągnął za ramię siedzącego w grobie faceta. Mężczyzna nawet się nie opierał. Opadł na ziemię i brudnymi rękami zaczął przecierać twarz. Po kilku minutach był tak umorusany, że nikt z nas nie zdołałby już go rozpoznać.

– Co pan tutaj robi?! – denerwował się ksiądz. – Zakłócił pan pogrzeb!

– Ksiądz pozwoli, Broniewski jestem. – Intruz się zachwiał. – Waldemar zresztą. Ja po zwłoki...

– Panie! Tu jest grób dla zmarłej! Pogrzeb! – wtrącił się pan Pawełek.

Waldemar Broniewski usiłował wstać, co omal nie zakończyło się wpadnięciem do dołu. Ksiądz i kościelny przytrzymali go pod pachy.

– No właśnie – przytaknął Broniewski. – Ja po zwłoki. Mam zlecenie... I mój but... gdzie jest mój but? But! Ja się pytam, but gdzie jest?!

No i wtedy mnie olśniło! Zupełnie jakby pojedynczy promień słoneczny przeniknął na wskroś mój mózg i oświetlił dane, które w nim zalegały, ale nie zdołały się do tej pory połączyć. Nagle zrozumiałam słowa babci Jurka, pani Zosi i to wszystko, co wydarzyło się do tej pory. But! But łączył wszystkie wątki!

– Proszę pana – zwróciła się do Broniewskiego pani Danusia – pan, zdaje się, jest pijany, a tymczasem w trumnie leży nieboszczka i czeka, żeby ją pochować. Czy może nam pan to umożliwić?

– Tak jest – poparł ją mój ojciec. – Zaczyna się chmurzyć, zaraz zacznie padać, zimno jest. Idź pan w cholere, bo to jest pogrzeb, a nie libacja alkoholowa!

Broniewski zrobił krok do tyłu, narażając się na ponowną wizytę w wykopanym dole. Pan Pawełek i dwóch innych grabarzy złapali go stanowczo za ręce, chcąc go wyprowadzić. Wtedy wzrok mężczyzny padł na tabliczkę z nazwiskiem, która spoczywała na trumnie. Przeczytał i w mgnieniu oka wytrzeźwiał.

– O, Chryste Przenajświętszy! – wyszeptał z przejęciem. – O, Panienko Najczystsza! Boże Miłosierny! Wszyscy święci i święte! Boże!

– A teraz co znowu? – zniecierpliwiał się ksiądz Rafał. – Nawrócił się czy co?

– Tak, proszę księdza. – Broniewski wyrwał się grabarzom i padł przed duchownym na kolana. – Ja muszę się wyświadczyć, ja straszne rzeczy robiłem! Ale żeby tę świętą kobietę? Żeby chcieć ją do tego wykorzystać, to nawet sam Lucyfer by mnie nie namówił! Ona jedna rozumiała, ona jedna współczuła, ona jedna mi pomogła! Ja nie mogę jej tego zrobić!

– Wariat – orzekł mój ojciec. – O co tu chodzi? Nie można jej pochować? Panie, daj pan wreszcie spokój. Ta kobieta była bardzo pocziwa, musimy ją wreszcie pochować!

– Ale nie tu!!! – krzyknął rozpaczliwie Broniewski, czepiając się sutanny księdza. – Nie tu!!! Przyjdą tutaj po nią! Zabiorą ją! Ja nie pozwolę!!!

8 listopada, wtorek, mieszkanie Maga

Pani Joanna Potasiewska siedziała wyprostowana i czekała. Idealnie maskowała zdenerwowanie i niepewność, udając, że trzęsie się z zimna, nie ze strachu. W pokoju było zimno. Wszystkie ściany obito czarnym sukniem, a okna przesłonięto czarnymi kotarami, co wzmagало uczucie chłodu.

Nigdy nie przejawiała skłonności do tego typu praktyk, ale tym razem w grę wchodziła tak zwana wyższa konieczność. Zmarły w lipcu teść nie pozostawił testamentu, choć ona, Joanna Potasiewska, była przekonana, że takowy dokument istniał. Musiał istnieć. Od przeszło pięciu lat pełniła funkcję jego sekretarki, sprzątaczką, opiekunką i powiernicą profesora. Z całą pewnością powierzył jej cały swój majątek, a przynajmniej jego większą część. Taka była jego wola, którą od czasu do

czasu manifestował. Gdy odszedł, kobieta szybko przeszukała zawartość biurka, przy którym zwykł pracować, szafki i schowki znajdujące się w jego gabinecie, wreszcie inne pomieszczenia dużego, starego domu. Bezskutecznie. Testamentu nie znalazła, a ujawniona nagle rodzina zmarłego profesora domagała się wydania majątku. Szczególnie agresywny był jeden z jego synów, Waldemar.

Potasiewska znalazła się w kropce. Mąż, umierając, nie pozostawił po sobie zbyt wiele, gdyby więc się okazało, że po zmarłym teściu nie należy jej się nic, znalazłaby się na ulicy bez środków do życia. Nigdy nie pracowała, choć ukończyła anglistykę i wykonała kilka tłumaczeń na zlecenie, ale zawsze pozostawała na utrzymaniu męża i jego rodziny. Po dość przykrym pogrzebie nie mogła liczyć na wsparcie ze strony krewnych profesora. Mogła liczyć tylko na siebie. Chwyciła się więc ostatniej deski ratunku. Pewnego dnia udała się do bardzo znanego wróżbity, który przepowiedział jej, że testament istnieje, ale tylko nieboszczyk wie, gdzie go ukrył. Należy więc go przywołać lub wskrzesić na chwilę, by tę wiedzę uzyskać.

Zdesperowana kobieta wypłaciła z banku wszystkie swoje oszczędności, umówiła się na spotkanie i o wskazanej godzinie stawiała się na rytuał wskrzeszenia. Teraz siedziała na krześle w towarzystwie obcych jej osób, które przysły tu w charakterze gapiów. Jak stwierdził mistrz ceremonii, praktykujący Mag, publiczność sprawi, że duch teścia nie odważy się na agresywne zachowanie, co niekiedy zdarza się zmarłym. Gdy przywołuje się ich z zaświatów, bywa, że reagują złością.

Gdy zegar wybił godzinę osiemnastą, Mag pojawił się odziany w czerwone szaty, stanął przed zebranymi na podwyższeniu, na którym ustawiono płonące świece, podniósł wysoko ramiona i zawołał głośno:

– Mieczysławie! Przybywaj! Ja cię wzywam!

Na chwilę zapadła cisza. Nic się nie wydarzyło, więc Mag powtórzył jeszcze głośniej:

– Mieczysławie! Przybywaj! Wzywam cię!

– Może pan się zwróci do teścia po nazwisku i używając tytułu – zasugerowała szeptem Potasiewska. – On był takim formalistą.

Mag nic na to nie odpowiedział, ale po chwili zagrzmiał:

– Profesorze Potasiewski!!! Czekamy na ciebie!

Za czarną kotarą przysłaniającą okno coś zaszurało, postukało i zawyło. Przez pokój przeszedł szmer. Obecni patrzyli po sobie, a Mag ryczał na całe gardło:

– Wzywamy cię!!! Gdzie jesteś?

– Czego się drzesz, bałwanie! – odpowiedziano mu zza kotary. – Jak ci dziadek zginął, to rusz tyłek i sam go poszukaj, zamiast ryczeć na pół Europy!

Mag opuścił ręce i zwrócił się do swojej asystentki:

– Zuzanno, zamknij okno, proszę.

– Ale wtedy zmarły nie będzie mógł wejść – zaproponowała niespokojnie dziewczyna.

Mag odchrząknął, skinął nieznacznie głową, po czym zawołał nieco ciszej:

– Profesorze! Gdzie jesteś?

– Jam jest tu!!! – Coś zawyło nagle nad głowami obecnych. Ogólne poruszenie wzmogło się jeszcze, gdy głos dopowiedział: – Jam jest profesor Potasiewski! Czemu mnie wzywasz?

Mag obserwował obecnych zza półprzymkniętych powiek. Klientka, która zapłaciła

za wskrzeszenie zmarłego teścia, siedziała sztywna i blada, należało więc zadać pierwsze pytania za nią. Pozostali obserwatorzy przyglądali się widowisku z otwartymi ustami. Wszystko szło, jak należy.

– Potrzebuję twojej pomocy! – kontynuował Mag. – Pokaż nam się, abyśmy mogli się przekonać, że to ty!

Kiedy kotara się rozsunała, obecnym ukazał się mężczyzna o długich, siwych włosach, z bujną, siwą brodą, bez jednego buta, za to w czerwonej dziurawej skarpetce.

– Pytaj! – zachrypiał przybysz, który zawisł w przestrzeni między oknem a zebranymi. Spoglądał z wysokości na zebranych, a siny goły palec u nogi sterczał oskarżycielsko.

– Dlaczego nie masz buta? – zapytał nagle ktoś z widowni, bo pani Potasiewska wciąż milczała.

– Bo mnie okradli – padła odpowiedź.

– W zaświatach?!

– Wielu nieuczciwych ludzi zmarło ostatnio – wyjaśnił nieboszczyk. – Nigdzie już nie jest bezpiecznie.

– Tato, gdzie schowałeś testament? – wymamrotała wciąż zszokowana pani Potasiewska. – Gdzie on jest?

– Mam go przy sobie! – odparł gromko zmarły. – W kieszeni marynarki!

Potasiewska popatrzyła niepewnie na Maga. Ten pokiwał głową ze zrozumieniem i sam zwrócił się do wskrzeszonego;

– Profesorze, czy pozwolisz, że wyjmę go z twojej marynarki?

Nieboszczyk skinął głową. Wówczas Mag w tajemniczy sposób uniósł się w powietrze i znalazł się na tej samej wysokości co profesor. Obecni zaszemrali z podziwu. Wróż sięgnął do kieszeni marynarki zmarłego, najpierw do jednej, potem do drugiej, wreszcie wyjął z kieszeni jego spodni złożoną na pół kartkę w kratkę. Nie rozprostowując jej, opadł na ziemię, podszedł do pani Potasiewskiej i wręczył jej znalezisko.

– Dziękuję – wyszeptała odruchowo kobieta i rozłożyła kartkę. – A co to ma być?!

– Mój testament – oświadczył godnie profesor.

Joanna Potasiewska wstała gwałtownie, zmarszczyła brwi i przeczytała na głos:

– Pięć jajek, dwa kilo mąki, buraczki, cebulka, papier do klopa, kostki, naprawić zelówkę, Zocha, jełop od zderzaka...

– Oryginalny ten testament – mruknął ktoś z zebranych. – Ma pan tego więcej?

– To jest jawne oszustwo! – krzyknęła nagle Potasiewska, rzucając kartkę na podłogę. – Ja pana zaskarżę, to jest szczyt wszystkiego!

Mag, który tylko przez chwilę stracił panowanie nad sobą i sypnął z oczu iskrami w stronę nieboszczyka, a potem swojej asystentki, uśmiechnął się szeroko i otworzył ramiona, jakby chciał przytulić wszystkich naraz.

– Kochani – zaczął – nieboszczyk musiał być za życia niespełna rozumu. Ja nie odpowiadam za cudze głupoty. Dziękujemy ci, profesorze, że nas nawiedziłeś – zwrócił się do wiszącego w powietrzu zmarłego. – Wracaj tam, skąd przyszedłeś!

Gdy wskrzeszony zaczął się wycofywać, cały czas zwrócony do obecnych przodem, Joanna Potasiewska podbiegła do niego i szarpnęła go za nogawkę. Spodnie dość łatwo opadły, za nimi kawałek koszuli oraz pół marynarki i zebrany ukazał się szkielet

wykonany z drewna, na szczycie którego wisiała smętnie opuszczona głowa z bujnym owłosieniem. Całość utrzymywała się na metalowej szynie, która biegła w stronę okna.

– Ty łobuzie!!! – wrzasnęła Potasiewska do Maga. – Ty oszuście niemyty! Ty pijawko kalifornijska! Ty gnido pieczona! Ty wołku zbożowy, ty!

– Kogo pani nazywa ty?! – zdenerwował się Mag. – Jazda stąd! Wszyscy! Pokaz zakończony!

– Ja ci dam pokaz! – wychrypiała Potasiewska i ruszyła na Maga.

Mężczyzna szamotał się tymczasem z własną szatą, która zaplątała się w sznur od uprząży alpinistycznej, w którą był ubrany. Zgromadzeni szybko się zorientowali, że całe przedstawienie było mistyfikacją. Jedni wychodzili oburzeni, inni robili zdjęcia wyjmowanymi naprędce telefonami, jeszcze inni śmiali się w głos. A było z czego. Wzburzona pani Potasiewska okładała pięściami wiszącego na sznurku Maga, który nie mógł się uwolnić. Oboje krzyczeli równocześnie. W pewnej chwili głos Maga się przedarł.

– Zabieraj!!! Wyciągaj!!! – ryczał na całe gardło.

Ktoś, kto współpracował z nim po drugiej stronie okna, czyli jak się później okazało, siedział na balkonie, zrozumiał polecenie i szybko zaczął wysuwać fałszywego nieboszczyka, wciąż wiszącego pod sufitem. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie, bo szkielet uderzył o szynę, zerwał się z uchwytu i z trzaskiem spadł na chodnik przed budynkiem.

– O! Dziadek się znalazł! – Usłyszeli ten sam głos, który ich wcześniej uciszał. – Weźcie szczotkę i zmiotkę, bo trochę się rozsypał!

Wieczorem, fragment maila do Roksany

Awantura z panem Diabłem trwała do późnego wieczora. Przyjechała policja, ale nie mogli go zatrzymać, bo niby za co. Klientka w pewnej chwili nabrała wody w usta, a fakt, że ludzie głupio dali się nabrać, świadczył raczej przeciwko nim, a nie Magowi. Pozbierano części kukły; głowa była prawdziwa, ale zanim policja przyjechała, ktoś ją ukradł.

Nie odezwałam się nawet słowem. Doskonale przecież pamiętałam tę cudowną charakteryzację wykonaną onegdaj przez pana Pawełka.

I tak powoli wszystkie tajemnice się wyjaśnia, a oszustwa wyjdą na jaw. Nie ma bowiem takiej siły, by kłamstwo przetrwało długo. Szkoda mi tylko tej kobiety, bo ona zgłosiła się do wróża w akcie prawdziwej desperacji. Przyglądałam się jej ze współczuciem, kiedy wychodziła z naszego domu pogrążona w smutku. Nie chciała źle, nie zamierzała wskrzeszać zmarłego teścia z chciwości lub dla zabawy. Rozumiesz, że nie mogłam podejść do niej i powiedzieć, że jestem prawdziwą, uczciwą wróżką i jej pomogę. Przegoniłaby mnie na cztery wiatry i miałaby rację.

Zastanowię się, co zrobić. Może i ja doznam jakiegoś objawienia? A co Ty byś zrobiła w takiej sytuacji?

9 listopada, środa

Właścicielem buta, którego pilnowała z takim pietyzmem Bu, okazał się pan Igor, bardzo sympatyczny mężczyzna – jakżeby inaczej – który spokojnie mnie wysłuchał.

Odwiedziłam go po południu w jego mieszkaniu na parterze. Wprawdzie wcześniej się zaanonsowałam, bo szewc zdradził mi także numer telefonu swojego klienta, mimo to wyczuwałam pewien dystans z jego strony.

Był to człowiek dojrzały, po czterdziestce, wysoki i dobrze zbudowany. Brunet o ciemnoniebieskich oczach, opanowany, bardzo powściągliwy i raczej małomówny. Opowiedziałam mu, w jaki sposób weszłam w posiadanie jego buta, prezentując mu go na zdjęciu, bo oryginał musiałabym przynieść razem z psem. A skoro Bu, to i Synek. Tego facet mógłby nie zdzierżyć.

Pan Igor spokojnie mnie wysłuchał, przyjrzał się fotografii i po dłuższym namyśle powiedział:

– Nie jestem pewien, czy to mój but. Sądzę, że tak, ale głowy sobie za to nie dam uciąć. Natomiast wydaje mi się, że na zdjęciu rozpoznaję Lili, czyli moją zaginioną psinę. Zgubiła się w czerwcu i do tej pory jej nie odnalazłem. Ktoś zostawił mi niepodpisaną wiadomość, że Lili wpadła do rzeki, ale nie dowiedziałem się nigdy, gdzie dokładnie ani w jakich okolicznościach. Chciałbym się przekonać, czy to mój piesek. To mnie dużo bardziej interesuje niż but.

– Oczywiście, zapraszam. – Głos prawie uwiązał mi w gardle. Czyli mogło się okazać, że to nie zmarły chłopak był właścicielem małej Bu, lecz ten człowiek, a wówczas miałby pełne prawo zabrać psiaka ze sobą. Przykro mi się zrobiło na myśl o Synku, a także o Jurku, dla którego Bu stanowiła żywą pamiątkę po zmarłej niedawno babci. – Czy pozwoli pan, że umówimy się na sobotę? Chciałabym się oswoić z myślą, że nasza mała Bu może nas wkrótce opuścić.

– Tak, dobrze – zgodził się pan Igor. – Ja wolałbym zrobić to jeszcze dziś, ale skoro uważa pani, że tak będzie lepiej, to poczekam. Co do buta, to ta historia jest jeszcze dziwniejsza. Otóż wszystko wydarzyło się tego samego dnia. Wracałem z pracy, szedłem chodnikiem, kiedy nagle przejechała obok mnie ciemnozielona skoda. Poprzedniego dnia intensywnie padało. Przy krawężnikach utworzyły się spore kałuże. Kierowca jechał z dużą prędkością i wpadając w jedną z takich kałuż, wywołał istną fontannę. Do domu dotarłem przemoczony do suchej nitki. Buty umieściłem na parapecie, żeby ciepłe powietrze je osuszyło. Moja sunia była z tego powodu bardzo niezadowolona, bo musiałem chwilowo zdjąć jej ulubioną poduszkę z okna. Ona zwykle leżała tam sobie jak kot, wygrzewała się w słońcu i obserwowała świat. Ustawiłem więc buty na parapecie i wyszedłem z psem na spacer. Gdy wróciłem, nie było ich. To wysoki parter, jak pani widzi, ktoś więc musiał się mocno postarać, żeby je ukraść. W pierwszej chwili pomyślałem, że spadły na ziemię. Wyszedłem z domu, żeby ich poszukać. Nic nie znalazłem, na dodatek Lili też przepadła. Do dziś zachodzę w głowę, co się z nią stało. Może zostawiłem uchylone drzwi i wyleciała? Ale dlaczego nie pobiegła za mną? Wciąż nie daje mi to spokoju. Jeśli Lili jest u pani, wreszcie spadnie mi kamień z serca. Po tym anonimie miałem wyrzuty sumienia, że przeze mnie mogła stać się jej krzywda.

Pożegnałam się z panem Igorem, pozostawiając swój adres i zapewnienie, że jest u nas mile widziany, i z ciężkim sercem wróciłam do domu. Czekala mnie jeszcze rozmowa z Jurkiem.

10 listopada, czwartek, siedziba firmy Archanioł i Spółka, organizującej spotkania okolicznościowe

– Przykro mi, ale my nie organizujemy takich rozrywek – oświadczył wyniośle Michał Archanioł przez telefon. – Jesteśmy poważną firmą i taka propozycja... No tak, rozumiem, ale nie pomogę, do widzenia!

Rozłączył się, odłożył telefon na stół i przyjrzał mu się tak, jakby podejrzewał urządzenie o złe zamiary. W ciągu ostatniej doby przeprowadził kilka takich rozmów. Dzwoniący wypytywali o usługi: prorocтва, jasnowidzenie, błogosławieństwo anielskie, egzorcyzmy, odczepianie bytów, wywoływanie duchów i specjalne wieczorki zapoznawcze dla dusz połączonych karmicznie.

– Co tych ludzi napadło?! – Coraz bardziej się irytował. – Koniec świata się zbliża czy co?! Szaleństwo jakieś ich opętało! Jeszcze tego brakowało, żebym odprawiał egzorcyzmy!

Po chwili znów odezwał się telefon.

– Nie!! – wrzasnął do słuchawki pan Archanioł. – Czy pani oszalała?! Nie posiadamy w ofercie wieczorów panieńskich, podczas których przyrządza się napój miłosny z jąder męzczyzny! To obrzydliwe! Proszę więcej do mnie nie dzwonić!

Michał Archanioł prowadził swój interes od kilkunastu lat. Doświadczenie w branży zdobywał początkowo jako kelner, później menedżer imprez masowych, wreszcie postanowił działać na własną rękę. Ludzie chętnie zlecali mu to, z czym sami sobie nie radzili lub czym nie chcieli się obarczać. Przygotowywał więc całe ceremonie ślubne, od wystroju kościoła począwszy, na udekorowaniu sali weselnej skończywszy, ustalał menu, przygotowywał oprawę muzyczną, a w trakcie imprezy czuwał, by wszystko przebiegało sprawnie. Z czasem oferta jego firmy rozrosła się i objęła wszelkie imprezy okolicznościowe. Pan Archanioł był w związku z tym zmuszony przyjąć kogoś jako współnika. Zabawny zbieg okoliczności sprawił, że jego prawą ręką stał się niejaki Adam Diabeł, na którym pan Michał mógł polegać jak na Zawiszy. Poprzedni współnik doprowadził firmę na skraj bankructwa, kiedy pewnego razu roztoczył przed narzeczonymi wizję ogromnego rozczarowania sobą nawzajem oraz rychłego rozwodu. Narzeczeni rozstali się, przyczyniając firmie niepocholebnych opinii, ale kiedy do spółki przystąpił pan Diabeł, sprawy od razu przybrały inny obrót.

Zawsze przygotowany, sumienny, skrupulatny, precyzyjny, punktualny i niezwykle czarujący dla klientów Diabeł czarował. Goście go uwielbiali. Podczas gdy Archanioł przejął część organizacyjną przedsięwzięcia, Diabeł osobiście uczestniczył w imprezach i w razie potrzeby odgrywał też rolę wodzireja. Wspaniale się uzupełniali.

– Nie rozumiem, co się dzieje – zaatakował swojego współnika Michał Archanioł, gdy tylko ten stanął w drzwiach. – Do tej pory nigdy nie było tylu telefonów w sprawie jakichś czarnych mszy! Owszem, od czasu do czasu się zdarzały, ale teraz to istna plaga!

– Ja to załatwię – odparł spokojnie Diabeł. – Może ogłoszenie, które zamieściłem w internecie, źle poszło, sprawdzę to.

– Zrób coś, bo zwariujemy – oświadczył Archanioł, odbierając kolejne połączenie. – Nie, nie wróżymy z wnętrzości kury, do widzenia! – Odłożył ze złością telefon. – Świat oszalał!

– Zajmę się tym – powtórzył Adam Diabeł i dyskretnie wystukał numer na swojej komórce. Po chwili wstał i idąc z telefonem przy uchu, wyszedł z pokoju. – Halo, Zuzanna? W ogłoszeniu jest numer Archaniola, a nie mój! Sprawdź to, do cholery, za co ci płacę? Jeszcze tego brakowało, żeby ten osioł dowiedział się o wszystkim! I załatw mi te zwierzęta na niedzielę! Nic mnie to nie obchodzi. Masz to zrobić, i już!

Rozłączył się i przez chwilę nad czymś rozmyślał. W gruncie rzeczy nic się nie stało. Był blisko załatwienia sprawy tak, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wawrzynowicz siedział w psychiatryku, podobnie jak ten drugi osioł. Nikt nie uwierzy wariatom na słowo, a dowodów przecież nie znajdują. Wystarczy zrobić jeszcze jedną maleńką rzecz i wszystko będzie dobrze.

12 listopada, sobota

– Panie komisarzu, mamy sprawcę. Przyznał się. Niejaki Wawrzynowicz. – Aspirant zakomunikował to tak szybko, jakby zaraz miało się zerwać połączenie. – Siedzi u nas i upiera się, że to on stuknął tego Ryśka.

– Psiakrew, nawet świętego wolnego weekendu nie uszanują! – zdenerwował się Ugryź. – Dobra, zaraz tam jadę.

Aspirant siedział przy biurku, w fotelu komisarza, i przyglądał się w milczeniu tęgiemu mężczyźnie, który siedział pochylony i czytał w skupieniu sporządzony przed chwilą protokół. Gdy skończył, sięgnął po długopis, podpisał papier i zastygł w pozycji oczekującej.

– To kiedy mnie pan aresztuje? – zapytał cicho.

Aspirant wziął podpisany dokument, przestudiował go tak uważnie, jakby pierwszy raz widział ten tekst na oczy, i odparł jakby od niechcenia:

– Jeszcze chwila, komisarz chce pana przesłuchać.

– Po co? – Wawrzynowicz się roześmiał. – Przecież wszystko już wyjaśniłem. Ten człówek zginął z mojej winy i powinien pan wszcząć procedury!

– Wszczę... wszczę... procedury będą wszczęte, kiedy pojawi się komisarz – oświadczył aspirant i wstał. – Nie pan jeden chce być sprawcą tej zbrodni, kolejka jest. Niech pan więc czeka i nie awanturuje się!

Mężczyzna tylko wzruszył ramionami i nie odezwał się już. Po niespełna kwadransie dołączył do nich komisarz. Aspirant wyszedł razem z nim na korytarz i podając mu protokół, szybko zaczął relacjonować:

– Gość twierdzi, że zabił tego Ryśka – wędrujące zwłoki. Upiera się, że jechał tamtego dnia ciemnozieloną skodą i puknął klienta na pasach. Potem odjechał, bo się śpieszył. Wykonywał zleconą robotę, śledził kogoś. A potem skrewił i poszedł do Maga, żeby ten wskrzesił umarlaka. Podobno zabulił kupę kasy, musiał wziąć kredyt w lombardzie pod zastaw samochodu. Chyba mamy już serię.

– To jakieś gówno? – przerwał mu nagle Ugryź.

Aspirant zmieszał się lekko, ale kontynuował:

– Wiem, że to brzmi idiotycznie, a on nawet był kilka dni na obserwacji w psychiatryku, ale go wypuścili, bo poczytalny. Gada tak od godziny, protokół podpisał i nie chce wyjść. A z tym Magiem to niezły ubaw, poprosiłem chłopaków, żeby go sprawdzili. Podobno robił już takie numery w innych miastach, ale nikt oficjalnie się

nie poskarżył, więc gość fruwa wolno.

– Gównem śmierdzi – nie ustępował komisarz.

Aspirant wzruszył ramionami.

– Panie komisarzu, ja wiem, bo co innego zabawa w duchy, co innego morderstwa, ale na razie nie możemy tego czarodzieja pod nic podczepić. Chyba trzeba domykać temat tak, że tego Ryszarda nie zabił zazdrosny mąż, który śledził niewierną żonę i pomylił gachów, ale przyjmujemy wersję psychicznego. Brzmi głupio, ale fakty się dodają. Może niech pan z nim pogada!

– Co to za klątwa jakaś! Kiedy mamy trupa, to nikt się nie przyznaje, idą w zaparte, choćby umarłak sam wstał i pokazał palcem, tutaj rzekomi sprawcy pchają się, jakby im co najmniej nagrodę obiecano!

Ugryź energicznie wszedł do pokoju i od progu zaatakował słownie siedzącego tam mężczyznę:

– Panie, to jak było z tym panem Rysiem, co? O co tu chodzi, do cholery?!

Mężczyzna odwrócił się, pociągnął dziwnie nosem i zamiast odpowiedzieć, zerknął na swoje zelówki. Następnie przyjrzał się butom komisarza.

– To dlatego miał nowe buty – oświadczył pozornie bez związku. – Wdepnął w coś, a Mag nie toleruje smrodu! Teraz rozumiem!

Obaj policjanci popatrzyli na siebie. W pokoju istotnie brzydko zapachniało – okazało się, że komisarz Ugryź nieostrożnie przebiegł przez trawnik. Jednak nie to było w tej chwili najważniejsze. Domniemany sprawca rozpoczął swoją opowieść:

– Jechałem wykonać zlecenie. Jestem emerytowanym policjantem i dorabiam sobie jako prywatny detektyw. Tego dnia klient zlecił mi obserwację swojej żony, którą podejrzewał o zdradę. Śledziłem ją przez cały dzień, kobieta nie ruszała się z domu. Po kilku godzinach siedzenia w samochodzie wyszedłem na chwilę, żeby kupić sobie bułkę w sklepie obok. Gdy wróciłem, zorientowałem się, że baba wyszła i właśnie odjeżdża swoim autem. Ruszyłem za nią pospiesznie i wpadłem w sporą kałużę – poprzedniego dnia solidnie padało. Chyba obryzgałem od stóp do głów jakiegoś gościa, który szedł blisko krawężnika, i to mnie rozproszyło. Skręcając w lewo, nie zauważyłem faceta, który przechodził po pasach. Potrąciłem go i pojechałem dalej, bo baba już zniknęła za zakrętem. Pomyślałem wtedy, że gdy będzie już po wszystkim, dowiem się, czy poszkodowany bardzo ucierpiał. Ten zdradzany mąż świetnie płacił, a mnie kończyły się fundusze. Bo ja hobbystycznie piszę kryminały, ale muszę wydawać je na własną rękę, a to kosztuje.

Pojechałem więc dalej. Wkrótce potem okazało się, że kobieta nie była umówiona z kochankiem, tylko pojechała na spotkanie do Maga, który organizuje kursy, jak szybko stać się bogatym. Przekazałem informację mężowi – nie wiem, czy się ucieszył, czy zmartwił, ale mnie zaciekał ten czarnoksiężnik. Zacząłem do niego jeździć. Wszystko, co powiedział, sprawdzało się. To on wmówił mi, że nikt nie pociągnie mnie do odpowiedzialności, bo w tym samym czasie i miejscu pojawiły się dwa takie same samochody i z wyjątkiem tego gościa, którego ochlapałem, i właściciela drugiego auta nikt nie podważy tego, co powiem. Miałem szczęście: właściciel takiej samej skody mieszkał na tym samym osiedlu co ja. Mag polecił mi zaprzyjaźnić się z nim, żeby zdobyć jakiś przedmiot, który do niego należy. Bez trudu uzyskałem jego książkę

z autografem, to znany pisarz. Zapłaciłem później za rytuał spętania i facet raczej siebie by zabił, niż pozwoliłby mnie zaskarżyć. Ale tego drugiego nie znalazłem. Zapłaciłem za rytuał wskrzeszenia zmarłego; wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł i że wszystko będzie jak dawniej. Ale Mag wskrzesił jakiegoś starca o twarzy chłopca. W jednym bucie. Od tamtej pory zaczęły prześladować mnie omamy. Śniły mi się strzygi, diabły i buty. Całe stopy butów. Myślałem, że zwariowałem. Poszedłem do psychiatrii i do księdza. Ale wciąż się bałem, że cała sprawa wyjdzie na jaw, i przypadnę, stracę dobre imię. Nikt nie zaufa skompromitowanemu detektywowi.

– To dlaczego jednak zdecydował się pan przyjść? – zapytał sucho komisarz, kiedy Wawrzynowicz przerwał na chwilę. Ten odkaszlnął, podrapał się po głowie i powiedział cicho:

– Bo miałem kolejny sen – wyznał. – Tej nocy przyśniła mi się para: on siwy jak ja, ale szczupły, a ona w fioletowej peruce. Powiedzieli mi, że śledzona żona znajduje się w krypcie kościoła z poderżniętym gardłem, zamurowana w ścianie. Jej mąż spoczywa w posadzce. Jest tam jeszcze ktoś, ale ja go nie znam. Błagam, zamknijcie mnie, aresztujcie, zróbcie coś, tylko niech to się już skończy!

Wieczorem, fragment maila do Roksany

Próba chóru odwołana, bo w krypcie kościelnej odnaleziono kolejne ciała. Trzech osób: kobiety i dwóch mężczyzn – wszyscy mieli poderżnięte gardła i takie same znaki na skórze jak pan Ryszard. Mord rytualny. Ksiądz proboszcz omal nie dostał zawału. Chyba sfinansuję także remont podziemi mieszczących się pod świątynią, bo kolejne niespodzianki mogą go zabić.

Swoją drogą, policja wreszcie ustaliła, w jaki sposób oni się tam dostawali. Okazuje się, że istniało zamaskowane przejście prowadzące od krypty do bocznego ogrodzenia kościoła. Tam, gdzie jest nieużywana brama cmentarna. Ponieważ nikt zwykle tamtędy nie chodzi, dopiero teraz zauważono, że ziemia była rozkopana. Policja sprawdza, co tam zagrzebano.

Pan Igor pojawił się u mnie przed południem. On i mała Bu albo raczej mała Lili od razu się rozpoznali. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to jej poprzedni właściciel. Suczka nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Z radości skakała, skowyczała, warczała, szczekała i przytulała się do swojego pana. Jurek pozostał w swoim mieszkaniu. Nie odezwał się ani słowem, kiedy mu oznajmiłam, że właściciel Bu się odnalazł, a teraz nie wychodzi z domu.

Synek siedział smutny, bo przeczuwał, że Bu wkrótce zniknie z naszego życia, a ja pocieszałam go, głaszcząc go po łebku.

– Pański but – powiedziałam, gdy Bu i pan Igor już się sobą nacieszyli i zbliżał się moment pożegnania. – Niestety, drugi spoczywa w grobie, na nodze nieboszczyka.

– Drugi mam, ktoś sprzedawał na aukcji – rzucił pan Igor, wciąż zajęty sunią.

– Jak to? Kupił pan jeden but? – Nie rozumiałam.

– No tak. – Pan Igor pokiwał głową. – Też się zdziwiłem, sądziłem, że ktoś w ten sposób podbija cenę: najpierw sprzeda jeden, potem drugi. Ale na tym jednym się skończyło. Ja mam bardzo dużą stopę i muszę sprawiać sobie obuwie na zamówienie, dlatego zależało mi na odzyskaniu tych butów. Nawet zgłosiłem się do pewnej firmy,

która robi takie rzeczy na zlecenie, ale nie pomogli. Teraz mam kłopot z głowy!

A więc to on był tym natrętnym klientem od buta! Ale skąd miał ten pierwszy?! Jakim cudem?! Pamiętasz, but, o którym mowa, został na nodze tego chłopaka, którego położyliśmy do trumny zamiast profesora! Czyżby zmartwychwstał i chodząc po świecie, zgubił but?!

Najlepsze na koniec: Bu zostaje! Gdy pan Igor zbierał się już do wyjścia, sunia zawahała się. Podbiegła do Synka, potem do pana Igora, znów do Synka, zatrzymała się pośrodku, jakby nie wiedząc, co zrobić. Wtedy pan Igor ukląkł przed nią i powiedział:

– No, Lili! Jesteś dzielna i mądra dziewczynka! Jak chcesz, żeby było?

Wtedy suczka polizała go po rękę, bardzo wolno podeszła do Synka i usiadła przy nim. Synek trącił ją nosem w ucho, ale Bu, czyli Lili, położyła się na plecach.

– Obawiam się, że będzie pan musiał zabrać ich oboje – powiedziałam, a serce ścisnęło mi się jeszcze mocniej. – Oni bardzo się ze sobą zżyli.

Wówczas pan Igor wstał i podając mi rękę, oświadczył:

– Myślę, że Lili, to jest Bu, jest teraz bardzo szczęśliwa. Mnie i tak całymi dniami nie ma w domu, a ona tutaj znalazła towarzystwo, radość, ciepło. Nie mogę jej tego pozbawiać. Niech zostanie, skoro tak wybrała.

I na tym stanęło. Ustaliliśmy, że pan Igor będzie wpadał do Bu, żeby ją odwiedzić. But zabrał ze sobą i suczka nawet tego nie zauważyła!

13 listopada, niedziela

Ksiądz Rafał odczytał kolejny fragment twórczości Jurka, podobno fantastycznie pasuje do okoliczności jego planowanego wyjazdu. Oto on:

Opowieści z Rajskiej Krainy

2. Goście

W Rajskiej Krainie dzień nie kończył się ani nie zaczynał, po prostu trwał. Noc przychodziła wówczas, gdy ktoś tego zapragnął, i stanowiła przyjemną odmianę dla słonecznego dnia.

Zjawiska przyrodnicze nigdy nie wyrządzały nikomu krzywdy, choć zarówno deszcz, jak i śnieg czasem się pojawiały. Każdy mieszkaniec tego niezwykłego miejsca bardzo szybko przyzwyczajał się do tego, że aby coś się wydarzyło, wystarczy pomyśleć.

Święty Gabriel Possenti szykował się do snu. Ale nie po to, by odpoczywać. Młodzieniec we śnie wykonywał swoją misję, odwiedzał potrzebujących, udzielał im rady i pomocy. Nigdy nie pozostawił prośby o wsparcie bez odpowiedzi. Najwięcej próśb otrzymywał od ludzi młodych i kapłanów. Żartowano nawet z Gabriela, że ten nigdy nie budzi się i trwa w wiecznym uśpieniu, aby pomóc jak największej grupie osób. Wiecznie uśmiechnięty, niestrudzony orędownik u Najświętszej Pani.

Zamieszkiwał on jedną z centralnych cel, usytuowaną między mieszkaniem Świętej Rity i Świętego Onufrego Pustelnika. Działo się tak nie bez przyczyny. Rita hodowała bowiem najpiękniejsze róże w całej Rajskiej Krainie, a przed celą Pustelnika stało drzewo daktylowe, rodzące tak słodkie owoce, jak tylko słodka może być słodycz. Gabriel korzystał z tych dóbr, gdy tylko udawał się na ziemię, do swoich

podopiecznych. Różami nagradzał wytrwałych, a daktylami krzepił niecierpliwych.

Tego dnia święty ułożył swoją głowę na poduszce z chmur, zamknął oczy i usłyszał bardzo wyraźnie rozmowę.

– Nie wiem, czy to dobrze... – mówił ktoś z wahaniem. – Może tu nie wolno wchodzić... sam nie wiem...

– Wolno, wolno, przecież na darmo by nie wysyłali! – ripostował inny głos, bardziej stanowczy. – No włącz!

– Sam nie wiem, nikogo tu nie ma, ja nie wiem... – Niezdecydowany wyraźnie się czegoś bał.

Gabriel przysłuchiwał się w milczeniu dziwnej rozmowie. Przecież nie udał się jeszcze w swoją codzienną wędrówkę do świata ludzi, zastanawiał się więc, kto mógł tutaj tak rozmawiać. W Rajskiej Krainie nie znano lęku, wahania, niepewności. Wszystko było bezpieczne, oczywiste, pewne. Zaciekawiony święty słuchał dalej.

– No włącz! – rozkazał bardziej zdecydowany głos. – Nie będziemy tak stać w nieskończoność.

– No dobrze... – wystękał ten drugi. – Ale pomalutku, nie tak szybko, bo ja się boję...

Z odgłosów wynikało, że ten, który nie był pewien, wciąż nie spełniał oczekiwań drugiego, a ciekawość Gabriela nieprzerwanie rosła. Święty skupił się, zastanowił i chwilę potem towarzyszył już tym dwóm duszom. Ku jego zaskoczeniu, nie były to dusze ludzkie, lecz psa i pchły.

Pies zatrzymał się na granicy życia i śmierci, wyraźnie wahając się, w którą stronę pójść. Stał w windzie, która miała unieść go do Rajskiej Krainy, tymczasem zwierzę wciąż oglądało się za siebie, w stronę życia doczesnego. Na jego grzbiecie siedziała mała pchła, którą wyraźnie irytowało zachowanie psa. Ona sama z całą pewnością nacisnęłaby guzik z napisem „Raj” już dawno, gdyby nie to, że znajdował się on za wysoko. Potrzebna była pomoc psa, który swoim nosem dosięgał, gdzie trzeba. Ale pies się zastanawiał.

– No i na co czekamy? – denerwowała się pchła. – Na oklaski? Na pisemne zaproszenie? Na co, jeśli mogę wiedzieć?

– Trochę mi szkoda – westchnął pies, znów oglądając się za siebie. – Zostawiam mojego pana zupełnie bez opieki, samego. Martwię się, jak on sobie poradzi.

– Da sobie radę, przecież to człowiek! – Pchła podskoczyła. – Ludzie zawsze sobie poradzą, oni mogą wszystko. Mógłbyś się łaskawie zatroszczyć o mnie, ten ostatni raz cię proszę!

Pies zrobił mały krok do przodu, ale znów się zatrzymał. Westchnął ciężko i zwiesił głowę. Podjęcie decyzji, czy przejść na drugą stronę, czy nie, sprawiało mu tak wielką trudność, że Gabriel postanowił się wtrącić, poczuwszy w swoim sercu całą rozpacz, która zalewała psią duszę.

– Skoro się wahasz, to może istotnie jeszcze nie pora na ciebie – powiedział łagodnie, żeby nie przestraszyć psa i pchły. – Pan wysyła po nas swoją niebieską windę, ale czasem pozwala nam jeszcze raz zadecydować. Życie na ziemi wydaje się trudne i przykre wówczas, gdy na niej jesteśmy, ale z innej perspektywy może się okazać, że nie nadszedł jeszcze czas, by się z nią pożegnać na zawsze. Być może

twoje zadanie nie dobiegło końca.

– Żadne takie! – oburzyła się pchła. – Jak niby? Mamy żyć wiecznie?! Ja już się nażyłam i życzę sobie iść do Raju!

Ale pies zlekceważył krzyki pchły, podniósł wzrok na świętego, popatrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł z windy.

– Nie zostawię mojego pana, nie teraz – postanowił głośno. – On mnie potrzebuje, bo jest sam. Jestem jego jedynym przyjacielem. Muszę wrócić. Wybacz, Pchełko, ale nie byłbym szczęśliwy, wiedząc, że on tam za mną tęskni. Zrozumiem, jeśli zechcesz udać się do Raju beze mnie.

Pies pochylił się, żeby owad mógł bezpiecznie zeskoczyć na podest windy, ale pchła tego nie zrobiła.

– Przecież nie mogę zostawić cię z tą sierotą ziemską, bo oboje przepadniecie – burknęła i znikła w psiej sierści.

Gdzieś w głębi dało się słyszeć jej utyskiwanie na pchli los.

Gabriel pogłaskał psa po głowie. Zwierzę wycofało się z windy i w tej samej chwili ogromny snop światła pochłonął je, znosząc z powrotem na ziemię.

– Muszę poprosić Franciszka, żeby zajrzał do tego zwierzaka i jego koleżanki – powiedział sobie na głos Gabriel. – Ale swoją drogą, winda nie może jechać na pusto. Kogo zatem zabierze w zamian?

Kiedy tylko to pomyślał, w windzie pojawili się nowi pasażerowie. W jednej chwili zaroilo się w niej od ludzi, ptaków, gryzoni i owadów.

– Trzęsienie ziemi – wyjaśnił szybko jeden z robaków, który pospiesznie toczył do windy wielką kulkę gnoju. – Tylko tyle udało się uratować, mam nadzieję, że tam, dokąd nas zabierają, będzie co toczyć.

– Z pewnością. – Gabriel roześmiał się. – Jeśli tylko zechcesz, to pracy wam nie zabraknie.

– Ja muszę toczyć – oświadczył robaczek. – Mam rodzinę na utrzymaniu i wszyscy są tu razem ze mną. Nie mam wyjścia!

– Proszę się posunąć! My też jedziemy tą windą! – rozległ się nagle piskliwy głos. Należał on do białej kury, która nieustannie przywoływała swoje dzieci, rozbiegające się na wszystkie strony. – Proszę zrobić miejsce dla dzieci!

– To skandal, żeby taką małą windę podstawiać! – poskarżył się szary gołąb. – Czy pan tu dowodzi?

– Niestety nie, ja pracuję na ziemi – odparł Gabriel. – Ale sądzę, że wszyscy się zmieszczą i spokojnie dotrą, tam gdzie trzeba.

– No nie wiem, nie wiem. – Gołąb pokręcił łebkiem. – Organizacja pozostawia wiele do życzenia. Muszę zgłosić to przełożonym.

– Dlaczego my podróżujemy z myszami? – chciała wiedzieć jedna pani w pizamie i lokówkach na głowie. – To trzecia klasa?

– Nie wiem, ale to wszystko jest mocno podejrzone – odparł jakiś pan w szlafroku. – Nawet jeśli to niebo, skąd, u licha, winda?! Powinien być tunel!

– Uwaga! Nie opierać się o drzwi! Winda rusza! – Rozległo się ostrzeżenie w głośniku. Po chwili niewidzialne drzwi się zamknęły i winda ruszyła. Gabriel odprowadził ją wzrokiem.

– Czyli zamiast jednego psa z pchłą zyskaliśmy całą gromadę gości... – mruknął do siebie. – Piotr na pewno się ucieszy. Ale na mnie już czas. Słyszę zewsząd błagalne szepty i modlitewne prośby. Pora ruszyć z pomocą.

Gabriel otulił się w płaszcz z różowej poświaty i przedostał się w świat marzeń sennych tych, których tego dnia dręczyły nocne koszmary.

16 listopada, środa

Dni płyną. Bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności odpowiadam na zgłoszenia klientów. Zupełnie straciłam serce do tej firmy, może dociągnę do końca roku i zastanowię się nad czymś innym.

Gabriela bardzo dobrze radzi sobie w pralni, tak że po świętach ojciec i pani Danusia chcą zorganizować spotkanie, żeby postanowić co dalej.

Martwi mnie to, że nie mam pojęcia, o jakim miejscu, w którym można jeść z podłogi, mówiła babcia Jurka. On sam marnieje w oczach. Jak tak dalej pójdzie, będziemy urządzać kolejny pogrzeb. Czuję się zupełnie bezradna. Pani Zosia też nie umie mi pomóc.

Na jutro zostałam zaproszona na komendę. Chcą, żebym przyszła z butem. Myślałam, że coś przekręcili w wezwaniu i że chodzi im o brata, którego też nie mam, ale przez telefon wytłumaczono mi, że i owszem, zapraszają mnie razem z butem. Tym, który został znaleziony przy psie. Poinformowałam więc policję w osobie aspiranta, że butem zaopiekował się już jego prawowity właściciel, który w dodatku okazał się prawdziwym właścicielem Bu. Szalenie ich to zainteresowało, więc pójdę.

Pan Przemek dalej milczy. Może jednak dopadła go ta najprawdziwsza miłość?

17 listopada, czwartek

Na komendzie powitał mnie znajomy tandem policjantów. Usiadłam na krześle i powtórzyłam to, co powiedziałam wczoraj aspirantowi. Odnalazł się właściciel Bu, który jest równocześnie właścicielem buta. But zabrał, psa zostawił. Czy dysponuję jego adresem? Tak, jak najbardziej, nawet umówiłam się z nim, że będzie przychodził do psa w odwiedziny. Co o nim wiem, nic kompletnie, poza tym, że ma na imię Igor i nosi buty siedmiomilowe, szyte na miarę.

Policjanci zerkali na siebie porozumiewawczo, jeden coś pisał, drugi pytał, potem na odwrót, ten, co pytał, patrzył w sufit, a ten, co pisał, nawijał długopis na palec. Tak to przynajmniej wyglądało. Zdenerwowało mnie to w końcu, bo powiedziałam nagle:

– A ekspertyza pana Rysia leży pod szafą. Dzięki niej można popchnąć inną sprawę, w której panowie utknęli.

Nie zdążyłam ust zamknąć, kiedy obaj poderwali się na równe nogi. Jakby pocisk w nich uderzył. Nawet o nic nie pytali, tylko jeden – ten młodszy – wybiegł na korytarz i zaczął przywoływać kolegów, a ten starszy złamał długopis trzymany w ręku. Przestraszyłam się, że to, co powiedziałam, stanowi tajny szyfr, a ja, ujawniając go, uruchomiłam jakieś tajemnicze procedury. Młodszy policjant zaraz wrócił w towarzystwie trzech osiłków i wszyscy razem przesunęli wielką, zabytkową szafę, która stała za moimi plecami. Pod meblem leżał zakurzony papier.

– Ekspertyza grafologiczna! – odczytał głośno aspirant, który pierwszy dopadł

poniewierającej się kartki. – Ekspertyza grafologiczna!

– Słyszeliśmy, synu – uspokajał go starszy policjant, nie mniej podekscytowany od swojego kolegi. Wziął do ręki kartkę i przebiegł po niej wzrokiem. I – jak Boga kocham – włosy zjeżyły mu się w nosie. – Synu – oświadczył uroczyście. – Mamy to. Teraz wszystko się idealnie zgadza!

Panowie byli tak podnieceni znaleziskiem oraz tym, że wszystkie elementy układanki zaczynają im się spinać w jedną logiczną całość, że całkowicie zapomnieli o moim istnieniu.

Dzięki temu dowiedziałam się, że ekspertyza dotyczy różnych próbek pisma niejakiego Waldemara Broniewskiego, stałego pacjenta szpitala psychiatrycznego. Pan Ryszard dowodził ponad wszelką wątpliwość, że pismo widniejące na różnych dokumentach zostało wykonane tą samą ręką. Jak się domyśliłam, pan Broniewski w chwilach, gdy był całkiem zdrow na ciele i umyśle, fałszował na potęgę jakieś kwity, a gdy sprawy zaczynały przybierać niebezpieczny obrót, pojawiał się w szpitalu, demonstrując odpowiednie objawy. Policjanci z łatwością ustalili wszelkie powiązania pana Broniewskiego z różnymi podmiotami, gdzieś przewinęło się nawet nazwisko pana Wawrzynowicza.

Najbardziej interesujące było jednak odkrycie, którego dokonał komisarz Ugryź na moich oczach. Rzecz jasna, będzie to jeszcze musiał potwierdzić biegły grafolog, ale wygląda na to, że zaprezentowane w ekspertyzie pana Rysia przykładowe charakterystyczne próbki pisma oraz symbole pozostawione na ciałach znalezionych w krypcie ofiar i ciele pana Ryszarda wykonała ta sama osoba. Zatem opowieści Broniewskiego, jakoby zamordował on troje ludzi, nie pozostawały dłużej w sferze bajań wariata.

Wciąż wprawdzie istniało podejrzenie, że pan Rysio padł ofiarą zamachu z powodu swojej ekspertyzy, jednak nie można było zlekceważyć tego, że Wawrzynowicz przyznał się do zbrodni. Niemniej jednak Jurek zniknął z pola zainteresowań śledczych, a mnie to w danej chwili obchodziło najbardziej.

Dowiedziałam się także, że młody człowiek znaleziony przy naszym śmietniku bezwzględnie zmarł na zawał serca i na razie nie można go z nikim powiązać. Policjanci liczyli, że but będzie jakąś wskazówką, ale wygląda na to, że nic z tego. Przypomniałam sobie słowa babci, lecz nie wypowiedziałam ich na głos. Postanowiłam sprawie buta przyjrzeć się na własną rękę.

Wyszło też na jaw, że prawdopodobnie to Broniewski plądrował i niszczył groby, i to on dostarczał zwierzęta i ludzkie narządy na czarne msze. Nieszczęsny nagrobek profesora także został uszkodzony, ale nie dowiedziałam się, czy ktoś zaglądał do trumny. Te wątki jednak stanowiły tylko dodatek do całej sprawy, więc śledczy skupili się na podstawowych dowodach. Sprawa wreszcie się domykała. To, że wciąż niejasny był motyw sprawców, wcale ich nie martwiło. Przyjęli, że to sataniści.

Pogratulowałam im sukcesów i sobie poszłam. Nie jestem pewna, czy zarejestrowali ten fakt. Mnie samą nadal nurtowała jeszcze jedna kwestia: wróżka księżycowa!

18 listopada, piątek

Gabriela powitała mnie nowiną. Powiedziała, że się zaręczyła i zaraz po Nowym Roku

wychodzi za mąż. Oczywiście powinszowałam jej. To dobrze, że dziewczyna znalazła swoje szczęście. Wygląda na to, że nasza kamienica to bardzo dobre miejsce do zawierania znajomości: mój ojciec ponownie się ożenił, pan Przemek zakochał się w rudej wampirzycy, co prawda Roksana upaja się szczęściem w Australii, ale przyszłego ukochanego poznała, klikając w komputer znajdujący się w jej domu, Tylko mnie jest coraz smutniej. To przykre, ale w obecnej sytuacji cieszę się, że tyle się dzieje, bo nie mam czasu zastanawiać się nad własnym życiem. Szaruga za oknem wpędza w depresję. Boję się, że gdy wszystko się skończy, a wiosna jeszcze nie nadejdzie, Jacek zyska nową pacjentkę na swoim oddziale. Zgorzkniałą, rozczarowaną życiem i sobą przeterminowaną wróżkę!

Wieczorem

Gabriela urządziła coś w rodzaju małego wieczorku przedpanieńskiego. Zaprosiła mnie oraz kilka swoich koleżanek z uczelni. Pani z fioletowymi włosami i towarzyszący jej pan dyskretnie się wycofali z mieszkania i poszli do kina. Gabriela jest nimi zachwycona. Pochwaliła się, że uwielbiają czystość i porządek jeszcze bardziej niż ona. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe.

Na początku było bardzo drętwo, bo Gabriela rozpływała się nad zaletami swojego ukochanego, a jej znajome słuchały z zazdrością malującą się na twarzach. No cóż, ja od dawna wiedziałam, że Jurek jest bardzo inteligentny, odpowiedzialny, stanowczy, konsekwentny, umiarkowany w okazywaniu emocji oraz przedsiębiorczy. Zdziwiłam się, gdy Gabriela powiedziała, że drzemie w nim ukryta namiętność, bo tego typu zaletę Jerzy już prezentował publicznie, czytając swoje erotyki na plebanii, więc nie taka znów ukryta. Ale może jej o tym nie powiedział. Interesujące było też stwierdzenie, że niewiele mówi. Teraz owszem, ale zazwyczaj Jurek mówi, i to całkiem sporo. Na koniec dziewczyna poinformowała nas, że jej narzeczony myśli o osiągnięciu najwyższego poziomu w swojej pracy i intensywnie nad tym teraz pracuje.

– To prawda – przytaknęłam. – Ale żalił się, że tłumaczenie na angielski idzie mu jak po grudzie.

– Nic nie wiem o angielskim. – Gabriela wzruszyła ramionami. – Mnie powiedział, że trudność sprawia mu szybkie uporanie się ze zleceniem. Ale uważam, że to drobiazg. Kwestia raptem kilku godzin codziennych ćwiczeń. Więcej pracy musi włożyć w wiedzę praktyczną, dlatego pomogłam mu załatwić praktyki u patologa sądowego. Zuzanna mi to podpowiedziała!

Zamyśliłam się. Zatem Jurek uczestniczy w sekcjach zwłok... To dlatego chodzi ostatnio taki struty! To podobno zabawa dla osób o mocnych nerwach. Tylko do czego potrzeba mu aż tak precyzyjnej wiedzy? Do pisania książek dla dzieci czy kolejnej opowieści o wampirach?

Pozegnałam się dość wcześnie, bo nie znalazłam wspólnych tematów z koleżankami Gabrieli ani z nią samą. Drażniło mnie także to, że sięgała po każdy okruszek, który stoczył się na podłogę, a gdy niechący wylałam odrobinę soku na stół, pobiegła po cały zestaw do sprzątnięcia! U niej chory na sepsę mógłby spokojnie jeść z podłogi! Jak Jurek to wytrzyma? A może ja go wcale nie znam?

20 listopada, niedziela

Ksiądz Rafał konsekwentnie odczytuje podczas nabożeństwa kolejne rozdziały *Opowieści z Rajskiej Krainy*. Ludziom bardzo się to podoba. Padła nawet propozycja, aby ten zwyczaj utrzymać. Obawiam się, że wraz z wyjazdem księdza Rafała do Watykanu powrócą nudne kazania. Szkoda.

Dzisiejszą mszę uświetnił także występ chóru Ament, który to występ przejdzie do historii pod znakiem bardzo awangardowego wykonania *Alleluja*. A wszystko szło doskonale, pierwszą pieśń zaśpiewaliśmy ślicznie, szczególnie ładnie zabrzmiały basy, w tym głos siwego pana, którego imienia wciąż nie znam. Później mój ojciec się zagapił, nie zauważył sygnału, który dała nam siostra Joanicja, i ryknął na całe gardło: „Ament!”. Nie wiem, co go podkusiło, bo ksiądz zaintonował: „Pan z wami!”. Wówczas pan Wacek z Adamem zaczęli wyśpiewywać *Alleluja* każdy na inną melodię. Zdezorientowane soprany dołączyły, a alty w ogóle nie weszły. Siostra ze łzami w oczach usiłowała dyrygować, ale każdy śpiewał już tak, jak mu się wydawało. Wyszło z tego nie wiadomo co, ale było bardzo oryginalnie. Zakończyliśmy całość przeciągłym „Aaaa”, tak jak w kołysance o kotkach. Mam nadzieję, że kolejny fragment *Opowieści* odwrócił uwagę zebranych od naszego śpiewania. A brzmiał on tak:

Opowieści z Rajskiej Krainy

3. Chór

Boże Narodzenie należało do najważniejszych uroczystości obchodzonych w Rajskiej Krainie. Każdy mieszkaniec starał się przygotować jakąś przyjemną niespodziankę dla jubilata, a Święty Piotr koordynował wszystkie działania, tak by całość wypadła ładnie i sprawnie.

Chór aniołów od wieków ćwiczył więc uroczyste *Alleluja*, skomponowane specjalnie na tę okazję przez samego Mozarta. Chórem dyrygowała Święta Cecylia. Patronka organistów zabiegała o to, by śpiew brzmiał pięknie i niepowtarzalnie. I anioły śpiewały cudnie, wspanialszego wykonania nie można było sobie wyobrazić. Niestety, owo piękno melodii stało się w obliczu wieczności tak powtarzalne, że biedna Cecylia, zamiast się cieszyć, z każdą chwilą smutniała.

– Cecylio! Czyżby zmartwienie dopadło cię w Rajskiej Krainie? Nie może to być! – zauważył Święty Patryk, który pozostawił swoje owce na pastwisku i przybył, żeby się dowiedzieć, jak mógłby pomóc w przygotowaniach do święta. – Jakże to możliwe, że smucisz się w tym przybytku szczęścia i radości! Ty, która przez wieki wieków wysławiasz chwałę naszego Pana muzyką i śpiewem!

Cecylia westchnęła tak przejmująco, że zafalowały rozwieszane na sznurkach kołderki z chmur, aż posypało się z nich niebiańskie pierze. Cecylia sprawiła tym samym radość mieszkańcom ziemi, którzy odetchnęli z ulgą, że w tym roku jednak święta będą białe.

– Ach, Patryku... – ponownie westchnęła Cecylia. – Aniołki śpiewają cudnie, pięknie grają na harfach i lutniach, nie można wyobrazić sobie nic doskonalszego.

– To dlaczego się smucisz? – zdziwił się Patryk.

– Bo to jest takie nudne – przyznała święta. – Za każdym razem ich śpiew jest doskonały. Jakież więc tu pole do popisu! Tak bym chciała, żeby ich występ był

niewpowtarzalny, wyjątkowy, ale nie można tego osiągnąć, jeśli się ma do czynienia z doskonałością, nie sądzisz? Biedny Mozart napisał genialny utwór, który moje aniołki wykonują perfekcyjnie. Jak zawsze. Nie uważasz, Patryku, że w naszym Raju zapanowała perfekcyjna nuda?

Patryk zamyślił się. Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że Rajska Kraina może być nudnym miejscem. Cieszyły go widoki zielonych bezkresnych pól, na których wypasał swoje niebiańskie owce i barany. Uwielbiał otaczającą go ciszę i idealnie błękitne niebo. Lecz może Cecylia miała rację? Od wieków w ich rajskim życiu nic się nie zmieniało. Każdy przeżywał je tak, jak tego pragnął, bez przykrych niespodzianek, zaskakujących zwrotów akcji czy nieoczekiwanych sytuacji. Wszystko było przewidywalne, zrozumiałe i oczywiste. Po prostu: nudne.

– Mam pomysł! – Klasnął w dłonie. – Zaangażuj do chóru nowe osoby.

– Już próbowałam. – Cecylia pokręciła przecząco głową. – Pamiętasz tych muzyków z zespołu, którzy trafili do nas po tym, jak rozbił się ich samolot?

– Mówisz o tym, który zahaczył skrzydłem o wystającą z chmury nogę śpiącego Hypnosa? – przypomniał sobie Patryk. – Pan nasz bardzo się o to gniewał. Ci muzycy nie mieli jeszcze do nas trafić.

– Otóż to – przytaknęła Cecylia. – Menedżer, który im towarzyszył, groził złożeniem skargi za przedwczesne wzięcie do Raju. Co się wtedy biedna Temida natrudziła, żeby to wszystko jakoś rozsądzić...

– Ale wspominałaś o chórze – przerwał jej Patryk. – Zaprosiłaś ich do współpracy?

Cecylia wzniosła oczy do nieba, po czym pochyliła się w stronę świętego i przyciszonym głosem powiedziała:

– Poprosiłam ich, żeby zagrali nam pięknie podczas święta Zmartwychwstania Pańskiego. I oni się zgodzili. – Na chwilę zamilkła i zamknęła oczy, jakby odganiając przykre wspomnienie. – Jak to dobrze, że ja zawsze organizuję próbę przed występem!

– A co? – zaciekawił się Patryk. – Fałszowali?

– Nie, przeciwnie, śpiewali bardzo ładnie, ale tak głośno i tak szybko, że anioły nie mogły nadążyć!

W tej samej chwili do rozmawiających dołączył Morfeusz. Młodzieniec przywitał się grzecznie z Cecylią i Patrykiem, a następnie od razu przystąpił do rzeczy:

– Cecylio, jeśli pozwolisz, Eurydyka i ja chcielibyśmy wykonać solo jeden utwór z okazji zbliżającego się święta. Przychodzę z tym do ciebie, ponieważ Walenty oznajmił mi właśnie, że nie ma takiej możliwości, gdyż śpiewać będzie pani Maria Callas. Wy tłumacz mi, proszę, od kiedy to w święto zakochanych śpiewa ktoś, kto przeżył nieszczęśliwą miłość, co? W takim razie może poprosimy wszystkich nieszczęśliwych o dołączenie do chóru?!

– Morfeuszu, nie unoś się, proszę, jesteś w Raju – upomniał młodzieńca Patryk. – Poza tym czyżbyś zapomniał, że najbliższe święto, które teraz będziemy obchodzili, to Boże Narodzenie, a nie walentynki?

Morfeusz wzruszył ramionami, w milczeniu ukłonił się parze świętych i odszedł, nie powiedziawszy ani słowa.

– Cecylio, miałem na myśli tych nowych, którzy przybyli do nas niedawno. –

Patryk wrócił do rozmowy. – Zaproś ich do chóru. Wydają się tacy przygnębieni i dezorientowani. Śpiew pod twoim przewodnictwem poprawi im humory, a i wykonanie będzie inne niż zwykle.

– Może masz rację, Patryku – odrzekła Cecylia, choć w jej głosie zabrzmiała nuta powątpiewania. – Ogłoszę nabór chętnych do rajskiego chóru i zobaczymy, co z tego wyniknie. Dziękuję ci za radę, a teraz wybaczone, dużo pracy przede mną. Muszę przecież zastanowić się nad repertuarem.

Oddaliła się, a Patryk zamknął oczy i po chwili już leżał na zielonej trawie w swojej ukochanej samotni. Popatrzył w niebo, popatrzył na owce i zaczął śpiewać.

– Święty Patryku, Święty Patryku! – zabeczały owce. – Prosimy cię, przestań. Obiecane nam, że w Raju nikt nie będzie się nad nami znęcał. Jesteś naszym dobrym pasterzem i niech tak pozostanie!

Patryk więc zamilkł, odchrząknął i ryknął na całe gardło:

– Łąka z prawej strony jest zupełnie nieoskubana!

Gdy ksiądz Rafał skończył, na chwilę zapadła cisza. Potem śpiewaliśmy już całkiem nieźle, bo zupełnie cicho. Każdy z wyjątkiem siwego pana miauczał pod nosem swoją partię. Ale wypadło dość sympatycznie. Nasz kolejny występ, o ile do niego dojdzie, będzie miał miejsce podczas mszy pożegnalnej księdza Rafała.

21 listopada, poniedziałek

Pan Przemek objawił się nagle i niespodziewanie, zresztą jak to on. Muszę przyznać, że brakowało mi jego narzekań, choć tym razem narzekał inaczej.

– Świat pełen jest zła, oszustów, złodziei, kłamstwa i innych strasznych rzeczy – zaczął od progu. – Wszystko się zdezauduowało, nie ma autorytetów ani wzorców. Każde pojęcie zostało zakwestionowane, a nowych nie wymyślono. Ludzkość od czasów drugiej wojny światowej nie zrobiła najmniejszego kroku naprzód w kierunku rozwoju cywilizacyjnego!

– Nieprawda. – Powiedziałam to zamiast „dzień dobry”, bo pan Przemek wkroczył bezceremonialnie do mojego mieszkania i ulokował się w kuchni. – Loty na Księżyc, opanowanie przestrzeni kosmicznej, łączność satelitarna, internet – to wszystko to pies? Nie liczy się?

– Owszem. – Pan Przemek machnął ręką. – Ale co z tego? Co z tego mamy poza kłopotami, nieszczęściami, dziurą ozonową, zwiększeniem liczby rozwodów i ruską mafią? Co dobrego to wszystko przyniosło?

– Nie układa się panu z narzeczoną? – Przytknęłam guziczek w czajniku i wyjęłam z szafki filiżanki. – Był pan taki zakochany!

Pan Przemek znów machnął ręką, więc odsunęłam zastawę trochę dalej. Postanowiłam poczekać, aż sformułuje wystarczająco ciętą ripostę, i zająć się parzeniem herbaty. Tymczasem mój gość siedział w milczeniu i patrzył przed siebie. Przyfrunął Boluś, usiadł mu na ramieniu, a on w dalszym ciągu nic nie mówił. Przestraszyłam się, że coś mu się w głowie zawiesiło. Boluś postukał go w ucho.

– Bóg istnieje – odezwał się wreszcie pan Przemek. Powiedział to takim tonem, jakby oznajmiał mi, że po dwudziestu latach małżeństwa postanowił mnie porzucić. – Bo skoro istnieje zło, musi istnieć dobro. Skoro istnieje diabeł, musi istnieć anioł, skoro

istnieje...

– Tak, tak, rozumiem – przerwałam mu.

Herbata była gotowa. Otworzyłam lodówkę i wyjęłam sernik domowej roboty. Upiekła go pani z fioletowymi włosami. Niebo w gębie.

– Nie rozumie pani... – westchnął pan Przemek. – Ja się przekonałem, że los zwany Bogiem istnieje naprawdę, bo postanowił dać mi nauczkę. Chciał, żebym przekonał się, że to, w co wierzyłem, jest zupełnie pozbawione sensu. Bo człowiek zawsze w coś wierzy, nawet jeśli nie wierzy. Wówczas wierzy, że nie wierzy.

Boluś porzucił ramię mężczyzny na rzecz sernika, a ja tymczasem słuchałam uważnie. To było coś nowego – pan Przemek, który przyznaje się do błędu? Wsywał czwartą łyżeczkę cukru do herbaty i wciąż patrząc w dal, kontynuował:

– Teoria harmonii, co do której byłem przekonany, zawiodła mnie. Okazało się, że założenie, iż przyrodą, czyli całą materią, rządzą prawa fizyki, czyli przepływ energii i pole magnetyczne stanowią zasadniczą oś wszystkiego, nie sprawdza się ani w przypadku ludzi, ani w przypadku zwierząt. Nauka nie potrafi się zmierzyć z brakiem przewidywalności, a to sprawia, że harmonia się chwieje i... – pan Przemek zawiesił na chwilę głos – i... nic. Nic się nie dzieje. Nie zachodzi wcale zjawisko wyrównywania poziomów. Jeśli przyjąć teorię, że człowiek sam decyduje o sobie i nie powoduje nim żadna siła z zewnątrz, to dlaczego przerost ambicji doprowadza do upadku? Dlaczego pomysł, który rodzi się w głowie, może być odebrany, bez udziału człowieka, poprzez zesłanie na niego amnezji, choroby umysłowej czy zwykłego spadku nastroju, potencjału? Tego nie da się już odzyskać, a przecież raz pozyskane dobro nie ginie. To co dzieje się z nim w człowieku? Talent ani umiejętności nie znajdują odzwierciedlenia w doskonałych rezultatach, jeśli nie będzie im towarzyszyła pokora. Przeświadczenie o własnej wielkości, mocy, samowystarczalności, wiedzy i możliwościach nieuchronnie prowadzi do upadku. I teraz najlepsze: z upadku można powstać, nie mając nic, żadnych danych, żadnego kapitału, żadnego punktu zahaczenia. Niemożliwe z punktu widzenia nauki? A jednak! Ostatnio dotarło do mnie, że nie jestem Bogiem! Zrozumiałem to. A skoro ja nim nie jestem, to znaczy, że Bóg musi istnieć!

Zdumiewające, że cudze, jakże intymne i szczere wyznanie może obudzić w nas refleksję, która staje się przełomowa. Nagle zrozumiałam, że wróżka księżycowa przebywa u Gabrieli, bo to u niej można jeść z podłogi. Dotarło do mnie, że czarem, o który powinnam poprosić, jest pomoc w zrozumieniu, czego chce Jurek, ale aby mu w tym pomóc, powinnam zrozumieć, czego ja sama chcę. Jak na razie odkrywałam jedynie, czego nie chcę.

Mam umiejętności, z których nie korzystałam właściwie, dlatego odebrano mi klucz do tego skarbcza. Odebrano mi zaledwie część tego, ale nie pozbawiono mnie go całkowicie. Zatem jeśli zrozumieć, po co mi ta wiedza, znów z niej skorzystam. Z pożytkiem dla innych i dla siebie.

– Panie Przemku – powiedziała miętko. – Błędzenie to nie jest grzech. Człowiek, który doświadcza, uczy się, rozwija. Dzisiejsi ludzie za wszelką cenę starają się uniknąć błędów i rozczarowań, wymyślają maszyny, których zadaniem jest zmniejszać ryzyko, wysiłek i trud. Ale w ten sposób pozbawiamy się tego, co jak tlen i pożywienie jest nam niezbędne do życia – wyzwania. Rozleniwiamy się, polegając na niezawodnych

urządzeniach i wiedzy ekspertów, i zapominamy przy tym, że nic nie jest niezawodne ani stuprocentowo pewne. No, może z wyjątkiem śmierci, choć po ostatnich wypadkach też w to wątpię. To bardzo ważne, co pan powiedział. Nikt z nas nie jest Bogiem.

Pan Przemek dosypał jeszcze cukru do herbaty, zamieszał i jednym haustem wypił zawartość szklanki.

– Zuzanna została bez pracy. Ona wierzyła temu całemu Magowi, a tymczasem oszust ulotnił się jak kamfora – rzekł pan Przemek na odchodnym. – Może znalazłaby się dla niej jakaś praca? To dobra dziewczyna.

Obiecałam, że pomyślę. Do czego mogłaby się przydać asystentka wróża, praktykującego Maga? Mnie raczej nie, ale może pani Zosi?

23 listopada, środa

Gabriela jest tak przejęta zaręczynami, że nie chodzi, tylko pływa w powietrzu. Dziś z tej radości umyła całą klatkę schodową. Jurek dla odmiany nosi głowę zwieszoną do ziemi i tylko wora na plecach mu brakuje. Czy tak wygląda zakochany człowiek?

Nie mogłam już tego znieść, więc udałam się do mieszkania zajmowanego przez Gabrielę i zapukałam. Otworzyła mi pani z fioletowymi włosami i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Czekałam na ciebie – powiedziała swoim słodkim, ładnym głosem, od którego od razu robi się jakby cieplej i jaśniej. – Chcesz pomóc swojemu przyjacielowi. Ale najpierw musisz pomóc sobie.

– Jak mam to zrobić? – zaczęłam bez wstępów. – Co mam zrobić?

– Nie wstydź się tego, kim jesteś i co potrafisz – orzekła lawendowa pani. – Każdy dar, który otrzymujemy od Stwórcy, jest piękny i dobry. Od człowieka zależy, jaki z niego użytek. Czy taki, że ludzie będą go błogosławili, czy taki, że będą go przeklinali. Uwierz w siebie i zaoferuj światu siebie.

– I to pomoże Jurkowi?

– Tak. Ale w jego sprawie musisz zrobić coś jeszcze...

I lawendowa pani powiedziała mi, w jaki sposób odzyskać runiczny zapis klątwy, który spętał Jurka. Zapamiętałam wszystko dokładnie, ale gdy wychodziłam, zastanawiałam się, czy wystarczy mi odwagi, by ten plan zrealizować. W ogóle nie zastanowiłam się, skąd ona to wie...

25 listopada, piątek, fragment maila do Roksany

Kochana, zdałam sobie dzisiaj sprawę, że powinnam sporządzić testament. Chyba życzyłabym sobie, żeby po mojej śmierci – cywilnej lub biologicznej – pewne sprawy zostały załatwione we właściwy sposób. Na przykład uważam, że Boluś dobrze by się czuł w zakładzie pogrzebowym, razem z resztą towarzystwa. On lubi, gdy coś się dzieje. I pamiętaj, że pod żadnym pozorem nie wolno rozdzielać Bu i Synka! Pan Igor, który sporadycznie nas odwiedza, zabiera ich razem na spacer i potwierdza, co napisałam. Oni są jak rodzeństwo!

Piszę to wszystko dlatego, że nie wiem, czy nie zamkną mnie w psychiatryku po tym, co zrobiłam ostatnio na posterunku policji, ale wszystko mi jedno. Ważne, że runy zostały unicestwione i Jurek nie jest już spętany. On i Gabriela mogą rozpocząć nowe

życie bez klątwy.

Na policję wybrałam się w czwartek. Zgodnie z instrukcją wróżki księżycowej musiałam wydobyć od Wawrzynowicza skrypt runiczny, który został sporządzony w celu spętania klątwą Jurka. Wróżka powiedziała mi, że kartka z runami została na policji jako dowód w sprawie o zabójstwo. No i ja powinnam tam pójść, odnaleźć ją i spalić. Do spalenia potrzebna była gromnica. Bagatela.

Możesz sobie wyobrazić, co przeżywałam, wchodząc do komendy z gromnicą pod pachą. Dyżurny nie chciał mnie wpuścić, ale przekonałam go, że to ważny rekwizyt, który bardzo przyda się w śledztwie, i że komisarz Ugryź o tym wie. Z piekła nie wyjrzę za te kłamstwa, ale dotarłam do właściwego pokoju. Szczęście mi sprzyjało. Drzwi były otwarte, wewnątrz nikogo nie było, a na biurku rozłożone były akta sprawy. Kartkę z runami rozpoznałam od razu. Bez zastanowienia weszłam do środka, złapałam co trzeba, schowałam do kieszeni i szybko wyszłam. Wróżka powiedziała mi, że runy muszą spalić na miejscu, bo tam pozostała energia Wawrzynowicza.

Usiadłam więc w kąciku, na samym końcu korytarza, zapaliłam świecę, wyjęłam kartkę z kieszeni i zaczęłam mamrotać treść zaklęcia. Wkrótce potem płomień zajął papier. Gdy było już prawie po wszystkim, drzwi pokoju, przed którym siedziałam, otworzyły się gwałtownie, a wychodzący z nich policjant krzyknął w głąb pomieszczenia:

– Ty się lepiej zastanów, co robisz, bo za chwilę będziesz potrzebował tylko baby z gromnicą!

Drzwi otworzyły się na całą szerokość tak, że siedzący w pokoju młody chłopak bez trudu mógł mnie zobaczyć. I zobaczył. Jak tak sobie siedzę z zapaloną świecą i coś mamroczę. Policjant równie szybko zamknął drzwi, ale i tak usłyszałam głos chłopaka:

– To ja już wszystko powiem...

Ugryź dopadł mnie, gdy wychodziłam z komendy. Gość z dyżurki powtórzył mi, że przyszedł z gromnicą, żeby odczynić czary nad aktami. Komisarz nie był z tego zadowolony, tym bardziej że szłam z tą świecą jak ze sztandarem.

– A tak! – odpowiedziałam zuchwale, kiedy wyzwał mnie od szeptuch. – Pan wciąż nie może zamknąć tej sprawy, bo chłopaka z zawałem nie może pan dopasować! Ani butów! Dlatego oczyściłam aurę pokoju i biurka i niebawem wszystko stanie się jasne!

Nie zatrzymywał mnie. Wróciłam do domu i od razu zasnęłam. To jednak trudne zadanie być wróżką z przekonania.

26 listopada, sobota

Pożegnanie z księdzem Rafałem już za dwa tygodnie. Nie doczekamy wspólnych świąt Bożego Narodzenia, dlatego też siostra Joanicja zmartwiła się, że nie zaśpiewamy kolęd podczas ostatniej odprawianej przez niego mszy.

– A dlaczego nie zaśpiewamy? – zdziwił się mój ojciec. – Przecież to już będzie adwent!

– No tak... – Siostra Joanicja zawiesiła głos. – Kolędy można śpiewać przed świętami, ale...

– Po cichu? – dopowiedział pan Wacek.

– No ale dlaczego? – nie ustępował mój ojciec.

– Bo ludzie się włączą! – wyjaśniła wyczerpująco Jolka. – A to ma być uroczysta msza, a nie jakieś tam przedświąteczne kolędowanie!

– To zaśpiewajmy tak, żeby się nie włączyli – zaproponował milczący zazwyczaj Adam. – Jeśli zaśpiewamy tak szybko, że nie będą nadążali, na pewno się nie włączą! Niech siostra podpisuje, co tam trzeba: kasowniki, klucze, dzióbki, i potem wszystko przekreśli, żebyśmy mogli śpiewać szybciej!

– No to może tak zrobimy – zgodziła się z ociąganiem siostra. – Musimy jeszcze to przećwiczyć. Na razie zaśpiewajmy może coś mniej kościelnego...

– To może *Góralu, czy ci nie żal?* – zaproponował pan Wacek. – To jest bardzo mało kościelne!

– Chodziło mi raczej o to, żeby nie kolędowe – sprostowała siostra i się zarumieniła. – Zresztą nieważne, co zaśpiewamy, ważne, żeby tym razem śpiewać czołem.

– Tak jest – przytaknęła Patrycja, a Basia pokiwała głową. – Bo gdy śpiewamy ustami, to fałszujemy!

– Uwaga! – Zakonnica zastukała batutą. – Dźwięk przed sobą, oczy zdziwione, usta szeroko i wciągamy brzuchy!

Pierwsza zwrotka kolędy poszła błyskawicznie, z drugą był większy problem.

– Czy zauważyli państwo, że w tym utworze mamy kropki w nutach? – zapytała siostra, gdy skończyliśmy śpiewać.

– Ja myślałam, że to brudne, i powycierałam – przyznała się pani Kasia.

– Te kropki oznaczają, że mamy się zatrzymać, zrobić krótką pauzę i znów śpiewać – wyjaśniła siostra Joanicja. – Uwaga, zaczynamy!

Część osób zatrzymywała się w miejscu wskazywanym przez kropki, a część nie. Co gorsza, jeśli ktoś przestawał śpiewać, ktoś inny robił to za chwilę i z czasem ogarnął nas totalny chaos. Siostra Joanicja postukała batutą w pulpit.

– Zrobimy tak – zaproponowała. – Proszę na mnie popatrzeć. Jeśli zrobię tak – tu podniosła sztywno pałeczkę – na chwilę się zatrzymujecie.

Zaczęliśmy. Trudno nam było patrzeć na siostrę i jednocześnie śledzić tekst, więc już przy trzeciej zwrotce niektórzy się pogubili. Siostra się zamyśliła.

– No dobrze. – Pokiwała głową. – Zostawmy to. Zaśpiewajmy...

– To może jakąś kolędę? – zaproponował Adam.

Reszta natychmiast zaczęła zgłaszać swoje propozycje.

– Kolędę później, panie Adamie. Teraz śpiewamy...

– ...utwory świeckie – dopowiedział szybko pan Wacek, a jego żona trąciła go łokciem. – No co?

– Słuchajcie, a co damy księdzu na pożegnanie? – przypomniała sobie nagle pani Krysia. – Przecież wypada chyba coś dać!

– Kopertę! – oświadczył mój ojciec, a pani Danusia przytaknęła.

– Ale jaką kopertę? – zapytała pani Bożena.

– Jak to jaką? – rozgądał się Adam. – Czarną z białym brzeżkiem.

– Ale to jakoś nieładnie, przecież czasem z nami śpiewał. – Jolka się skrzywiła. – Może jakiś prezent?

– Ale jaki? – zapytała Basia. – Co można dać księdzu?

– Siostro, co się daje księdzu? – zwróciła się do zakonnicy Patrycja.

Zakonnica tylko wzruszyła ramionami, za to pan Wacek wystrzelił:

– A może damy mu porządną walizkę! Na wyjazd przyda się w sam raz!

– Przestań – skarciła go żona. – Jeszcze pomyśli, że chcemy się go definitywnie pozbyć. Walizkę nie!

– A koszulę? Tego nigdy za wiele – zaproponowała pani Danusia.

– A znacie rozmiar kołnierzyka?

– Słuchajcie, a może kupić mu jakąś książkę?

– Jaką? *Historię Kościoła*?

– To może pościel?

– I gdzie będzie z tą pościelą jechał? Do Watykanu?!

Zajęci rozważaniem, co podarować księdzu, całkiem zapomnieliśmy o śpiewaniu. Zrezygnowana siostra Joanicja usiadła na brzegu schodów, a my debatowaliśmy dalej.

– Obraz odpada, bo nie będzie przecież ciągnął gratów ze sobą!

– Dlaczego nie? Nie pojedzie tam chyba tak, jak stoi? Tylko w sutannie!

– A może zapasową sutannę?

– A znasz jakiś sklep z sutannami?

– No a kosmetyki? Krem do golenia, mydło, dezodorant?

– Nie wypada, w końcu to ksiądz!

– Księża się nie myją?

– To byłby objaw braku szacunku z naszej strony!

– W takim razie podarujmy mu statuę Świętego Krzysztofa, patrona podróżnych.

– On nie jedzie na misję, tylko do Watykanu, uczyć się!

– To tak jakby jechał na misję!

Stanęło wreszcie na tym, że prezent wybierzemy później, bo siostra powinna wrócić na noc do klasztoru, a właśnie mijała dwudziesta druga.

27 listopada, niedziela

To będzie ostatni już fragment nowej powieści napisanej przez Jurka, czytany przez naszego księdza z ambony. W następną niedzielę pożegnamy go, a wcześniej wysłuchamy jego uroczystego kazania.

Jurek wypogodniał, więc jak widać, gromnica pomogła. Ciekawa jestem, czy sam mi powie o zaręczynach z Gabriellą. Zuzannę poleciłam pani Zosi; jutro podpytam, czy kandydatka na asystentkę wróżki się spodobała. Pani Zosia weszła do spółki z panem Archaniołem, który w ostatnim czasie rozstał się z kolejnym niesumiennym współnikiem. Myślę, że razem stworzą udany zespół. Zuzanna ze swoim doświadczeniem też się przyda. Bardzo się rozczarowała panem Diabłem i bardzo to przeżyła, ale z relacji pana Przemka wynika, że jest na dobrej drodze, by szybko odzyskać formę. Pan Przemek przysłał mi w podziękowaniu tuzin czerwonych róż.

Do mojej firmy napisała mail pani Joanna Potasiewska. Okazuje się, że jest tłumaczem literatury anglosaskiej. Natychmiast skojarzyłam ją z Jurkiem, może sprawa tłumaczenia jego książki nie jest jeszcze przesądzona.

Gryzie mnie jeszcze sprawa tego buta oraz śmierci chłopaka. Oby działanie gromnicy objęło także i te kwestie. Przecież wiem, jak było!

Opowieści z Rajskiej Krainy

4. Mecz

Chmury płynęły po niebie, jedna za drugą, sunąc we właściwym tempie po szynach promieni słonecznych. Na jednej z nich, przy uformowanym z bryłek lodu odbiorniku radiowym, sadowił się właśnie pan w garniturze. Odbiornik miał dziwny kształt, z boku wystawała mu antenka z włosów anielskich, która zamiast w górę skierowana była ku dołowi. Pan w garniturze przesuwiał kryształkami w różnych kierunkach, usiłując uzyskać jak najlepszy dźwięk.

– No i jak? Zaczęli już? – zagadnął go przepływający na sąsiedniej chmurze pan w okularach. – Słyszał pan, jaki skład i kto gwizdże?

– Tak, ale słabo. – Pan w garniturze zmarszczył brwi. – Zakłócenia jakieś są, kiepsko słyszeć.

– Niech pan ustawi bardziej na zachód, w końcu płyniemy na wschód – poradził ktoś z innej chmury.

– Kurczę blade, to przez to, że te chmury wciąż się przemieszczają, sygnał się gubi! – denerwował się pan w garniturze, co i raz przykładając ucho do kryształowego odbiornika. W pewnej chwili rozległ się przytłumiony dźwięk gwizdka i dużo głośniejsza wrzawa kibiców na stadionie.

– No! Zaczęli. – Pan w okularach się uspokoił. – To jak obstawiamy, panowie? Trzy zero dla naszych?

– Coś pan! Z byka pan spadł? – oburzył się pan w garniturze. – Jeżeli pięć goli przepuścimy, to będzie dobrze!

Do dyskusji dołączyli się inni mężczyźni, siedzący dotąd w milczeniu na swoich chmurach. Każdy miał coś do powiedzenia i utrzymywał, że właśnie jego opinia jest obiektywna i jedynie słuszna. Mecz słyszalny był coraz wyraźniej, więc i komentarze nie milkły. Nagle rozległ się wrzask z trybun, któremu towarzyszył radosny okrzyk spikera. Na chmurach zakotłowało się.

– Jeeest!!! – wrzeszczał na całe gardło pan w garniturze. – Gooool!!!

– Piękny strzał! Piękny strzał! – wtórowali mu inni. Niektórzy do tego stopnia ucieszyli się z sukcesu drużyny piłkarskiej, że zaczęli podskakiwać na swoich chmurach, wywołując w ten sposób ulewny deszcz u wybrzeży Ameryki.

– Panie! Siadaj pan, bo mecz odwołają! – powstrzymał jednego z cieszących się pan w okularach. – To są chmury wodne jak łóżka wodne.

Skaczący uspokoił się, mecz trwał dalej.

– Kto faulował? Hej, kto faulował? – rozlegało się raz po raz. – Dajcie głośniej, jak rany, bo trzeba się wsłuchiwać!

– Dla kogo ten różny? Dla nich? Jak to?! Oszuści! Sędzia kalosz! Dla nas? A, to dobrze.

Nagle radio ucichło. Pan w garniturze potrząsał odbiornikiem i oglądał go na wszystkie strony, poruszał włosem, podnosił i opuszczał, wszystko jednak na nic. Transmisja meczu została przerwana.

– No, co tam? – dopytywał się pan w okularach. – Może trzeba bardziej ten włos wysunąć!

– Właśnie próbuję, ale nic. Sygnał zgubiło. Może jesteśmy za daleko? Te przekłete

chmury płyną i płyną, można było pomyśleć o tym, żeby je zatrzymać!

– Nie da się – odezwał się nagle starszy pan, wygodnie usadowiony na chmurze w kształcie fotela. – Jestem tu od czwartego wieku. Chmur nie da się zatrzymać.

– Co to za dziadostwo! – denerwował się pan w garniturze, coraz bardziej niecierpliwie potrząsając odbiornikiem. – Głupiego meczu nie można posłuchać!

– Kochani! – rozległ się nagle niebiański głos Piotra. – Zechciejcie na chwilę przerwać swoje rajskie i beztrudne życie, żeby wysłuchać mojej prośby. Oto zbliża się czas, kiedy będziemy wychwalać moment narodzin Pana Naszego. Święta Cecylia pragnie uświetnić tę chwilę wspaniałym śpiewem niebiańskiego chóru. Zapraszam więc wszystkich do wspólnego kolędowania!

– Ja nie umiem śpiewać – oświadczył pan w okularach. – I nie lubię.

– W Raju wszyscy wszystko potrafią – odpowiedział jak na zawołanie Piotr. – Wystarczy zechcieć. Specjalne zaproszenie kieruję pod adresem wszystkich śpiewaków, piosenkarzy, muzyków i dyrygentów.

– Sprytne. – Pan z sąsiedniej chmury pokiwał głową. – Całe grupy muzyczne tu widziałem. Tam, na tej chmurze w kształcie sceny, ćwiczy jakiś zespół folkowy. Rzępola na tych swoich skrzypkach, że uszy więdną i tak cały czas. A ten po prawej – pan pokazał palcem na chmurę w kształcie namiotu – bez przerwy wali w bębny. Oszaleć można. Mówię panu, obłęd. Chmury zmienić nie można, toru, po którym się ona porusza, zmienić nie można, co to za Raj?!

– Wszystko można, ale musisz pan zmienić myślenie – pouczył go starszy pan z fotela. – Potęgą podświadomości, panowie. W Rajskiej Krainie myśl słowem się staje, a słowo ciałem. Na tym to polega. Każdy przychodzi tu po to, by zatopić się w wieczności, robiąc tylko to, co najbardziej lubił i czego najbardziej mu było żal po śmierci. Raj stanowi wyzwolenie od przymusu, lęku i niepewności. Głodu, chłodu i śmierci. Chyba że ktoś to lubi.

Pan w garniturze nagle podniósł się ze swojej chmury i spojrzał w rozległą przestrzeń nieba. Na jego twarzy zarysowały się spokój i błogość. Milczał przez chwilę, a następnie sięgnął po aparat radiowy z kryształów. Chwilę potem znów było słychać mecz.

– Rozumiem – powiedział do siebie. – Moja wolność polega na tym, że robię to, czego w tej chwili pragnę. Cała rzeczywistość wokół mnie może się zatrzymać lub płynąć dalej, ale nie obciąża mnie przymus, by jej towarzyszyć.

– Dobra, dobra, lepiej daj pan posłuchać, jaki wynik – wtrącił się pan w okularach.

– A jaki ma być? – Pan w garniturze się uśmiechnął. – Przecież to od nas zależy.

– No, to jest myśl! – podchwycił pan z sąsiedniej chmury. – Panowie, możemy pomóc naszym chłopakom! Ale jazda!

Gdy stało na tym, że mecz zakończy się rezultatem piętnaście do jednego, nad chmurą pana w garniturze zawisł Archanioł Gabriel i uśmiechnięty zakomunikował:

– Przynoszę wam dobrą nowinę! Mecz zakończył się właśnie remisem, a Cecylia chętnie poczeka na was z próbą.

Pan w garniturze westchnął ciężko, a starszy pan w fotelu pokiwał głową z uśmiechem.

– Z wolności też trzeba umieć korzystać! Jak z każdego innego daru! – krzyknął

i odpłynął na swojej chmurze.

29 listopada, wtorek

Zatem przesądzone! Zuzanna rozpocznie pracę w charakterze specjalistki od imprez specjalnych u pana Archaniola! I to już od pierwszego grudnia. A Jurek porozumiał się z panią Potasiewską, która podejmie się tłumaczenia. Dyskretnie ustaliłam, że sprawa spadku ma się rozstrzygnąć jeszcze przed świętami. Sąd wyznaczył termin rozprawy i jeśli biedaczka nie dostarczy testamentu, straci wszystko.

Co mogłam zrobić w tej sytuacji? Wyjęłam moje mocno zakurzone karty i zadałam im pytanie. Jestem wszak wróżką mimo woli, wróżką z przeznaczenia, wróżką z powołania. Jakie jest moje powołanie? Może właśnie takie, by nieco podpowiedzieć, aby sprawiedliwości stało się zadość. I nie myliłam się, but odgrywał w tej całej historii zasadniczą rolę. But też miał się przyczynić do jej szczęśliwego zakończenia. O butach wiedziałam już wszystko, tylko nie miałam pojęcia, jak tę wiedzę przekazać, by mi uwierzono.

2 grudnia, piątek

Pani Potasiewska nigdy zapewne się nie dowie, skąd wiedziałam, gdzie szukać testamentu. Dla mnie ważne jest jednak, że gdy dziś odbierze na poczcie list polecony, ze zdumieniem odkryje, że jej największe zmartwienie zniknęło. Przy okazji pomogłam komisarzowi Ugryziowi, który może wreszcie zamknąć sprawę śmierci pana Ryszarda i trzech innych osób oraz sprawę związaną z dewastowaniem grobów. Pan Adam Diabeł przestanie czuć się bezkarny, kiedy w poniedziałek zapuka do niego policja. Bezcelny typ kłaniał mi się dzisiaj z tym swoim paskudnym uśmiechem na gębie. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam o prezencie dla księdza Rafała. Podpytam panią Danusię, na co zdecydowali się chórzyci. Jutro ostatnia próba przed niedzielnym występem. Ciekawa jestem ogromnie, co takiego ksiądz powie nam podczas kazania.

4 grudnia, niedziela

Napiszę krótko: przyszły tłumy. Kościół wypełniony był po brzegi. Ludzie stali i siedzieli gdzie popadnie. Część niecierpliwiła się, że kazanie poprzedza przydługie czytanie. Ksiądz proboszcz zdenerwował się tak bardzo, że pomylił czytania w lekcjonarzu. Chór Ament śpiewał natomiast jak natchniony. Zarówno utwór na wejście, jak i nasze popisowe *Alleluja* wypadły doskonale i bez niespodzianek.

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany moment i ksiądz Rafał przemówił:

– Kochani! Dziękuję, że przybyliście tu tak licznie. Wierzę, że to nie będzie tylko dziś, ale że w każdą niedzielę i w każde święto nasza świątynia będzie się zapełniać wiernymi. Zdaję sobie sprawę, że wielu spośród was przygnała wyłącznie ciekawość, co też widziałem i słyszałem owego pamiętnego dnia, gdy zamknięto mnie w krypcie. Podzielę się z wami tym doświadczeniem, ale tych, którzy liczą na sensacyjne wyznania, rozczaruję.

Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. A ponieważ nie rozumieliśmy

dobrze, co to oznacza, zesłał swojego Syna. Chrystus Pan przeszedł przez wszystko, czego doświadczamy w trakcie naszego życia: był dzieckiem, nieposłusznym nastolatkiem, musiał nauczyć się fachu, cierpiał trudy wyczerpującej podróży, bywał głodny i spragniony, nie rozumieli go jemu współcześni, wreszcie niesprawiedliwie cierpiał... My, ludzie, doświadczamy tego samego na różne sposoby, upodabniając się w ten sposób do Boga. Również kiedy cieszymy się i spotykają nas miłe rzeczy, jesteśmy jemu podobni. Kiedy błądzimy i ogarnia nas strach i kiedy pragniemy dzielić swoje szczęście z drugą osobą. Wtedy stajemy się bogami.

Lecz w jednym zawsze będziemy się różnić od naszego Stwórcy. On bowiem nigdy nie zapragnie nas zastąpić, wyeliminować, zająć nasze miejsce. My zaś pragniemy tego stale. Budzi się w nas pożądlivość, by posiadać wiedzę, możliwości, potęgę, która przewyższa wszystko inne. By stać się tym jednym, najważniejszym, najpotężniejszym. Dajemy się omamić oszustom i manipulantom tylko po to, aby choć przez chwilę stać się Bogiem.

Świat zawsze odpowiada na zapotrzebowanie. Podaż rodzi popyt. Nienasycona potrzeba posiadania ogarnia wszystkie aspekty naszego życia, a manipulacja staje się sztuką. Jesteśmy bowiem świadomi, że Boga nie można wyeliminować na stałe, ale może uda się go zastąpić na chwilę. Podążamy więc za propozycją, by zamiast do Niego zwracać się o pomoc do aniołów, by zamiast Jego prosić o wsparcie gwiazdy, by zamiast z Nim rozmawiać z duchami. A przecież wszystko, co na tym i na tamtym świecie jest stworzone, Jemu podlega, Jemu służy, do Niego się zwraca. Czy Bóg naprawdę potrzebuje pośredników? Czy w tym jest nam podobny, że swojego zadania nie może wykonać osobiście?

Do jakich posłańców zwracacie się wy, orędownicy przesłań anielskich? Jaką treść zawiera wasza modlitwa o światło? Wszak imię Lucyfer „światło” oznacza! A on sam i jemu poddani niczym innym są niż aniołami!

Opamiętajcie się więc i zobaczcie, że posiadanie nie jest przymiotem Boga, lecz człowieka. Chcecie być stworzeni na wzór i podobieństwo człowieka? Niektórzy z was tak, skoro hodując ludzi, wybieracie co lepsze sadzonki, niczym ogrodnik w szklarni, który pozostałe niszczy, bo ich nie sprzeda. Czy boskim przymiotem jest oceniać przed poznaniem? Unikać kary i szukać winnych we wszystkim, tylko nie w sobie?

W jaki sposób bardziej Bóg ma nas przekonać, że jesteśmy Jego dziećmi, i tak jak wiśnia rodzi wiśnię, owca owcę, a pszczoła pszczołę, tak człowiek z Boga pochodzi. I nie przystoi mu być jak zwierzę, roślina czy przedmiot.

Niektórzy z was przyszli tu, spodziewając się, że zaprezentuję coś, czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało. Ale powiadam wam, że gdyby teraz sam Archanioł Gabriel stanął przed wami, ucieklibyście, zakrywając twarze. Zaprzeczylibyście, doszukując się oszustwa. I chwilę później prawdziwe oszustwo uznając za prawdę, bo tylko nielicznym wam pokazane byłoby, więc bronilibyście go jak chorągwi.

Cudem jest życie. Każde i w każdej postaci. Jest ono darem, który dostajemy, by z niego czerpać. A jeśli to niechciany prezent, zawsze można zwrócić, to przecież w świecie ludzkim nic nowego.

Na koniec proszę was, przeczytajcie w ostatnią niedzielę adwentu zakończenie historii, którą czytałem wam przez ostatnie tygodnie. To jest owo przesłanie, które

chciałem wam przekazać.

Gdy ksiądz Rafał skończył mówić, zapadła cisza. Siostra Joanicja dała nam znak, że mamy zaśpiewać, ale nasze gardła były zaciśnięte ze wzruszenia. Wówczas zaśpiewał pan, którego imienia nikt z nas dotąd nie poznał. Zaśpiewał tak, że pan Wacek tylko wychrypiał:

– Jakby sam anioł śpiewał!

Po liturgii ksiądz Rafał przyjmował życzenia od wiernych. Z chóru poszli pan Wacek i pani Bożena, jako delegacja. Nieśli nieduże pudło, pięknie zapakowane.

Emocje trochę opadły, więc siostra Joanicja syknęła:

– Zaśpiewamy *Bóg się rodzi!* Dla naszego księdza, bo on lubi kolędy!

Ustawiliśmy się i zaśpiewali tak, jak siostra lubi: czołem, ze zdziwionymi oczami, wciągniętymi oczami i buziami w dzióbek.

– Nie spadamy! – szepnęła siostra.

– A czemu niby mamy spadać? – zaniepokoił się ojciec. – Ta konstrukcja jest wprawdzie drewniana, ale przecież solidna!

Wręczanie prezentów przedłużało się, więc śpiewaliśmy dalej.

– *Przybieżeli do Betlejem!* – zarządziła siostra. – Na jednym oddechu! Wszystkie zwrotki!

– Osiem zwrotek na jednym oddechu?! – przestraszył się ojciec, ale pani Danusia trąciła go łokciem i poradziła:

– Śpiewaj, ile zdołasz!

Do kolędowania dołączyli wierni. Cały kościół rozbrzmiewał teraz radosnymi dźwiękami. W pewnej chwili wrócili pan Wacek i pani Bożena z pudełkiem pod pachą.

– Nie przyjął? – zatroskał się Adam. – Mówiłem, żeby kupić mu flaszkę!

– A co to jest? – zapytałam szeptem Patrycję.

– Zestaw „mały ksiądz” – odszepnęła. – Taki malutki, podróżny.

– Ludu tyle, że się nie dopchnęliśmy – rzucił szybko pan Wacek, bo już leciała kolejna zwrotka.

– Uwaga, przyspieszamy, bo ksiądz wchodzi na ołtarz! – rzuciła komendę siostra i zaczęła szybciej machać pałeczką. Nadaliśmy ostre tempo. Podziałało, lud umilkł, bo nie mógł za nami nadążyć. Mój ojciec też nie. Ale odśpiewaliśmy te osiem zwrotek.

– Dziękuję, kochani, do zobaczenia za jakiś czas! Pozostańcie z Panem Bogiem! – błogosławił wszystkim ksiądz Rafał. Msza dobiegła końca, a my zostaliśmy z tym prezentem.

– Hej, dostaniemy się na plebanie wewnętrznym korytarzykiem! – przypomniał Adam.

Natychmiast ruszyliśmy do schodów. Dość szybko udało nam się przebić do księżowskiej jadalni, gdzie wreszcie złożyliśmy księdzu życzenia i wręczaliśmy prezent.

– A gdzie jest ten nowy chórzysta, który tak pięknie dziś śpiewał? – zapytał nagle ksiądz proboszcz.

Nie było go z nami na plebanii. Pan Wacek szybko złapał klucze i pobiegł sprawdzić w korytarzyku, choć zejście do krypty zostało już zamurowane. Wrócił po dłuższej chwili sam i mocno zdziwiony.

– Nikogo tam nie ma – powiedział poważnie. – A drzwi na chór były zamknięte na klucz!

5 grudnia, poniedziałek

Sympatyczna para zapadła się pod ziemię. Zapytana przeze mnie Gabriela stwierdziła, że nie widziała ich od wczoraj. Zniknęli równie szybko i tajemniczo, jak się pojawili. Nigdy nie poznaliśmy ich imion ani nie doszliśmy, kim byli i skąd się wzięli.

W poniedziałek nie udało się też aresztować pana Diabła, bo także przepadł. Kiedy komisarz Ugryź pojawił się w towarzystwie swojego asystenta w naszej kamienicy, drzwi mieszkania, które wynajmował Mag, otworzyła... Roksana we własnej osobie.

W żadnym pomieszczeniu nie było śladu po czarnym suknie czy kotarach. Gdyby nie fakt, że pisałam do niej maile, w których wspominałam rzeczono Diabła, prawdopodobnie doszłabym do wniosku, że ten cały czarnoksiężnik z Krainy Oz mi się przyśnił. Natychmiast zarzuciłam Roksane masę pytań.

– Australia jest przereklamowana – oświadczyła jedynie. – Nuda, beznadzieja i długi. Ale widzę, że tutaj to się dopiero dzieje!

Starym zwyczajem umówiliśmy wszystkich znajomych na wieczorne podsumowanie wydarzeń, tak by nikomu nie trzeba było dwa razy wszystkiego powtarzać. Jak poprzednio, usiedliśmy przy stole.

Okazało się, że Roksana wróciła w niedzielę rano i przespała prawie szesnaście godzin. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że czarnoskóry Maurycy nie był właścicielem farmy strusi, on tam po prostu pracował. Jego szef ucieszył się, gdy zobaczył młodą, zdrową kobietę, która mogła od razu zabrać się do pracy. Przestraszona Roksana przez cały miesiąc obrabiała te strusie, zanim przyszło jej do głowy, że może uciec. Później zatrudniła się jako kelnerka i sprzedawała buty w sklepie. Musiała zarobić na bilet powrotny, bo właściciel farmy wszystko jej zabrał. Gdy uzbierała prawie całą sumę, na zapleczu kawiarni, w której spała na drewnianych skrzynkach, wybuchł pożar i strawił cały majątek biednej Roksi. Wtedy zgłosiła się na policję i już dwa dni później deportowano ją do Polski, najedzoną, wykąpaną i wypoczętą, bo wreszcie mogła przespać się na czymś miękkim. Przed odlotem pozwolono jej jeszcze skorzystać z internetu, dzięki czemu przeczytała wszystkie wiadomości ode mnie.

– Ten facet chciał odzyskać buty, być może dlatego, że drogie i szyte na miarę, ale moim zdaniem nie tylko o to chodziło. On chciał je schować – oświadczyła Roksana, gdy po australijskich przygodach przyszła pora na omówienie naszych, rodzimych. – Moim zdaniem Wawrzynowicz kłamie, ale coś wie. Od razu wydał mi się podejrzany, bo jakoś dziwnie zawsze pojawiał się tam, gdzie coś się działo. Niby taki wariat, a jednak wiedział, gdzie ma być. Na miejscu policji zbadalabym jego powiązania. Ustalili, kto to jest?

– No właśnie! – Pokiwałam głową. – Czy trzeba pojechać aż do Australii, żeby rozwiązać zagadkę? – Ugryź przestał nawijać nitki i to sprawiło, że przestał trzeźwo myśleć. Nie zastanowił się, że Wawrzynowicz i Broniewski mówią dokładnie to samo, a przecież się nie znają!

– To samo, ale do pewnego momentu – zauważyła Roksana.

Pozostali się nie odzywali, może dlatego, że Jurek wołał o całej sprawie zapomnieć,

mój ojciec o niczym nie wiedział, pani Danusia także nie, Jacek nie przyszedł, a Gabriela i Mateusz byli zajęci wyłącznie sobą. Prowadziłyśmy więc z Roksaną dialog.

– Janusz Wawrzynowicz zeznał, że jechał wykonać zlecenie jako prywatny detektyw. Twierdził, że obserwował niewierną żonę, która nagle pojechała do Maga. Zagapił się, ruszył szybko i niechcący najpierw ochlapał przechodnia, a potem potracił pana Ryszarda. Uciekł, a po pewnym czasie sumienie go ruszyło. Po drodze uczeplił się jeszcze Maga – wyliczyłam.

Roksana pokiwała głową i oznajmiła:

– Broniewski przedstawił dokładnie taką samą wersję, ale jako że wszyscy uznali, że to wariat, początkowo wykreślono go z grona podejrzanych. Później naprawiono ten błąd, ale wciąż nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy Wawrzynowicz jest prywatnym detektywem, a nie detektywem amatorem, z kolei Broniewski zgłasza się do szpitala w brudnym obuwiu, mimo że nie pada. Nikt nie sprawdził, że buty Broniewskiego zawsze pokrywały się błotem dokładnie wtedy, gdy rzekomo leczył się w psychiatryku. To mnie naprowadziło. Pisałaś, że Babcia wspominała o butach.

– No właśnie, a Wawrzynowicz pomijał niektóre szczegóły, bo nie mógł o nich wiedzieć. On na własną rękę śledził ludzi i wymyślał historie, które próbował potem opisywać. Nudził się na emeryturze i bardzo pragnął trafić na trop jakiejś grubszej historii, w której mógłby w jakiś sposób uczestniczyć. Udało się. Podслуchał rozmowę Broniewskiego z jego współnikiem na schodach w bloku na Targówku i tak bardzo pragnął w to wejść, że wmówił sobie, że jest sprawcą zabójstwa. Chciał przeżyć wskrzeszenie człowieka, dlatego potrzebna mu była wiarygodna historia – powiedziałam, pokiwałam głową i wspólnie z dopowiadającym szczegóły Bolusiem orzekłam:

– Od początku chodziło o spadek. Profesor Potasiewski sporządził testament, w którym zapisał wszystko mieszkającej z nim synowej. Broniewski dogadał się więc z córką profesora, Małgorzatą i jej mężem, że sfalszują dokumenty, żeby zamiast Joanny Potasiewskiej cały majątek przejęła Małgorzata. Fałszerstwo dotyczyło między innymi pełnomocnictw do podejmowania decyzji w imieniu profesora. Popełnił jednak błąd, bo zaczął działać jeszcze za jego życia. Posłużył się podrobionym pełnomocnictwem w banku i wyłudził sporą sumę pieniędzy. W ten sposób profesor dowiedział się o zamiarach Broniewskiego i zgłosił sprawę na policję. Dysponował podrobionym dokumentem, ekspertyza biegłego grafologa to potwierdziła.

Profesor obawiał się, że Broniewski i jego córka mogą chcieć sfalszować także testament i posłużyć się nim po jego śmierci. Dlatego sporządził nowy, który postanowił sprytnie ukryć. W bucie. Niestety, nie zdążył powiedzieć o tym swojej synowej, pani Joannie, bo zmarł. Broniewski dowiedział się o wszystkim przez przypadek. Profesor dzielił się swoim pomysłem z księdzem na plebanii, a w tym samym czasie Broniewski oglądał piwnice przed planowanym remontem. Jego firmie remontowej zlecono te prace. To był zbieg okoliczności. W jednej z piwnic znajduje się stary szyb od windy, wystarczyło trochę nadstawić uszu. Broniewski ustalił z proboszczem zakres prac remontowych i nie pojawiał się tam więcej, zlecenie realizowali jego podwładni.

Podczas rozmowy z księdzem profesor wyjawiał, że zaprzyjaźniony szewc wykona dla

niego buty w taki sposób, że ukryje w podszewie prawego jego testament. Broniewski wydobył od szewca listę klientów i najął młodego chłopaka do poszukiwań. Obiecał sutą nagrodę. To był ten sam, który zmarł pod śmietnikiem, on zobaczył takie buty u faceta, którego ochlapał samochód. Jechał nim Broniewski, który celowo potrącił później pana Ryszarda. Chłopak widział wszystko, także sprawcę, postanowił jednak, że najpierw odszuka ochlapanego i jego buty, a potem zaszantażuje Broniewskiego. Udało się, zabrał buty z parapetu i skontaktował z Broniewskim. Wiedział już z telewizji, że potrącony nie żyje.

Chciał zrobić złoty interes. Sprzedać buty i swoje milczenie. Broniewski z początku wypierał się swojego udziału w potrąceniu pana Ryszarda, ale w końcu dogadali się, spotkanie ustalono pod śmietnikiem. Chłopak przyszedł z butami pod pachą, a za nim przyszedł pies, mała suczka. Broniewski nie zamierzał wywiązać się z umowy, prawdopodobnie zagroził chłopakowi nożem. Nie zrobił jednak z niego użytku, bo tamten zemdłał. Broniewski zabrał więc but i uciekł, w zdenerwowaniu nie zauważając, że to lewy zamiast prawego.

Gdy dostrzegł pomyłkę, było już za późno. Z początku nie wiedział, że chłopak zmarł, gdy to stało się dla niego jasne, starał się go potem odnaleźć na cmentarzu, ale biedaczyna nie został pochowany pod swoim nazwiskiem, Broniewski zaczął więc przetrząsać świeże groby. Dał również ogłoszenie, że sprzeda but. Liczył, że ten, kto się po niego zjawi, będzie posiadaczem prawego. Pan Igor wprawdzie kupił but, ale niestety, drugiego nie miał. Pytał za to o psa, Broniewski przestraszył się, że trop doprowadzi do chłopaka, napisał więc anonim, że pies nie żyje. Tymczasem córka profesora, Małgorzata, uznała, że skoro nie ma testamentu, ona odziedziczy wszystko po ojcu, nie musi więc przejmować się umową z Broniewskim. Broniewski zaczął się denerwować, że zostanie na lodzie. Zabił więc oboje, Małgorzatę i jej męża oraz zupełnie przypadkowego świadka, który widział, jak Broniewski kopie groby przy nasypie kolejowym. Morderca uznał, że najlepiej będzie zwalić winę na satanistów, dlatego wykonał odpowiednie dekoracje, wszystkie zwłoki okaleczył i zawlókł do krypty pod kościołem. Wiedział o niej, bo przed przystąpieniem do pracy na plebanii dokładnie wszystko zwiedził. Gdy wydawało się, że wszystko idzie wreszcie po jego myśli, postanowił zadbać jeszcze o swoje alibi i znów znalazł się w szpitalu psychiatrycznym, a wtedy babcia Jurka opowiedziała mu o bucie, który znajduje się w grobie pana Rysia. Musiał szukać dalej.

– Nie rozumiem tylko jednego. – Roksana zmarszczyła brwi. – Dlaczego on przed tobą uciekał i po co instalował się w zakładzie psychiatrycznym? No, dwóch rzeczy nie rozumiem.

– Widział mnie na chórze i bał się, że go rozpoznam – wyjaśniłam. – A psychiatryk dawał mu świetne alibi. Przecież na plebanii nikt nie wiedział, że on łąduje w szpitalu. Na policji sam powiedział, że zabił, żeby od razu go wyeliminowano. Tamtego dnia wcale nie zażył leków, a w nocy nikt nie sprawdził, czy na pewno to on śpi w łóżku. Tylko babcia go zdemaskowała. Wypytywał ją o ten but Bu i dziw bierze, że jej łąba nie rozbił. Gdy podczas pogrzebu nagle otrzeźwiał, zrozumiałam, że udaje. Broniewski szukał butów, a rozmowy z babcią tylko cementowały jego alibi, nikt bowiem nie wątpił, że jest wariatem. Przestraszył się, że teraz będzie trudniej, musiał więc grać na

zwłokę i dalej ściągać uwagę na Maga i satanistów.

– No właśnie, ale but zabrał pan Igor, więc wszystko się uprościło!

– On o tym nie wiedział!

– A Mag? Nie bał się, że dał się w coś wciągnąć? Przecież posługiwali się głową tego chłopaka!

– Mag świetnie na tym zarabiał, nic poza pieniędzmi go nie obchodziło, a Broniewski nagonił mu klientów. Przedstawił się jako pracownik zakładu pogrzebowego. Diabeł uważał, że niczym nie ryzykuje, oszukiwał przecież już wcześniej i nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji, uważał się za sprytnego.

– No tak, ale testament jednak się odnalazł, i to nie w bucie – roześmiała się Roksana.

Przytaknęłam.

– Najprostsze rozwiązania są zawsze pod ręką. Profesor swój testament zostawił w kieszeni marynarki. Natomiast w bucie tkwi zapewne fragment jakichś notatek. Mag dobrze wiedział o tym. Tyle tylko, że przywołany rzekomy nieboszczyk został ubrany w inną marynarkę. Diabłowi zależało na tym, żeby uwiarygodnić swoje czary, dlatego potrzebna była właściwa marynarka. Gdy pani Joanna opowiedziała mi o wszystkim, szybko skojarzyłam fakty. Marynarka, która należała do profesora, znalazła się u pani Zosi, razem z jego butami. Kiedy mnie olśniło, szybko do niej pojechałam, żeby to sprawdzić. Testament spoczywał w prawej kieszeni, a nie w prawym bucie. Profesor przechytrzył samego Diabła!

10 stycznia, środa

Życie pełne jest niespodzianek. Jurek nie zakochał się w Gabrieli – jak mogłam w ogóle tak pomyśleć! Klątwę rzucił na niego Wawrzynowicz i to nie mogło się udać, bo klątwy w ogóle nie działają na dobrych ludzi. Gabriela z kolei nie zakochała się w Jurku, tylko w Mateuszu Chłodnym. Że też mogłam to przeoczyć! Jak na przyszłych państwa Chłodnych przystało, wezmą ślub w lutym i pojedą w podróż poślubną na Alaskę. No i czeka nas rewolucja w firmie: przed pochówkiem zmarli będą przechodzić odkażanie!

Zuzanna bardzo dobrze sprawdza się w firmie pana Archanioła i pani Zosi, są z niej zadowoleni. Gorzej z panem Przemkiem, który znów narzeka. Ale pani Zosia kończy przygotowywać jego macierz stworzenia, więc jesteśmy dobrej myśli.

Jurek wyjeżdża w czerwcu do Londynu, żeby promować swoją książkę, a pani Joanna kończy przekład, zdąży przed końcem roku. W dodatku jego dotychczasowy wydawca zainteresował się wierszami Jurka, po tym gdy otrzymał on Tabliczkę Kaliopie w kategorii Najlepszy Debiut Roku. Podobno zamknięte w strofach *love story* właścicielki pralni i patologa sądowego to będzie hit. Gabriela też ma w tym swój udział: natchnęła Jurka tym pomysłem, więc kilka jej utworów też się w tym tomiku pojawi.

Sprawa spadku jeszcze się nie zamknęła, bo dalsza rodzina teraz dochodzi swoich praw, ale na razie nie spędza to pani Potasiewskiej snu z powiek.

Komisarz Ugryź gryzie się ze sprawą Wawrzynowicza i Broniewskiego. Wawrzynowicz, siedząc w areszcie, opisał cały proceder Adama Diabła w książce, która pojawi się na rynku w marcu, a Broniewski znów trafił do szpitala psychiatrycznego.

Biedny komisarz, radziłam mu, żeby inaczej to rozegrał – czasem warto posłuchać rad wróżki.

Roksana wróciła na swoje stanowisko w pralni. Jakoś pogodzą się z Gabrielą. A ja zaczynam nowy rozdział w życiu – jako pełnoetatowa wróżka.

A co z prośbą księdza Rafała? Została spełniona. W ostatnią niedzielę adwentu usłyszeliśmy ostatni fragment *Opowieści z Rajskiej Krainy*. Aha, jeszcze jedno: Boluś zyskał bardzo dobrze ułożoną towarzyszkę: ksiądz Rafał nie mógł zabrać ze sobą do Watykanu swojej papużki.

Opowieści z Rajskiej Krainy

5. Boże Narodzenie

Czy istnieje piękniejszy dzień niż dzień narodzin? Kiedy długo oczekiwana dusza przyobleka się w ciało i z zaciekawieniem, niepokojem oraz nadzieją pojawia na świecie? Gdy witana przez rodziców i tulona przez nich rozpoczyna swoją wędrówkę po świecie, drogę, której końca nie zna nikt, a przebieg może ustalić każdy, bo każdy jest kowalem własnego losu.

Dzień narodzin to dzień początku. Czas, kiedy każdy z nas na nowo może zdefiniować siebie jako duszę wędrującą przez świat.

W Rajskiej Krainie każdy po prostu wiedział, że to Dziś. Nie jutro, nie wczoraj, nie za tydzień, ale Dziś Jest Ten Dzień.

Wszystkie chmury lśniły jak nigdy dotąd, błękit nieba jaśniał niczym wypolerowana porcelana. Szaty wszystkich, aniołów i ludzi, były po oczach swoją bielą. Wszędzie, w każdym zakątku Raju, czuć było podniosłą atmosferę święta.

Pani w wałkach na głowie, która zamieniła swój szlafrok na powłóczystą podomkę utkaną z pajęczej sieci, walczyła z fryzurą. Ręce jej mdlały, ponieważ od dłuższego czasu usiłowała zderzyć z głowy te przekłete wałki, te jednak w niezrozumiały sposób po chwili znów się pojawiały. Bliska płaczu, nie poddawała się jednak.

– Kochana, może najlepiej będzie obciąć włosy, wtedy to ustrojstwo nie będzie miało się na czym trzymać! – poradziła jej pewna brunetka, która malowała paznokcie u stóp. Czynność tę wykonywała od momentu pojawienia się w Rajskiej Krainie. Zanim jednak skończyła malować ostatni paznokieć, wszystkie pozostałe znów wymagały, by pokryć je lakierem.

– Mnie jest nie do twarzy w krótkich! – odparła płaczącym głosem pani w wałkach. – Muszę je zdjąć! Przecież dziś śpiewamy! Jak ja się ludziom na oczy pokażę!

– Włosy nie zęby, odrosną – odparła brunetka i westchnęła. – Ja mam dużo gorzej. Maluję i maluję, i końca nie widać. Jakbym była stonogą!

– To nie jest żaden Raj, tylko jakieś upiorne miejsce! – Pani w lokówkach rozplakała się. – Grupa sadystycznych przebierańców znęca się nad nami w ten sposób. Dlaczego mnie to spotkało?!

– Każdego spotyka to, czego w istocie rzeczy pragnie – poinformował je wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z długą, białą brodą. – Otrzymujemy dary, na które czekamy. Ale ludzka natura jest przewrotna. Prosimy o jedno, a w skrytości ducha marzymy o czymś innym. Tak to już jest i zanim przyjdzie nam, ludziom, to

zrozumieć, upływają całe wieki.

Obie kobiety spojrzały z uwagą na mówiącego. W jego postaci było coś, co wydawało się im znajome, bliskie, nie mogły jednak sobie przypomnieć, co to takiego.

– No nie! – Brunetka odezwała się pierwsza. – Ja na pewno nie pragnę malować paznokci u nóg przez całą wieczność!

– Ani ja szarpać się z włosami! – dodała pani w lokówkach.

Starzec nagle się roześmiał. Jego śmiech brzmiał jeszcze bardziej znajomo. Rubaszny, ciepły, głęboki i szczery. Śmiech...

– Jak to nie? – Nieznajomy aż ocierał łzy, tak był rozbawiony. – Ty, moja droga – zwrócił się do brunetki – całe życie marzyłaś, aby spędzić je w taki właśnie sposób. Twoim najskrytszym pragnieniem było, aby ktoś inny pracował na twoje utrzymanie, zajmował się domem, brał na siebie obowiązki i to wszystko, co nazywałaś paskudną prozą życia. Twoim najważniejszym zadaniem było jedynie ładnie pomalować sobie paznokcie, a najtrudniejszą decyzją do podjęcia, który kolor lakieru wybrać na dziś. A ty – mężczyzna spojrział na panią w wałkach – byłaś tak mocno skupiona na tym, aby wszystko, łącznie z tobą, było idealne, że nie zauważyłaś, że świat nie jest doskonale symetryczny, równy, harmonijny ani zgodny. Niedostatki stanowią kwintesencję jego istnienia, ponieważ pozwalają dostrzec różnice. Marzyłaś, żeby twoje włosy ułożyły się w idealne fale, i byłaś gotowa zrezygnować z nocnego odpoczynku, by rano osiągnąć swój cel. W Rajskiej Krainie jest to możliwe. Wasze życzenia zostały spełnione.

Mężczyzna pokiwał głową nad zastygłymi w bezruchu kobietami, po czym znikł równie szybko, jak się pojawił.

– On ma rację – powiedziała po chwili brunetka. – Było tak, jak powiedział. Nie sądziłam jednak, że to, co uważam za najprzyjemniejsze, tu stanie się moją zmorą.

– To co mamy teraz zrobić? – Pani w lokówkach załamała ręce. – Na zawsze już będę latać w tych wałkach?

– Myślę, że chodzi o to, żeby przestać już o tym myśleć – odpowiedziała brunetka po chwili wahania. – Trudno. Bez pomalowanych paznokci też można żyć.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, buteleczka z lakierem, którą trzymała w ręku, znikła. Kobieta szybko spojrzała na swoje ręce i stopy. Nigdy przedtem nie wyglądały one tak pięknie i świeżo. Pani w lokówkach natychmiast opuściła ręce. W tej samej chwili wałki znikły, a jej piękne, zadbane włosy ułożyły się w idealne fale spływające na ramiona.

Wówczas rozległ się głos Piotra:

– Kochani! Świętowanie czas zacząć! Zapraszam wszystkich chętnych do chóru, Cecylia już czeka!

Okazało się, że każdy był chętny. Anioły, święci i zwykli mieszkańcy Rajskiej Krainy zebrali się na najpiękniejszej polanie, która znajdowała się pośrodku Raju, i zaśpiewali. Ich głosy zlały się w jeden niebiański dźwięk, który popłynął, by oznajmić światu, że narodził się Ten, na Którego czekali. Bóg co roku sprawiał im ten niezwykły prezent, przychodząc do nich pod postacią niemowlęcia. Przypominał im nieustannie, że nigdy nie jest zbyt późno ani zbyt wcześnie, by zacząć swoją

wędrowkę od nowa. A każdy początek to nowe rozdanie nieskalane grzechami przeszłości.

Nie było więc już ani pani w lokówkach, ani pana w garniturze, ani pana w okularach. Byli tacy, jakimi pragnęli być oni sami, a nie jakimi pragnął widzieć ich świat.

– Popatrzcie! – krzyknął nagle jeden z Aniołów. – Wypełniło się!

Zewsząd posypały się srebrzyste gwiazdki, a każda była inna. Opadały spokojnie na ziemię, niosąc jej mieszkańcom dobrą nowinę. Wśród wielu z nich znalazły się dusze, które zapragnęły właśnie tego dnia pojawić się na świecie pod nową postacią.

– Mikołaju. – Piotr zwrócił się do starca z brodą, który nie przestawał się uśmiechać. – Na ciebie już pora. Tylko ubierz się ciepło, na ziemi jest przecież grudzień!

– Tak, wiem. – Brodaty Mikołaj pokiwał głową. – Czerwony surdut, czapka i wysokie buty... No to w drogę, moje dzielne renifery! Mamy dziś sporo do zrobienia!

KONIEC

Redakcja: Julia Celer
Korekta: Julia Topolska, Artur Kaniewski

Projekt okładki: Magdalena Palej
Fotografie wykorzystane na I stronie okładki: © Anne Yungwirth/Arcangel Images; ©
suns07butterfly/shutterstock.com

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4930-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo